

IRENA KRZEWICKA

# ZŁOTE MOSTY

POWIEŚĆ

713

## ZŁOTE MOSTY

Wydawnictwo Teodorowicz

IRENA MROZOWICKA

---

# ZŁOTE MOSTY

POWIEŚĆ



Wydawnictwo Teodorowicz

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1906





BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0268029

Z drukarni »Czasu« w Krakowie  
pod zarządem A. Świerzyńskiego.

K-168/26/71228

P

# I.

»Hej użyjmy żywota!  
Wszak żyjem tylko raz,  
Niech ta czara złota  
Nie próżno wabi nas!«

zanucił Kazimierz Otwocki, podnosząc w górę kieliszek napełniony dosyć lekkim zieleniakiem i trącąc nim o kieliszki zgromadzonego wokoło niewielkiego stołu towarzystwa.

— Co to? — Mickiewicz? — zapytał Sewer Gończak, zwracając ku niemu żywo twarz nieładną, pospolitą, ale pełną wyrazu. — Bodajes zdrów był, że go cytujesz! Jeszczem się z nim od czasów gimnazjalnych ani razu oko w oko nie spotkał, a przecież stara poezya, to jak stare wino. Choć ją niby pleśnią czuć, to jednak odświeża i odmładza człowieka.

— A jakież drogami pan chodzi po świecie, że się pan nie spotyka z Mickiewiczem? — zaśmiała się trochę ironicznie jedna z trzech panien, siedzących naprzeciw trzech młodych ludzi, po drugiej stronie stołu, którego pierwsze miejsce zajmowała poważna staruszka, o twarzy łagodnej, rozjaśnionej tym uśmiechem trochę niepewnym, jaki miewają ludzie, nie słyszący i nie rozumiejący dobrze, co się wokoło nich dzieje.

— Drogami młodej sztuki — odrzucił Kazimierz z żartobliwą ironią, spoglądając w stronę kolegi.



— Nie uznaję tego określenia! Sztuka nie może być ani młodą, ani starą, jest tylko nieśmiertelną, i w każdym jej przejawie, w każdym obrazie, posągu, rymie, który jej tchnienie stworzyło, tkwi cząstka tej nieśmiertelności, dla której lata i wieki są niczem.

Na czoło mówiącej wypłynęła łuna rumieńca, ciemne jej oczy ożywiły się i rozbliły tak, że połysk ich zrobił się na chwilę prawie złotym i promienistym.

— Brawo, panno Izo! Określenie wspaniałe, a zwłaszcza bardzo z niem pani do twarzy — zauważył Gończak tonem zupełnie spokojnym, obejmując przytem postać dziewczyny badawczym, ciekawym wzrokiem artysty, który nagle w przedmiocie dawno znanym dostrzegł jakiś nowy, uderzający szczegół.

Ale Iza nie była widocznie zadowolona z tego artystycznego przeglądu swej osoby, bo ściągając brwi, rzekła zimno:

— Co do tego, nie pytam pana wcale o zdanie.

— Widać, jak pani po dyletancku sądzi sztukę i artystów — rozśmiał się znowu Sewer — myśli pani, że artysta może wypowiedzieć swoje zdanie tylko wtedy, gdy go o nie pytają, a tymczasem nasz zachwyt to płomień, który wybucha i obejmuje wszystko, co piękne, nie pytając o pozwolenie. Prawda, panno Regino?

Bładowa, milcząca dotąd blondynka, do której były zwrócone te słowa, drgnęła nagle i z pewną afektacją nieświadomości podnosząc oczy na młodego malarza, spytała:

— Pan do mnie mówi?

— Do usług. Ale widzę, że myśli pani już znowu błądziły gdzieś między gwiazdami.

— Raczej między kulisami — poprawił Kazimierz.

— Dla mnie to na jedno wychodzi. Blask kinkietów jest gwiazdą przewodnią mego życia — oddeklowała Regina teatralnie, podnosząc ku sufitowi oczy

bardzo piękne, bardzo przymglone i melancholijne, otoczone łukiem brwi, trochę może za wyrazistych względnie do jasnej, eterycznej grzywki, mocno pofryzowanej nad czołem.

— Miej się na ostrożności, Reno. Ta twoja gwiazda ma blask cokolwiek przykopcony i tak kapryśnie mruga, że się trzeba dobrze pilnować, aby nie zmylić drogi w tych błyskach.

Ostrzeżenie to padło z ust panny Jadwigi Rożańskiej, heroiny dzisiejszego wieczoru. Jej to imieniny obchodzono dziś właśnie w małym kółku najbliższych jej przyjaciół.

Głos Jadwigi miał brzmienie bardzo stanowcze; rysy regularne, choć trochę krótkie, brwi zrosnięte prawie nad oczyma, patrzącymi bystro i przenikliwie, wyrażały siłę woli, graniczącą z uporem.

— Nie myśl, moja kochana, że tylko ta jedna droga życia, która prowadzi »na prawo«, jest pewną i bezpieczną — odcięła się Rena z widocznym podrażnieniem.

Na tę aluzję do emancypacyjnych porywów Jadwigi, młode towarzystwo rozśmiało się głośno. Staruszką, siedzącą u góry stołu, zelektryzowana tym wybuchem wesołości, zaczęła z pewnem zaniepokojeniem i ciekawością spoglądać po twarzach biesiadników.

— Z czego oni się śmieją? — spytała wreszcie Jadwigi głosem mocno podniesionym, pochylając się jednak ku niej tak, jakby chciała jej to pytanie szepnąć tylko do ucha.

— Ze mnie, babciu — odpowiedziała Jadwiga tym samym tonem, nie zmieniając przy tem ani trochę wyrazu twarzy, z którego trudno było odgadnąć, czy ją wesołość towarzyszków ubodła, czy pozostawiła obojętną.

— Ależ nie z ciebie, Jago, wiesz dobrze, że nie z ciebie — odezwiała się łagodząco Iza. — Śmiejemy się, bo Rena tak to jakoś zabawnie powiedziała.



— Czyżbyśmy nawet odważyli śmiać się z Minerwy? — dorzucił Kazimierz z żartobliwą przekorą, lubił bowiem niezmiernie droczyć się i przekomarzać ze swą uczoną kuzynką, ale w spojrzeniu, które tym słowom towarzyszyło, była jak gdyby gorąca prośba o przebaczenie mu tej śmiałości.

— Chociaż się pani o kulisach wyraża z taką karygodną niechęcią, niech pani nie zapomina, że na debiut panny Reginy mamy się stawić wszyscy, jak jeden mąż. Pierwszy laurowy wieniec muszą jej podać nasze dłonie przyjazne. Urządzimy taką babilońską owacę, jakiej jeszcze świat nie widział.

— A kiedyż to będzie? — zapytał nagle Konstanty Oksza, przysłuchujący się dotąd rozmowie z miną prawie znudzoną i napozór oddany wyłącznie układaniu na stole najrozmaitszych deseni ze skórki pomarańczowej, pokrajanej w drobnutki kawałki.

— Co tam, kiedy! Za miesiąc, czy za rok, na tu-tejszej scenie, czy choćby w Chinach, gdziekolwiek panna Regina debiutować będzie, poprzysięgliśmy, że się stawimy, aby ją odrazu okrzyknąć królową: *Vive la reine Reine!*

Za przykładem Sewera wszyscy podnieśli w górę kieliszki, spełniając już naprzód ten toast. Twarz Reginy powlokła się żywym rumieńcem, rozjaśniona nagle, przemieniona, jakby ten wpółżartobliwy okrzyk przyjaciele młodości, zadzwonił w jej sercu pierwszą fanfarą tryumfu.

— Za rok! — westchnął obojętnie Konstanty. — To może nawet nie dożyjemy.

Idźże sobie spać z taką przepowiednią! To mi dopiero puszczyk! Może ty, Krezusie, już się tak nauczywałeś życia, że ci się aż przejadło i pilno ci na Marsa, ale my, co sobie dopiero zęby przecieramy do tego chleba, na który mamy zapracować w przyszłości, ani

myślimy wynosić się stąd przed czasem. Ja, choć postanowiłem żyć jeszcze sto lat, i tak nie będę miał dosyć czasu na wymalowanie tych wszystkich obrazów, które mam w oczach.

— W oczach? — zauważyła Iza. — Słyszałam dotąd zawsze, że się plany obrazów nosi w myśli, w wyobraźni, ale nie w oczach.

— Musiała pani znać malarzy, którzy malowali z pomocą wyobraźni; ja mam tylko pędzel i oczy i to mi najzupełniej wystarcza.

— Ba! tobie, to nie sztuka — rozśmiał się trochę rubaszenie Kazimierz — ale spytajno się, czy wystarcza tym, którzy twoje obrazy oglądają. Naprzykład ten ostatni kot, cały w niebieskie plamy, dumający nad trupem ciemno-szafirowej myszy? Co prawda, jeśli ci już w duszy i na palecie było tak błękitno, że nawet na mysz ogonek nie mogłeś dobrać innej farby, to należało się koniecznie zdobyć na jakiś bardziej rozbłękitniony temat. Nieżywa mysz nie warta tyle zachodu i tyle *pariserblau*.

— Cóż chcesz, mój kochany — uśmiechnął się blado Konstanty. — Na to, co dzisiejsza sztuka nam daje, to i niebieska mysz jest niezłym nabytkiem. Na innych obrazach nawet tego niema.

— Panno Regino, ratunku! Ci profani żartują sobie z nas i bluźnią naszej sztuce. Im na złość wychylmy toast na jej cześć. Niech żyje sztuka, niech żyje gwiazda przewodnia naszego życia!

Szybko nalał wina sobie i Reginie, a gdy Kazimierz wyjął mu z rąk butelkę, aby ponapełniać także inne kieliszki, młody malarz zaprotestował żywo:

— O przepraszam! Wy, drwiący filistrzy, nie jesteście warci spełnić takiego toastu. Wymyślcie sobie inną jaką przewodnią gwiazdę. Sztuka obejdzie się bez waszego hołdu.



— A więc dobrze! — rzekła Jadwiga. — Sztuka jest tylko złudą i omamieniem. Naga prawda życia, która nikogo nie wprowadzi na błędne drogi, tkwi w nauce. Kaziu! Zdrowie nauki, naszej gwiazdy przewodniej.

Bystre jej oczy zaśniły gorętszym blaskiem, gdy się zbiegły z ciemnymi źrenicami przystojnego kuzynka; wymieniwszy z nim spojrzenie, objęła trochę dumnym, trochę pobłażliwym wzrokiem resztę zgromadzonego towarzystwa. Z pewnością prócz Kazia, nikt z obecnych nie rozumiał jej, nikt nie umiał odczuć tego gorącego pragnienia, z jakim dusza jej rwała się do światła — tego pocucia potęgi, szczęścia, zachwyty, jakim każdy promień wiedzy, wydarty martwym, zadrukowanym kartkom, zalewał, niby potokiem blasku, całą jej istotę. W tem gorączkowym rwaniu się do nauki ambicya nie odgrywała żadnej roli; nie szło jej o wywalczenie sobie z pomocą nabytych wiadomości zaszczytnego stanowiska, nie występowała pod sztandarem emancypacji do walki z mężczyzną i nie pragnęła wiedzą swoją zaćmić, ani olśnić nikogo. Pragnęła tylko: wiedzieć. Kazio jeden rozumiał ją; to był jej przyjaciel od lat dziecinnych, któremu spowiadała się ze swoich najskrytszych myśli. On też nieraz wspierał jej kroki na tej ścieżce, po której dotąd tak trudno jeszcze iść kobiecie.

Gdy Jadwiga wносиła z takim ogniem toast na cześć nauki, Konstanty zadzwonił nożem w swój kieliszek na znak, że pragnie mówić.

Wszyscy z ciekawością zwrócili się ku niemu, bo zwykle odzywał się mało i trzeba go było chyba gwałtem wciągać do ogólnej pogadanki.

— To tylko wniosek w kwestyi formalnej — rzekł, w odpowiedzi na utkwione w nim ciekawe spojrzenia. — Możebyście państwo wymyślili co innego na określenie tych gwiazd przewodnich? Sewer i panna Regina, którzy hołdują młodej sztuce, nie powinni przecież używać

tak przestarzałych klasyczo-romantycznych wyrażen, a panna Jadwiga, która uznaje tylko nagą prawdę życia, wie doskonale, że astronomia rozróżnia gwiazdy stałe, planety, komety, mgławice, ale nie mówi nic o gwiazdach przewodnich.

— Brawo! wniosek twój przyjmujemy bez głosowania. Istotnie, przewodnie gwiazdy są już dziś anachronizmem. Zatelefonujemy do Edisona, niech on nam na poczekaniu wymyśli coś, coby je zastąpiło w życiu. Naturalnie, musi to być jakaś machina w tym samym rodzaju, ale udoskonalona i dostępniejsza, nie narażająca ludzi na potrzebę ciągłego zadzierania głowy do góry, co dla istot, skazanych na wieczne chodzenie po ziemi, jest wielce niebezpiecznem.

Przemowę Kazia przyjęto chórem śmiechu. Humory młodego towarzystwa były już nieco podniecone parogodziną pogadanką i spełnianymi toastami; teraz każdy miał ochotę mówić dużo, śmiać się głośno, dać jakiś upust zdwojonym tętnom młodego życia, gorączkowo pulsującym w żyłach.

— Za pozwoleniem! — odezwał się Sewer — Póć mamy się w kwestyi tego wynalazku zwracać aż do Edisona, skoro mamy ciebie, laureacie politechniki zuryskiej? Czyż nie widziałem na twojem biurku całego stosu rysunków i szkiców, których znaczenie było dla mnie jeszcze mniej zrozumiałe, niż dla was, profani, mój ostatni symbolistyczny obraz. Może ty tam wymyślasz nowy system telegrafu, nietylko bez drutu, ale i bez baterii elektrycznej? Daj spokój! Co ci po tem, że ludzkość wyekspensuje trochę mniej drutu i mniej elektrodu? Chcesz zaćmić Edisona, to wymyśl coś, coby nam w życiu zastąpiło przewodnie gwiazdy.

— Jakąś lampę Alladyna najnowszego systemu, której blasku nie mogłyby przyćmić wszystkie ciężkie wyziewy i opary *fin-de-siècle'u* — dopowiedziała Iza.



— Moi państwo, czynicie mi zbyt wiele zaszczytu taką propozycją — odparł Kazimierz, ze sztuczną powagą skłaniając głowę. — Niestety, siły moje nie stoją na wysokości takiego zadania. Gdy mnie posądzacie, że duch mój szybuje u samych szczytów technicznej wiedzy, wykradając stamtąd, jak niegdyś Prometeusz z Olimpu, pioruny, ze wstydem wyznać muszę, że buduję tylko pod najzwyklejszą w świecie parową kolej most udoskonalonego systemu, który myślę zaprezentować na przyszłym zjeździe techników i otrzymać zań bodaj drugą nagrodę, obiecaną przez ministerium.

— Most!... zwyczajny most!... — wykrzyknęli wszyscy z odcieniem pewnego zawodu, bo przemowa Sewera i pełna fantazyi wzmianka o stosach zagadkowych szkiców, wzbudziły na chwilę we wszystkich umysłach przypuszczenie, że może doprawdy Kazimierz pracuje nad jakimś wielkim, cudownym wynalazkiem. Dlaczegożby nie? Młodzi wierzyli w młodych.

W tej chwili Konstanty odezwał się, przesuwając z lekkim ziewnięciem rękę przez włosy.

— Most?... a możeby to właśnie było w życiu najlepsze? Zgoda na most.

— Jakto.

— Rzecz prosta, skoro nie chcecie już gwiazd...

— Przecież to pan pierwszy byłeś przeciwny i nie chciałeś ich.

— Mnie one nic nie szkodziły, proponowałem tylko dla różnaitości zmianę wyrażenia. Ale widocznie wniossek mój był na czasie, skoroście się go tak uchwycili i zaraz zdetronizowali wasze gwiazdy. Otóż dla kogoś, co nie chce patrzeć w górę, a radby tylko zawsze nogą dotykać twardego i pewnego gruntu, czyż może być coś pożyteczniejszego nad mosty? Czy wogóle bez mostów można kroczyć śmiało drogą życia, kiedy na naszej ziemi tyle jest przepaści i tyle... rowów?

— Prawda! Wspaniale to wykombinowałeś, zgoda na mosty w zastępstwie gwiazd!

— Ale musi nam pan Kazimierz wymyślić most tak udoskonalonego systemu, żeby można po nim przejść bezpiecznie każdą najczarniejszą otchłań, most, którego nie zdołałby naruszyć czas, ani ogień namiętności, ani powódź wypadków; po którym z całym taborem bied i ułomności ludzkich, dostałby się można spokojnie i wygodnie aż na tamten świat.

Kazimierz uśmiechał się lekko, namyślając się, jaką bańką mydlaną zbyć tak wygórowane żądanie.

— Gdyby mnie stać było na zakupienie terenu w Klondyke, służyłbym chętnie państwu mostem złotym. Po tym moście podobno z całym komfortem i wygodą przejeżdża się przez życie. Ale Niestety, na takie zbytki nie mogę się zdobyć ani dla siebie, ani dla drugich.

— Pan się myli! — odezwała się nagle Iza z ogniem w oczach. — Każdy zdobyć się może na zbudowanie sobie złotego mostu, który przeprowadzi go ponad wszystkie życiowe otchłanie. Na to nie potrzeba posiadać terenu w Klondyke; wystarczy mieć w duszy gorące ukochanie wszystkiego, co dobre i piękne.

Sekunda milczenia zaległa przy stole po tem odezwaniu się Izy. Ten nagły zwrot, od żartobliwych paradoksów do szczerego, pełnego zapału wyrażenia uczuć szlachetnych i poważnych, które w każdym z tych młodych serc znalazły oddźwięk, zerwał wesołą nić rozmowy i spłoszył ze wszystkich ust puste uśmiechy, budząc natomiast odblask głębszej myśli w żrenicach. Nawet babcia zauważyła tę zmianę w wyrazie wszystkich twarzy i zdziwiona, prawie zaniepokojona, zwróciła się znów do wnuczki z pytaniem.

— Co ona powiedziała?

— Nic babciu — odparła Jaga, nie próbując nawet dać dokładniejszego wyjaśnienia.



Ale babci ta odpowiedź nie wydała się wystarczającą; z jakimś smutnem westchnieniem potrząsnęła się głową.

— Sekreta jakieś przedemną macie i szepciecie umyślnie, żebym nie słyszała, a ja wam przecie i tak pozwalam wszystko mówić i robić, co się wam podoba, i wiem dobrze, że Izia w tej chwili powiedziała coś, co was wszystkich zastanowiło.

— Powiedziałam, proszę pani, że każdy może być dobrym, gdy chce — objaśniła nagle, podnosząc się od stołu i pochylając ku staruszce Iza, której się wydało, że przenosiła o złotych mostach za subtelną była dla umysłu zardzewiałego, a może już i zdziecinniałego.

Jasne jak niezapominajki, matowe oczy babci, błysnęły na krótką chwilę żywszym blaskiem.

— Każdy?... Nie każdy, moje dziecko, lecz tylko ten, komu Bóg dopomoże — szepnęła, wbrew zwyczajowi swemu zniżając głos, jakby myśl ta mimowolnie wypłynęła z głębi jej serca cichem westchnieniem.

Za przykładem Izy wszyscy już teraz powstali i zaczęli się żegnać, całując z uszanowaniem, a nawet z pewnym odcieniem przywiązania wyschłe ręce babci. Znali ją tak dobrze, od tylu lat, prawie wszyscy przywykli widywać ją u góry tego stołu, który wiązał ich młode kółko tysiącem wspomnień, echem tylu poważnych planów przyszłości, i tylu wesołych pogadanek, żartów, dysput, które się tu w długie, zimowe wieczory toczyły.

Babcia siadywała tu z nimi zawsze, ale istotnie nie krępowała ich nigdy swoją obecnością. Nawet w dawniejszych latach, gdy jeszcze lepiej słyszała, co dokoła niej mówiono, słuchała nieraz najsłabszych zdań, najśmielszych paradoksów, z tym samym zawsze, pełnym pobłażliwości uśmiechem. Niech się wygadają... od tego są młodzi... poco krępować im swobodę... prędzej, później życie ich i tak skrępuje.

Kierunek marzeń i usiłowań Jadwigi, jedynej wnuczki, jaka pozostała jej po córce, zmarłej młodo, a nad życie ukochanej, przejmował ją mimowolnie smutkiem i trwogą. To ślęczenie nad książkami, zapisywanie się na uniwersytet, zdawanie egzaminów dotąd dostępnych tylko dla mężczyzn, odbiegało tak daleko od jej pojęć o powołaniu kobiety, jak gdyby ta jej rodzona wnuczka, żyjąca z nią pod jednym dachem, była jakąś istotą, ciśniętą na ziemię z innej planety; ale i w tej sprawie, tak bardzo ją obchodzącej, babcia niepokój serca pokrywała swoim zwykłym cichym uśmiechem.

— Ha, cóż robić? — myślała staruszka z rezygnacją. — Nie mogę jej prowadzić za rękę, bo jużbym jej nie nadążyła.

Jadwiga nie rozumiała, jak wiele potrzeba było wysiłku i mocy ducha, aby się na taki pozorny brak woli i charakteru zdobyć. Należała ona przedewszystkiem całą duszą i usposobieniem do tego najliczniejszego zastępu młodych, który uznaje za rzecz bardzo naturalną, że starość ustępuje im pola, pozwalając spokojnie deptać po całym zniwie przekonani, uczuć, doświadczeń, nabytych długim życiem, nie próbując nic ocalić przed nawałą tych młodych sił, które, pchane życiowym instynktem, szukając dla siebie coraz to szerszego rozrostu, usiłują wszystko zagarnąć, przytłumić, aby sobie więcej miejsca wywalczyć. Kochała ona babkę, pielęgnowała ją nawet troskliwie i była pewną, że, czyniąc to, wywiązuje się już najsumienniejszemu z obowiązków wnuczki. O jakimś podziale myśli, o potrzebie przystosowywania wzajemnych uczuć i przekonań, nie myślała nawet, i gdyby jej ktokolwiek był zwrócił uwagę na ciemne i bolesne strony takiego stosunku, ograniczonego do ściśle zewnętrznych, materialnych węzłów, byłaby z największym spokojem odparła: To trudno; babcia stara, a myśmy młodzi.



Prawo młodości, to prawo do życia organizmów niewyżytych jeszcze, stanowiące podstawę całej walki o byt ze wszystkimi jej ewolucjami, wsiąknęło głęboko w jej duszę z mądrych ksiąg, do których przykuła swoją wyobraźnię od lat prawie dziecinnych, nie pozwalając jej bujać po niepewnych falach sentymentalnych mrzonek i egzaltowanych uniesień. Rządziła też sama swoim życiem, dobierała sobie rozrywki i przyjaciół podług własnych tylko upodobań i sympatyj. Na szczęście, instynkt, bądź co bądź szlachetnej natury, i wysoka inteligencja, niezłym jej w tem były przewodnikiem. Młode kółko, którem się otoczyła, poziomem moralnym i umysłowym wznosiło się nawet ponad przeciętną miarę tak zwanej »porządnej młodzieży«. W prowadzonych tu rozmowach przejawiały się nieraz dążenia bardzo szlachetne, porywy wolne od najmniejszej skazy egoizmu i karyerowiczowstwa, których plama na młodem sercu, niby rdza na kłosach, przejada i wyniszcza najżywniejsze soki.

Ubierając się już do wyjścia, w przedpokoju, Regina dostała nagle jakichś niby dreszczów, niby gorączki, śmiała się nerwowo, a zaraz potem dwie łzy zjawily się w jej dziwnie błyszczących w tej chwili i cudownie przez to pięknych oczach.

— To nic, nic — uspokajała zatrwożonych o nią przyjaciół, którzy skupili się wkoło niej z zimną wodą, koniakami i innymi trzeźwiącymi środkami — to tylko moje głupie nerwy tak się rozhułały przy dzisiejszej lekcji. Podobno grałam nieźle; profesor mówił mi, że z taką Julią mogłabym pójść wprost na deski warszawskiego teatru, ale też zato muszę teraz odpokutować. Każdą nowowystudyowaną rolę opłacam zawsze chorobą.

Mówiła głosem nieco urywanym, niby siłą woli opanowując rozprężenie swych nerwów; nagle wzдрыnęła się, jakby otrząsając z siebie resztki tego roz-

stroju, i głosem zupełnie już naturalnym, prawie wesołym, rzekła:

— No, dość już tego. Przepraszam państwa, że urządziłam wam z siebie takie widowisko. Bardzo tego nie lubię, choć właściwie jako artystka, powinnam się już z tem oswajać, że ludzie na mnie patrzą, sądzą mnie i krytykują...

Przy ostatnich słowach z pod jej rzęs spuszczonej długiej, przeciągłej spojrzenie pobiegło w stronę wysokiej postaci Konstantego.

— Niech mi pan poda paltocik; tylko proszę uważać, żeby się moje kokardy na ramionach nie zmięły — dodała rozkazującym tonem.

Młody człowiek bez ociągania się, ale i bez zbytniej skwapliwości spełnił polecenie.

— To pan winien wszystkiemu! — szepnęła, gdy się do niej zbliżył, i za pośrednictwem zwierciadła, ku któremu byli oboje teraz zwrócenii, posłała mu drugie, o wiele jeszcze wymowniejsze spojrzenie.

— Ja? czyż to pani dla mnie grała tę... rolę Julii?

Umysłne zawieszenie głosu, jakim oddzielił ostatnie dwa słowa od reszty zdania, zdradzało aż nadto wyraźnie jego myśl; ale Regina udała że go wcale nie rozumie.

— Pan o moim debiucie wyrażał się z takim po wątpiewaniem, że przez cały wieczór byłam jak struta. Nie znoszę złych przepowiedni.

— Bardzo mi przykro, ale zaręczam, że moje przepowiednie nie wpłyną ani trochę na zamiary dyrekcyi teatru względem pani.

Słowa te, wymówione już nieco głośniej, tonem przygnębiająco spokojnym i obojętnym, doszły do uszu Sewera.

— Chwała Bogu! Panna Regina jest już znowu w naturalnym sosie, bo mówi o swoim debiucie, a ja



lękałem się, żeby nam pani naprawdę nie urządziła jakiego zemdlenia.

— Takie rzeczy »urządzane« nie są znów tak bardzo przerażające — szepnęła Jadwiga z ironicznym półuśmiechem.

Na Izę, mieszkającą na rogu tej samej ulicy, czekała w przedpokoju przysłana po nią przez bratową panna służąca; Reginę zwykle Sewer, jako artysta-kolega, odprowadzał do domu z tych wieczornych zebrań. Tym razem jednak Iza, zaniepokojona nerwowem podrażnieniem towarzyszką, ofiarowała się, że ją sama razem ze służącą do domu odwiezie.

— Może panie wezmą mój powóz? Już od godziny musi stać przed bramą — zaproponował Konstanty.

Oczy Reny zabłyśły; przycisnęła silniej ramię towarzyszką, jakby zachęcając ją do przyjęcia ofiary, ale Iza przecząco wstrząsnęła głową.

— Dziękuję panu, wolę wziąć dorózkę — odparła obojętnie.

Na rogu ulicy towarzystwo pożegnało się, panie wsiadły do sprowadzonej przez Sewera karetki, panowie rozeszli się, każdy w swoją stronę. Iza odwiozła najpierw Reginę, mieszkającą w dość odległej i mało uczęszczanej stronie miasta, następnie podała dorózką rzowi swój adres.

Gdy karetka zatrzymała się przed wskazanym domem, ku ogromnemu zdziwieniu Izy, drzwiczki jej otworzył przed nią Konstanty.

— Skąd się pan tu wziął? — zapytała z nietajonem zdziwieniem.

— Przyjechałem razem z panią, na koźle dorózki — odparł spokojnie.

— Na koźle dorózki?... ależ dlaczego?...

— Dlatego, że pani nie chciała przyjąć mego powozu, a ja znowu nie miałem ochoty puścić pani pra-

wie samej o dwunastej w nocy, na taki objazd po przedmieściach. Teraz: dobranoc pani.

Stróż otwierał już bramę. Iza zawsze jeszcze trochę zdziwiona, a bardziej jeszcze zmieszana, wyciągnęła rękę do nieproszonego opiekuna.

— Dziękuję panu!

— O, niema zaco. Z łaski pani przejechałem się darmo po mieście.

Krótko, z obojętną grzecznością, uściśnął podaną rękę i oddalił się. Iza weszła w bramę eleganckiej kamienicy i wstępując na schody, na których stróż przyświecał latarką, zapytywała się w duchu: Co mu się stało?...

— Ech, pozuje na oryginała, jak zwykle, i zamiast wracać swoim *huitressorem* do domu, przetrząsał się na koźle mojej dryndy dla zaimponowania mi. Niema nad czem łamać sobie głowy — pomyślała — dotykając elektrycznego dzwonka u drzwi swoich braterstwa.

## II.

Państwo Janowie Wyszomirscy zajmowali elegancki apartament, urządzony z całą estetyczną dysharmonią i nieładem wszelkich barw i kształtów, jakimi moda lat ostatnich zastąpiła dawniejsze jednostajne w stylu i tonie umeblowanie. Moda, świat, wymagania towarzyskie — oto myśl przewodnia, która zdawała się kierować ręką, nagromadzającą te różnorodne, wykwintne rupiecie, rozpinającą kapryśne fałdy portyer i rozwieszającą na ścianach, w pełnym świetle, wyblakłe, przetarte już nieco kawałki starych tkanin, w czasie, gdy wazony z kwiatami i parę nieźle malowanych obrazków skromnie w kąt się tuliło. Przytem w całym urządzeniu było jakby coś niewykończonego, brakowało tego ostatniego dotknięcia ręki, którem dopiero, żywszy się



z każdym kątem i sprzętem, właściciele mieszkania mogą uzupełnić pracę tapicera i stolarza. Było tu, jakby ręka opadła, zniechęcona, przed tem ostatniem, czarodziejskiem dotknięciem; nie brakowało niby nic, a jednak obcy przybysz, wchodząc w te progi, oglądał się mimowoli i zapytywał w duchu: Czego tu jeszcze brakuje?

Wrażenie to pogłębiała dziwnie postać młodej gospodyni domu, która, posłyszawszy głos Izy w jadalnym pokoju, wysunęła się z sypialni, aby ją przywitać. Twarz jej na pierwszy rzut oka zdawała się młodą, ładną i wesołą, ale wrażenie to zacierało się bardzo prędko.

Już za drugim lub trzeciem spojrzeniem dochodziło się do przekonania, że pani Wyszomirska nie była już tak młodą, bo mimo żywych rumieńców, miała skronie pożółkłe i zapadłe, i figlarne dołeczki na jej policzkach przeciągały się już w podłużną, dość głęboką bruzdę. Nie była ładną, bo regularnym jej rysom brakło jakiegoś ogólnego wyrazu, charakteru, któryby je zlewał w harmonijną całość i mile wzrok pociągał; nie była wreszcie wesołą, choć uśmiechała się prawie nieustannie, bo w oczach miała jakiś wyraz zakłopotania i lęklowości, przykre sprawiający wrażenie. Gdy prowadziła najbardziej ożywioną, swobodną rozmowę, zdawała się zawsze myśleć o czem innem; na najprostszych słowach głos jej urywał się tak nagle, że ucho słuchacza mimowoli czekało jeszcze na owo słowo niedomówione, które zdawało się wiecznie wyrwać na jej usta i wiecznie milknąć w pół drogi.

— Nie śpisz jeszcze? — spytała Iza ze zdziwieniem, widząc ją wchodzącą.

— Nie, właśnie czekałam na was...

— Czy i Jaś jeszcze nie wrócił?

— Nie wrócił, naturalnie... ma dziś jakieś balotowanie w kasynie, to zapewne potrwa dłużej... Bawiłaś się dobrze?

— O, znakomicie! Sewer był pysznie nastrojony, Kazio dokazywał jak dzieciak, nawet Konstanty rozgadał się. Obrobiliśmy masę bardzo zajmujących kwestyi.

W tej chwili dzwonek elektryczny zabrzmiał znowu w przedpokoju. Śnać niecierpliwa dotknęła go ręka, bo rozdzwonił się, jak na alarm i nie ucichał, pomimo, że w zamku słyhać już było zgrzyt klucza.

Twarz pani Wyszomirskiej straciła swój wyraz roz-targniony, dusza jej cała skupiła się w oczach, które trwożliwem spojrzeniem wybiegły ku drzwiom przedpokoju na przeciw powracającego męża.

Wysoki, bardzo elegancki i przystojny mężczyzna wszedł do jadalni, i zobaczywszy obie kobiety, ściągnął niechętnie brwi.

— Cóż to, nie śpicie jeszcze o tej porze? Nie prosiłem przecie, żeby czekano na mnie. Wiesz dobrze, Maryo, że nie cierpię takich sentymentalnych czułości.

— Ja czekałam... na Izę, która w tej chwili właśnie wróciła z wieczoru od Jadwigi.

— Sama? O północy? To bardzo budujące.

— Nie wymagam nigdy, żeby się kto budował mojem postępowaniem — odrzuciła Iza, której na tak niespodzianą wymówkę żrenice pociemniały. — Nie jestem już dzieckiem, któreby trzeba wiecznie prowadzić za rękę. Zresztą nie wracałam sama; Marya przysłała służącą i... Konstanty mnie tu odwiózł.

— Oksza? To co innego.

Twarz Wyszomirskiego odrazu przybrała zupełnie odmienny wyraz.

— On ci może asystuje? — zapytał.

— Asystuje? Cóż znowu! On też właśnie stworzony do asystowania! Taki Krezus i taki pozer! Wiecznie mu się zdaje, że wszyscy na niego tylko patrzą i nim się zajmują.

— Jednak i on w końcu zajmie się kimś, a wtedy...



— Cóż wtedy?

— Jego wybrana zrobi świetną partyę.

— Życzę jej szczęścia, a tobie dobrej nocy. Czy wasza Spółka zacznie może przyjmować w komis panny na wydaniu i epuzerów, że cię ta kwestya tak żywo zajmuje?

— Maryniu, znów nie zastałem kawioru — odezwał się w tej chwili ostrym głosem Wyszomirski, otwierając kolejno szuflady i szafeczki bufetu.

Iza, pocałowawszy bratową, odeszła do swego pokoju. Nie chciała być świadkiem dalszej rozmowy na temat nieobecnego kawioru. Sybarytyzm brata niecierpliwił ją; szorstki ton, z jakim nieraz zwracał się do żony, obudzał jej gniew, tak, jakby to do niej samej się odnosiło.

Jaki on się teraz zrobił niecierpliwy i wymagający — myślała, idąc do siebie. — Swoją drogą, nudna ta Marynia, że nie pamięta o dogodzeniu mu w tak drobnej rzeczy! Coby jej to szkodziło! Niema ona najmniejszego talentu na żonę i jeszcze na taką, jakiejby potrzeba było Jasiowi. Patrzy na niego z tym wiecznym znakiem zapytania w oczach, jakby usiłowała odgadnąć, co mu będzie przyjemne, a robi i powie zawsze to, co mu jest najnieprzyjemniejsze. To musi okropnie działać na nerwy mężczyzny! Gdyby poprostu, swobodnie i naturalnie robiła to właśnie, co sama uzna za stosowne, to wiedziałby przynajmniej, że ma do czynienia z jakimś charakterem, z jakąś indywidualnością, a nie z pozytywką, która potrzebuje zawsze, żeby ją ktoś nakreślił i nakrecona jeszcze zagra fałszywie!...

Iza uśmiechnęła się lekko do tego porównania, które wydało się jej niezmiernie trafne, i zaczęła rozpinać przed zwierciadłem swoje przepyszne, kasztanowate włosy, które, jak fala brązu, spłynęły na jej ramiona. Ładnie jej z tem było, niezmiernie ładnie. W cie-

mnem obramowaniu włosów rysy jej twarzy wydawały się drobniejsze, a cera więcej jeszcze olśniewająco świeża. Nie darmo Sewer patrzył na nią dzisiaj z takim artystycznym upodobaniem. Uroda jej dochodziła właśnie do najpełniejszego rozkwitu. Wysmukła bujność kształtów, inteligencya czoła i prawdziwie kobiecy czar w uśmiechu i spojrzeniu, czyniły ją niesłychanie powabną dla każdego męskiego oka. Największym jednak jej urokiem była ta żywość uczuć, przy każdym silniejszym wrażeniu wybuchająca z jej oczów promieniem iskier; żywość szczerą i naturalną, nie hamowaną przez nią, ani podniecana sztucznie, wprawdzie przez kółko jej przyjaciół nazywana żartobliwie egzaltacją, ale tak do egzaltacyi niepodobna, jak prawdziwy brylant niepodobnym bywa do szkła czeskiego.

— Czemu ty się zaraz tak unosisz? — reflektowała ją czasem Jadwiga, która znów wszystkie dyskusye prowadziła na chłodno.

— Albo ja wiem, czemu? Jak tylko o czemkolwiek nieobojętnem mi pomyślę, zaraz mi się robi gorąco w sercu i głowie i mogłabym dla tej jednej rzeczy o całym świecie zapomnieć.

I teraz właśnie tak się stało. Iza przypomniała sobie koniec rozmowy, prowadzonej u Jadwigi, i wnet myśli jej popłynęły tym jasnym szlakiem, opanowując ją tak, że otaczającą ją rzeczywistość: Jaś, bratowa, ich pożycie od kilku miesięcy w coraz ostrzejsze zarysowujące się kontury, wszystko to znikło jej z przed oczu, roztopiło się w świetlanym kręgu tych uczuć, które to przypomnienie zbudziło.

Złote mosty! jak to łatwo jednym uderzeniem serca, obejmującym wszystko dobre i piękne, stworzyć je sobie, i śmiało, krokiem pewnym, z uśmiechem radosnym — przejść po nich przez życie, nie dotykając ani końcem skrzydeł jego mętów i brudów. W tej chwili



Iza czuła w swej duszy tę cudotwórczą potęgę, ogarnęło ją nagle poczucie szczęścia i mocy, jakim upaja się duch ludzki, gdy mu się uda zerwać na mgnienie oka wszystkie więzy ziemskich małostek i czystem tchnieniem zapału wzlecieć w słońce.

— Czy Oksza może asystuje ci? — zabrzmiało jej nagle w uszach pytanie brata, rzucone tonem jakimś takim dziwnym, niedowierającym niby, a spragnionym potwierdzającej odpowiedzi.

Wzdrygnęła się. Ją mianoby już teraz okuć w kajdany świetnej partyi? pod jej stopy rozesłać ten most złoty, którego ojczyznę Klondyke, a nie promienne ideały ducha! Po upływie lat kilku, przeżytych w małżeńskim jarzmie, spojonem z praw, przywilejów i uroszczeń męża milionera, ona miałaby się może także zamienić w taką małżeńską pozytywkę, umiejacą grać tylko na nutę, poddaną jej przez pana i władcę?... Nie! za nic!

Jej mąż nie będzie znudzonym już rozkoszami życia bogaczem, patrzącym na wszystkie pragnienia, radości i smutki ludzkie z wyżyn swoich stu tysięcy rocznego dochodu, nie wprowadzi jej do domu swego ze wspaniałomyślnym uśmiechem łaski; będzie człowiekiem pracującym w pocie czoła, ażeby ona pot ten mogła mu dłonią ocierać, będzie dźwigał ciężar życia, który i ona podeprze swoim ramieniem i stanie się mężowi nie jednym cackiem więcej, nabytem dla dogodzenia chwilowej zachciance bogacza, ale towarzyszką doli i niedoli, koniecznem dopełnieniem życia, światłem oczu, oddechem piersi jego...

W tej chwili przypomniała sobie Iza, że niepotrzebnie z takim uniesieniem i gorączką broniła się myśli zostania żoną Konstantego. Wszak nie było do tego nawet najmniejszego prawdopodobieństwa. Ekscentryczny »Krezus« okazywał jej dotąd zawsze zaledwie tyle grzeczności, jaka u człowieka cywilizowanego konieczną jest

w stosunku do kobiety. Dziś, po raz pierwszy, to towarzyszenie jej na niewygodnym koźle doróżki było jakby dowodem pewnego zainteresowania, ale za taką drobną grzeczność odpłacać się zaraz młodemu człowiekowi narzucaniem mu w myśli kosza, po który on może bynajmniej ręki nie wyciąga, było już nadużyciem za daleko idącej panińskiej fantazyi.

Zrobiwszy sobie w duchu tę bardzo słuszną uwagę, Iza, znacznie uspokojona, a także troszeczkę zawstydzona tem, że niepotrzebnie nagromadziła sobie w duszy taki nadmiar energii i oporu, dla których brak jej było zużytkowania, ułożyła się do snu.

Nazajutrz przy spóźnionem nieco śniadaniu Marya miała minę więcej jeszcze »nieobecnej«, niż zwykle; kosztowała nieustannie swoją herbatę, a jednak nic jej nie ubywało z filiżanki; wypytywała Izę o wczorajszy wieczór, o plany na dzień dzisiejszy, ale zadawała te pytania tak szybko i w takim nieładzie, jakby jej chodziło wyłącznie o podtrzymanie rozmowy, a wcale nie o dowiedzenie się czegoś z jej treści. Wreszcie odezwała się:

— Może cię zdziwiło, że Jaś był wczoraj wieczorem nie w humorze?

— Nie, nie zdziwiło mnie to wcale; to mu się teraz tak często zdarza — odparła spokojnie Iza.

— Bo wy, panny, myślicie, że mężczyzna może całe życie zachować na ustach ten uśmiech, z jakim starający się kawaler zwraca się do panny. A to trudno!

Mówiła z wielkim akcentem szczerości i głębokiego przekonania; tylko oczy jej, niespokojnie błędzące po obrusie, miały wyraz taki dziwny, tak jakoś sprzeczący się z treścią słów.

— Ależ, bynajmniej tego nie myślę — odrzuciła Iza. — Znam już tyłu mężów. Wiem, że po ślubie nie robią sobie oni ceremonii z okazywaniem swoich złych



humorów. Co prawda, dla żony nie musi to być bardzo przyjemne.

— Widzisz, że się mylisz. Gdy żona wie, że ją mąż kocha tak, jak mnie naprzykład Jaś... to rada jest, że nie krępuje się przed nią, jak przed obcą, że z całym zaufaniem okazuje jej, co myśli i czuje. Zresztą Jaś ma takie usposobienie, że zawsze przy ludziach jest gorszy...

— Och, mój Boże, nie tłómacz go przedemną; znam go dawniej od ciebie. Zawsze był z niego rozpieszczony bachor, jedynaczek, przed którym wszyscy proszki zmiatali. I ty zastosowałaś się najzupełniej do tej reguły, choć wierza mi: z Jasiem to zła metoda. Gdybyś mu raczej troszkę imponowała...

— Ja?... czem?

Na to naiwne w swojej szczerości zapytanie Iza rozśmiała się tylko.

Istotnie, nie łatwa byłaby to rzecz zaimponować czemkolwiek Jasiowi, który miał tak doskonałe poczucie swojej wartości pod każdym względem i zdawał się głęboko przekonany, że to poczucie dzielą z nim wszyscy, co się do niego zbliżają. Iza nie miała mu nawet tego bardzo za złe; był jej bratem; gdyby się zbyt nisko cenił, dotykałoby ją to daleko więcej. Zresztą może i ona poniekąd ulegała temu urokowi, jakim ten przystojny, bardzo sprytny, a najbardziej zadowolony z siebie człowiek potrafił się w oczach wszystkich otoczyć.

Marya ciągnęła dalej:

— Rozmawialiśmy wczoraj z Jasiem bardzo długo i bardzo przyjemnie, och, o wielu rzeczach! Wiesz, powiedział, że byłoby to doskonale, gdybyś ty wyszła za Okszę.

— Ach, dajcie mi spokój z Okszą. Co was znowu napadło z temi swatami? Dlaczego ja mam za niego wychodzić?

— Podobno... jest bardzo bogaty.

— Rotszyld jest jeszcze bogatszy, a jednak za niego nie idę... prawdopodobieństwo akurat takie same. Oksza na mnie nie patrzy, ani ja na niego.

— Jaś powiada, że każdego można sobie ująć...

Ach, jak fałszywie grała ta małżeńska pozytywka, nakręcona przez męża, a nie nastrojona do właściwego tonu! Gdyby Jasiowi chodziło o zupełne zerwanie stosunków pomiędzy swą siostrą a Konstantym, nie mógł do tego obrać lepszego sposobu, jak poddanie Maryi myśli tych swatów. Iza tak była w duszy zabawiona tem zupełnem fiaskiem dyplomatycznych zabiegów brata, że już ją nawet uwagi Maryi nie niecierpliwiły.

W tej chwili wszedł służący z biletem wizytowym na srebrnej tacce. Marya, zdziwiona tak ranną wizytą, rzuciła okiem na kartkę.

— Malicki?... Malicki... to chyba do Jasia ktoś z interesem. Powiedz, że pan dyrektor przyjmuje w biurze pomiędzy trzecią a piątą.

— Ten pan pytał się o jaśnie panią i mówił, że ma pilny interes, że koniecznie potrzebuje się widzieć.

Marya zarumieniła się. Znowu twarz jej przybrała ten wyraz zaleknienia i niepewności, który tak często się na niej odbijał; nie zwróciła się jednak do Izy po radę. Wogóle nie radziła się nigdy nikogo, choć miała zawsze taką minę, jakby nie wiedziała, co zrobić. I teraz stała chwilę z oczyma, utkwionemi w ziemię, widocznie wahając się czy wyjść na przyjęcie natrętnego gościa. Potem, przystąpiwszy do zwierciadła, zaczęła z nadzwyczajnem staraniem poprawiać włosy i rozmaite drobne szczegóły toalety.

— Ależ już dobrze, Maryo — odezwiała się z lekką niecierpliwością w głosie Iza, której żywość nie znosiła tak długich namysłów i przygotowań.

— Co mówisz? — spytała bratowa, podnosząc na nią zdziwione, jakby nagle ze snu otwierające się oczy.



Nie czekając odpowiedzi, zwróciła się ku drzwiom salonu i znikła za portyera.

Iza przez chwilę zajmowała się przeglądaniem porannej gazety, leżącej na stole, ale wkrótce rozmowa, dochodząca ją z za ściany, przykuła jej uwagę. Rozmowa ta stawiała się coraz żywszą i głośniejszą; obcy głos męski przybierał brzmienia szorstkie, niecierpliwe; niektóre słowa dochodziły już wyraźnie do uszu Izy. Szło najwidoczniej o jakiś interes, prowadzony przez spółkę handlową, której Jan był dyrektorem. Wyrazy jak: zadatek, kaucya, zwrot, tytuł własności, powtarzały się co chwila i z coraz to dobitniejszym akcentem.

Marya — sądząc z jej odpowiedzi — nie rozumiała wcale, o co chodziło. Na coraz natarczywsze nalegania i omal pogroźki nieznajomego odpowiadała banalnymi frazesami o zajęciach męża, o braku czasu, na jaki każdy w mieście się uskarża, wreszcie o rozpoczynającym się już sezonie towarzyskich zebrań.

— Boże, jaka z niej gęś! — myślała z niecierpliwością Iza i była już prawie gotową wyjść do salonu i rozprawić się krótko i jasno z natarczywym jegomością; powiedzieć mu, że do prywatnego salonu pana Jana Wyszomirskiego nie wchodzi się z jakimiś pieniężnymi pretensjami, że wreszcie pretensje te, jeśli są słuszne, będą z największą pewnością w należnym czasie zaspokojone. Gdyby Marya miała choć najmniejsze poczucie taktu i godności, zdobyłyby się przecież na taką odpowiedź.

Nagle drzwi, prowadzące z drugiego przedpokoju do jadalni otwarły się i sam Jaś się w nich ukazał.

— Ach, dobrze, że jesteś! — zawołała Iza. — Tam jakieś indywiduum wtargnęło do salonu i niepokoi Maryę swojemi interesami, jakby ona była przedstawicielem firmy; a nasza dobra Marynieciska nie orientuje się wcale w sytuacji i usiłuje go w najlepsze bawić rozmo-

wą o karnawale. Idźże tam i przerwij już raz to niezabawne *qui-pro-quo*.

Jan skierował się ku drzwiom salonu, ale, kładąc już rękę na klamce, posłyszał jakiś głośniejszymi wymówiony wyraz i zamiast naprzód, postąpił o parę kroków wstecz.

— Nie wiesz, kto tam jest? — zapytał siostry.

— Leży tu gdzieś jego bilet wizytowy, nie czytałam nazwiska, ale słyszę, że idzie mu o jakąś kaucję, czy tam depozyt, złożony w waszem biurze.

Rumieniec uderzył na twarz Jana. Rysy jego przybrały wyraz pomieszania, graniczący prawie z przerażeniem. Stał chwilę niepewny i wahający się, nareszcie syknął przez zęby z gniewem: Osioł! i zawrócił ku drzwiom swego gabinetu:

— Nie idziesz tam? — spytała ze zdziwieniem Iza.

— Nie... to jest, widzisz, w tej chwili spieszę się bardzo; niech go tam Marynia odprawi... to nudziarz, który rości sobie wiecznie jakieś nieuzasadnione pretensje i nagabuje wszystkich.

Głos miał zmieniony, prawie drżący.

Iza patrzyła ze zdumieniem na to dziwne zachowanie się brata, który dotąd objawiał stale niezachwianą pewność siebie, a pogardliwą obojętność dla drugich.

— Jeżeli nieuzasadnione, to powiedz mu to krótko a wężłowato i odpraw go. Marynia będzie się z nim certować dwie godziny, i zresztą cóż ma robić, skoro pewno nie rozumie nawet dobrze, o co chodzi.

— Ach, rozumie, czy nie, to na jedno wyjdzie; kobieta najprędzej załatwi każdy interes dlatego właśnie, że go nie rozumie...

Urwał nagle, a Iza spojrzała na niego bystreml, przenikliwemi oczyma.

Pod tym pytającym wzrokiem czoło Wyszomirskiego zachmurzyło się i pokryło ciemniejszym jeszcze rumieńcem.



— Najlepiej nie trószc się sprawami, które cię nie a nic nie obchodzą — rzekł szorstko i jakby dla przerwania dyskusji, wyszedł do swego pokoju, zamykając drzwi na klucz za sobą.

Iżę ogarnęło jakieś dziwnie przykre uczucie. Nie rozumiała, dlaczego słowa brata i to jego cofnięcie się od drzwi przejęło ją zarazem niepokojem i niesmakiem, oburzeniem, które jego dość szorstkie zachowanie się, niedostatecznie jednak usprawiedliwiało, a równocześnie jakąś trwogą o niego, o Maryę, o nią samą — trwogę przed brzydkim cieniem, który nagle wypełznął ku niej z poza tej portyery, przysłaniającej drzwi salonu, i choć nieujęty, bez kształtu, bez głosu i bez nazwiska, przytłaczał ją, jak ciężar, który w śnie przykrym zdaje się nam piersi przygniatać.

— Niech pani będzie łaskawa oświadczyć panu dyrektorowi, że jeśli do trzech dni kaucya moja nie będzie zwrócona, oddam całą sprawę prezesowi rady nadzorczej — mówił podniesiony głos nieznajomego.

— Prezes wyjechał podobno do Abbazyi. W tym roku ma tam być mnóstwo Polaków — zaszczebiotała Marya, tym swoim cienkim, rozpaczliwie jednostajnym głosem, który miał w sobie coś ćwierkania ptaka.

— Chociaż prezes wyjechał, znajdują się tacy, którzy rozsądzą, czy kaucya, złożona przez klienta na miesiąc, może być wciągnięta w obrotowy kapitał spółki i hypotekowana na jakichś nieistniejących wcale dobrach jednego z funkcyonaryuszów. Pragnąłem to wypowiedzieć w oczy panu dyrektorowi, ale że go obecnie nigdy w biurze niema, byłem zmuszony zwrócić się do pani, zaco przepraszam i żegnam panią dobrodziejkę.

Słychać było szmer złożonego ukłonu i oddalające się szybko niecierpliwe kroki.

Iza powstała także; postąpiła nagle ku drzwiom z wpół otwartymi ustami, jakby w zamiarze wejścia tam,

rzucenia nieznajomemu w twarz słowem pogardliwego oburzenia w zamian za echo tej pogroźki, które ze ścian tego wykwinanego mieszkania zdawało się wywoływać widmo poniżenia i trwogi. W pół drogi jednak cofnęła się z uczuciem gorzkiego upokorzenia, że nie śmiała tam wejść, nie śmiała odeprzeć napaści, rzucającej cień na honor jej jedyne go brata.

Marya powróciła z salonu z twarzą równie spokojną, bezmyślnie uśmiechniętą, z jaką przed kwadransem szła przyjmować nieznajomego. Tylko rumieńce na jej policzkach były nieco mocniejsze, niż zwykle.

— Czego chciał ten człowiek? — spytała Iza po chwili, widząc, że bratowa nie śpieszy z wyjaśnieniem.

— Och, nie wiem dokładnie, miał jakiś interes do Jasia.

I biorąc do ręki leżącą na stole gazetę, dodała:

— Przeglądaś już dziennik? Czy jest co nowego?

— Nie wiem — odparła krótko Iza i odeszła do swego pokoju.

Długą godzinę chodziła tam i napowrót po swoim pokoju, usiłując uspokoić i rozprószyć przykre myśli, które obległy ją tak niespodzianie, a z takim natęctwem. Daremnie. Jak na utrapienie, stanęło jej nagle w myśli mnóstwo drobnych faktów niedalekiej przeszłości, na pozór nic nie znaczących i na razie nawet niezauważonych, ale które teraz powstawały w jej pamięci, złączone razem w jakiś ogromny, przygniatający argument, przeciw któremu daremnie usiłowała protestować wszystkimi siłami swej duszy.

Przypominała sobie dziwnie nierówny humor Jasia w ciągu ostatnich miesięcy, nagle, niczem niespowodowane wybuchy jego podrażnień, po których bezpośrednio przychodził paroksyzm wesołości hałaśliwej, nerwowej, może tylko sztucznej, udanej umyślnie dla zatarcia poprzedniego wrażenia.



I wizyta ciotki Femci stanęła jej w myśli. Zdawało jej się, że słyszy jeszcze głos starej krewnej, jak oglądając świeżo obite meble i dokupione do upiększenia nowego mieszkania kosztowne fraszki, mówiła, potrząsając głową, do Maryi: — Bardzo pięknie, bardzo pańskie i wykwentne to wszystko, ale czy was nie za drogo kosztuje? Ja wiem, że Jaś ma dochody, ma głowę do interesów... tylko że to głowa do robienia pieniędzy tylko jedna, a rąk do wydawania ich, dwie.

Cienki, spuszczone nos i okrągłe, czarne oczy ciotki Eufemii nadawały jej twarzy jakiś wyraz sowej mądrości, i przestroga jej zabrzmiała nagle w uchu Izy głosem puszczyka, zwiastującego bliskość nieszczęścia.

Wówczas, w pierwszej chwili, nie zrobiło to na niej przynębiającego wrażenia, działo się to bowiem właśnie w epoce największych powodzeń finansowych Jasia, kiedy związana przez niego akcyjna spółka handlowa zakładała filie w Brodach i w Białej, a równocześnie ogromną dywidendę roczną wypłacała swoim akcjonariuszom. Mówiono ogólnie wtedy, że Wyszomirski ma głowę na ministra finansów, że wszyscy drobniejsi pośrednicy w sprawach handlowych będą musieli ustąpić z pola »towarzystwu«, operującemu z taką forszą materyalną i intelektualną. Jaś, powołany odrazu przez trzy poważne instytucje finansowe na delegata, członka rady nadzorczej i komisji rewizyjnej, promieniał. Chodził po domu i po biurach swoich, jak półbożek, na którego skinienie szale ludzkości chwiać się i przeważać mogą. Wszedł w modę. Mężczyźni garnęli się do niego. Kobiety, olśnione nimbem tej sławy finansowej, afiszowały się wprost ze słabością dla pięknego dyrektora. Jeden tylko Oksza, gdy raz u Jadwigi mowa była o tych powodzeniach spółki handlowej, rzekł ze zwykłym sobie spokojem, zniżając nieco głos i patrząc w oczy Izy, jakby ta uwaga dla niej wyłącznie była przeznaczona:

— Tak, spółka taka mogłaby mieć w naszym kraju ogromne pole działania, ale... są pewne trudności ekonomiczne, społeczne i, że tak powiem, nawet psychiczne, wynikające z naszego narodowego charakteru, z którymi ogromnie liczyćby się trzeba. Nie wiem, czy Jaś ma dostatecznie zimną krew. W przeciwnym razie mógłby się łatwo zagalopować...

Co znaczyło takie słowo »zagalopować« w zastosowaniu do spraw finansowych?

Czy, w formie obojętnej uwagi rzucona, przepowiednia Okszy, ziściła się już wówczas, gdy filie, zakładane na pograniczach kraju, zbankrutowały i musiały być zwinięte ze szkodą głównego zarządu, który też zaraz od półroczu obciął do połowy obiecaną akcjonariuszom dywidendę? Czy wynikające stąd ograniczenie interesów spółki, które Jaś jednak zdawał się przyjmować filozoficznie, jako niegroźny i przejściowy tylko symptom, było rzeczywiście już całkowitem i ostatecznym załatwieniem trudności, wynikłych ze zbyt forsownej gospodarki? Czy też może to słowo »zagalopować się« mogło grozić czemś więcej jeszcze?...

Z wyrazem silnego postanowienia Iza zwróciła swe kroki w stronę gabinetu brata. Pocóż miała się dęczyć ciemnymi przypuszczeniami, gdy jedno jego słowo mogło rozświecić wszystko? Poco, w razie tej najgorszej, najczarniejszem obliczem wyzierającej ku niej szansy, pozwolić się jemu łamać pod ciężarem zgryzoty i wstydu, kiedy ona mogła może jeszcze podaniem pomocnej ręki cofnąć go od brzegu przepaści?

— Proszę — odpowiedział z wnętrza spokojny i niezmienny głos Wyszomirskiego, gdy Iza zapukała do jego drzwi.

Weszła i zaraz od progu piekące pytanie, które ją tu przygnało, zastygło na jej ustach. Jan siedział wygodnie rozparty w fotelu przed biurkiem, na którym nie



rachunkowe księgi, ani stosy urzędowych papierów, ale najświeższy romans francuski leżał, świecąc białymi kartkami welinowego papieru. Obłoki wonnego dymu wypełniały pokój, urządzone z wykwintnym smakiem artysty-eleganta i sybaryty, szukającego we wszystkim wygody.

Nic w tym pokoju, w systematycznie porozstawianych kosztownych fraszkach, nie zdradzało najmniejszej zmiany w życiu ich właściciela, nic nie mówiło o bolesnem targaniu się z widmem troski; z żadnego kąta nie przebłyskiwało ostrze Damoklesowego miecza, któryby mógł grozić tej, tak pięknej, dumnie podniesionej głowie.

Może jedynie... zbyt wielki stos, ledwie ponadpalanych i jakby w zniecierpliwieniu porzucanych papierosów, zalegał obie popielniczki i podstawę kryształowego kałamarza, ale któż wie, czy winna temu była troska, gryząca duszę, czy też jakaś niedokładność w tutkach cygaretowych?

— Czem mogę ci służyć? — zapytał swobodnie Wyszomirski, zwracając się ku siostrze.

Milczała... Nie umiała tak panować nad sobą, aby dostroić się odrazu do jego spokojnego tonu, a rzucać tak wprost, tragicznem pytaniem w twarz człowiekowi zaczytanemu, zda się, z takim zajęciem w płytko skandalicznej bajce francuskiej, wydało jej się w tej chwili śmiesznem.

Po krótkim namyśle wybrała drogę pośrednią.

— Nie dziw się, że cię aż tu nachodzę — zaczęła głosem lekko drżącym, choć siła się o nadanie mu równego brzmienia — ale... zdawało mi się, że w ostatnich dniach byłeś trochę skłopotany...

— Ja? Broń Boże! Jestem weselszy i bardziej zadowolony, niż kiedykolwiek. Dlaczego ci tak niedorzeczne przypuszczenie przyszło do głowy?

Wyzywająca ostrość tego pytania utwierdziła na nowo obawy Izy, cofające się już w głąb jej duszy. Z oczyma, utkwionemi prosto w źrenice brata, tak, aby najlżejszy ich błysk w przelocie pochwycić, panna Wyszomirska badała dalej:

— Skąd? Nie wiem. Ale jestem pewna, że tak jest i pewna także, że kłopoty twoje są natury finansowej.

— O, jakże jesteś jasnowidząca! — rozśmiał się szyderczo Wyszomirski, pochylając nagle i usuwając w ten sposób swoją twarz z pod przenikliwego wzroku siostry. — Istotnie, dyrektor spółki handlowej, którego piękna siostra i pełna domowych cnót żona — dwie, jedynie obchodzące go na świecie istoty — zdają się kwitnąć zdrowiem i szczęściem, jeżeli ma jakieś kłopoty, to może je mieć jedynie na polu finansowem. Ale co do mnie, bądź spokojna, nie mam w tej chwili żadnych materialnych trosk, a przynajmniej nie mam ich w tem znaczeniu, jakie wy nadajecie takim określeniom.

— My, kobiety, nie nadajemy wyrazom żadnego innego znaczenia, tylko takie, jakie mają dla wszystkich. Kłopotem finansowym nazywam, jeśli komuś brak pieniędzy na rzeczywistą potrzebę lub na interes, którego załatwienia domaga się nietylko jego korzyść, ale i... obowiązek.

Chciała powiedzieć: uczciwość; jednak nie zdobyła się na to. Nie łatwo to rzucić taką insynuację w oczy bratu, którego się dotąd miało za uosobienie honoru i uczciwości.

— Moja kochana, trzeba ci wiedzieć, że w wielkich interesach finansowych ta potrzeba pieniędzy może być nadzwyczaj elastyczną, jak również i obowiązek...

— Obowiązek nie jest nigdy elastycznym.

— To frazesy! — rozśmiał się ironicznie Jan. — A zresztą — dodał, przechodząc nagle w ton mocno podrażniony — jeżeli przypuszczasz, że mam istotnie



w tych czasach jakieś przykrości i kłopoty, to dlaczego przychodzisz mi je wypominać? Czy twoja indagacja może mi je uczynić złej? Czy też przypuszczasz, że siedzę przed kasą ogniotrwałą, napełnioną banknotami i tylko nie chce mi się ręki wyciągnąć dla wydobycia z niej potrzebnej sumy, więc przychodzisz wyrazić mi o tym swe zdanie, aby przełamać moje lenistwo, czy niedbalstwo w załatwianiu interesów?

— Nie, Jasiu, nie rozumiesz mnie wcale. Ja przyszedłam cię zapytać czy... twój honor, twoja dobra opinia nie zawisły w tej chwili od możliwości szybkiego zdobycia kilkunastu, może nawet tylko kilku tysięcy? Bo, gdyby tak było... to pamiętaj, że pieniądze te mieć możesz, że je masz nawet. Mój kapitałik jest w tym razie zupełnie do twego rozporządzenia. Wszak arkusz depozytowy schowany jest u ciebie. Weź, ile potrzebujesz. Gdy będziesz mógł, oddasz mi.

Głos Izy przy ostatnich słowach zmiekkł i złagodniał. Usiłowała swoją ofiarę ubrać w słowa jaknajprostsze, dlatego właśnie, że w głębi duszy ofiarą to dla niej było prawdziwą. Wiedziała, że wyrzeka się sumki, zapewniającej jej zupełną niezależność materialną i swobodę rozrządzania swoją osobą. Nie była już dzieckiem, nierozumiejącem wartości pieniędzy. Wczesne sieroctwo przyzwyczało ją do polegania na sobie tylko. Od lat dwóch mieszkała w domu brata i było jej tam dobrze i miło, może dlatego głównie, że układ ten, zawarty tylko czasowo, trwał mocą zobopólnej chęci, a nie mocą konieczności, że mogła w każdej chwili stworzyć sobie własny, pewny dach nad głową, i że tymczasowo, pobierając od Jasia tylko niewielką część swoich dochodów na drobne wydatki, resztę pozostawiała u niego na ogólne domowe potrzeby, aby się nie czuć na łasce.

To wszystko, pozwalając bratu korzystać ze swego kapitału, traciła w jednej chwili. Ale nie cofnęła

się. Uczyniła ofiarę z siebie z tym naturalnym, a tak silnym popędem do robienia dobrze, który u natur wrzliwych a szlachetnych nie pozostawia czasu na wahania.

Zbliżyła się do brata z łagodnym uśmiechem, kładąc mu rękę na ramieniu. Takie już miała usposobienie, że najlepszą, najłagodniejszą bywała zawsze dla tych, którzy potrzebowali jej pomocy, może dlatego, że sama dumna i drażliwa, odczuwała na miarę swoich uczuć przykrość i upokorzenie, jakie prawie nieodłącznie towarzyszą każdemu świadczonemu dobrodziejstwu.

Wyszomirskiego istotnie propozycja jej zmieszała tak, że chwilę patrzył na nią prawie z przestachem, na wpół osłupiałemi oczyma. Nareszcie opamiętał się, zdjął jej rękę ze swego ramienia i poniósł ją do ust, mówiąc jakimś bezbarwnym, większe zakłopotanie niż radość, zdradzającym głosem:

— Dziękuję ci. Bardzo jesteś dobra, moja droga. Mam całą nadzieję, że do tej konieczności nie przyjdzie, ale zawsze bardzo ci jestem wdzięczny.

I jakby pilno mu było odwrócić tok rozmowy i myśli od tego przedmiotu, zagadnął ją nagle.

— Nie wyjdziecie dziś nigdzie z Maryą?

— Nie wiem co Marya zamierza robić, ja nigdzie się nie wybieram — odparła Iza trochę chłodno, bo ją zmroził już znowu swobodny ton brata i to jego lekkie, obojętne przejście do porządku dziennego ponad sprawą, w którą ona, aby mu ulżyć, włożyła tyle serca i duszy.

— Podobno dziś dają jakąś niezłą premierę. Chwalono ją wczoraj w kasynie. Gdybyście miały ochotę pójść, poślę wam po łóżę.

— Dziękuję ci. Nie mam dziś najmniejszej ochoty iść do teatru.

W tonie Izy zadźwięczała prawie uraza. Wydało jej się, że brat, który propozycję jej przyjął tak jakoś dziwnie, z większym zakłopotaniem, niż wdzięcznością,



teraz usiłował jeszcze resztki tej wdzięczności spłacić lożą do teatru. Przytem, jeżeli wisiały nad nim w tej chwili kłopoty finansowe, czyż była to pora do robienia żonie i siostrze kosztownych przyjemności? Iza nie uznawała żadnych półcieni i półśrodków w życiu; nie rozumiała ustępstw, robionych przez bezwzględne poczucie uczciwości na rzecz drobnych konieczności życiowych, przyzwyczajęń, wymagań towarzyskich. Komu brak było dziesięciu tysięcy na spłacenie długu, ten, jej zdaniem, nie powinien był wydawać pięciu centów na przyjemność lub zbytek. Jej się zdawało, że trudnoby jej było podnieść do ust kawałek chleba, kupiony w takich okolicznościach — jak gdyby kosztem cudzej kieszeni.

Po krótkim milczeniu zwróciła się ku drzwiom. Jan odgadł może treść jej myśli, bo podniósł się z fotelu i wyciągnął do niej rękę, dodając:

— Dziękuję ci serdecznie za twoją ofiarę. Będę usiłował nie korzystać z niej, ale w każdym razie dziękuję ci, że mi tak rozwiązałaś ręce.

»Będę usiłował nie skorzystać z niej!« W miękkim, chwiejnym tonie, jakim te słowa były wymówione, odgadywało się łatwo, że w głębi duszy Wyszomirski zdecydowanym już był właśnie korzystać ze wspaniałomyślnej propozycji. Dla formy tylko bronił się niby jeszcze trochę i wymawiał, bo mu wstyd może było wyciągnąć tak zaraz ze skwapliwością rękę po majątek siostry, pozostawiony przez umierającą matkę jego pieczy.

Tak przynajmniej Iza tłumaczyła sobie jego widoczne pomieszanie i ten zupełny brak radości, z jakim przyjmował z jej rąk wybawienie, podawane tak chętnem, szczerem sercem. Opuszczała też jego pokój z poczuciem przykrego zawodu. Inaczej zupełnie wyobrażała sobie tę rozmowę. Liczyła, że pod wpływem żywszego wzruszenia Jan pomówi z nią otwarcie, że pozwoli jej choć okiem rzucić w ten wir interesów, który przejmował ją instynktownem poczuciem niepokoju.

Może szczere wyjaśnienie ukołysałoby te ciemne obawy i podejrzenia, zrodzone w jej piersi tak nagle, a jednak odrazu z taką dręczącą mocą, jaką miewają niekiedy bezwiedne, złe przeczucia, gdy im karmy dodaje cały szereg wysnutych z rzeczywistości spostrzeżeń i wniosków. Tymczasem spokojny ton i uprzejma obojętność Jasia ograniczyły tę konferencję do poziomu codziennej, towarzyskiej pogadanki. Gdyby mu była przyniosła, wyręczając służącego, szklankę wody, którejby był spragniony, nie inaczej rozegrałaby się między nimi scena podziękowań i przyjmowania tej przysługi. A jednak, wychodząc po za te drzwi, Iza czuła się uboższą o całą wolność osobistą, która dla jej niezależnej natury była pierwszym, a może nawet zupełnie wyłącznym warunkiem szczęścia.

Powróciwszy do swego pokoju, zaczęła zmieniać strój ranny na wizytowy, gdyż przypomniawszy sobie, że dzień ten był właśnie dniem tygodniowego przyjęcia w salonie bratowej. Gdy, poprawiając włosy, spojrzała w zwierciadło, stanął jej nagle w myśli cały wieczór wczorajszy, toasty wnoszone u Jadwigi i jej uczucia własne, wczoraj, niewiedzieć czemu, pełne takiej radosnej dumy i mocy, bujające po najwyższych, pełnych blasku przestworach, dziś jakby zwichnięte, wlokące za sobą ciężar niepokoju i zniechęcenia.

Złote mosty! Z jaką dobrą wiarą mówiła wczoraj, że każdego stać na zbudowanie ich sobie w duszy. Teraz przyszło jej na myśl, że każdy budowniczy do budowania potrzebuje odpowiedniego materiału. A skąd tu dusza ma czerpać idealne porywy, gdy tyle nędzy, słabości i brudu nasuwa jej się za każdym głębszym sięgnięciem w życie?

W tej chwili przyniesiono jej list od Jadwigi. Prosiła ona, aby Iza była tak dobrą przyjść na parę godzin i zastąpić ją w towarzyszeniu przy obiedzie babce, dziś



trochę cierpiącej; obiecywała, że wzamian zato podzieli się z nią jakąś bardzo wielką, niespodziewaną nowiną.

Zaintrygowana temi słowami, Iza zebrała się czemprędzej i uwiadomiwszy bratową, że nie będzie w domu na obiedzie, pośpieszyła do przyjaciółki.

Przy pożegnaniu z Maryą wydało jej się, że młoda kobieta miała oczy zaczerwienione i jakby łez pełne. Doznała takiego wrażenia, jakby ktoś ciężar, zawieszony tuż ponad jej głową i grożący jej lada chwila upadkiem, stoczył jej nagle na same piersi. Te łzy Maryi, to było potwierdzenie wszystkich jej własnych obaw. Z uczuciem litości, połączonej z bezwiednym wstydem, jakby solidarność rodzinna i ją czyniła odpowiedzialną zato, co się działo, pochyliła się ku bratowej, aby ją pocałować. Ale Marya uchyliła się lekko i wysunęła rękę, z porozumiewawczego, pełnego współczucia uścisku, widocznie nie rozumiejąc, co go podyktowało.

— Jestem taka zakatarzona, lepiej nie zbliżaj się do mnie — rzekła niby w rodzaju tłumaczenia, pochylając głowę nisko nad kanwową robótką, i dodała śpiesznie: — Wszak wrócisz przed piątą? Zdaje mi się, że dziś będzie u nas dużo osób.

— Wrócę — odparła krótko Iza.

### III.

Prześliczny był dzień! Pod błękitem nieba ziemia cała, skąpana w blaskach słonecznych, rozorana wszertz i wzdłuż do jesiennych posiewów, zdała się oddychać cicho i wypoczywać tak słodko jak człowiek po całodziennej pracy. Wydała już plon tegoroczny, przyjęła w łono nowe ziarno i teraz zdawała się być ogarnięta tą rozkoszną niemocą, jaką daje trud ciężki, szczęśliwie ukończony. Na ścieżki i zielone jeszcze trawniki miejskiego ogrodu złote i purpurowe liście drzew opadały

zwolna, z cichym, jednostajnym szelestem, jak senne kwiaty lub obumarłe motyle. Lekki oddech powietrza niósł ponad ziemią długie, białe nici babiego lata, zaczepiając je tu i owdzie o błyszczące w słońcu druty telefonu, niby złota siatka, rozpięte pod błękitem nieba.

Iza, wydostawszy się na ten świat Boży z pokoju mrocznego, odetchnęła pełną piersią, jakby wszystko, co jej tę pierś przygniatało, pozostało tam, wśród dusznych ścian i kosztownych portyer, kradnących blaski słoneczne i orzeźwiające powiewy.

Taki dzień jest lekarstwem na wiele bólów i trosk, zwłaszcza w młodej piersi.

Umyślnie obeszła całym kręgiem ulic, ażeby użyć przechadzki, i zarumieniona ruchem, ożywiona nadzieją usłyszenia tej »niespodziewanej nowiny«, zapowiedzianej w liście Jadwigi, zadzwoniła do drzwi jej mieszkania. Na spotkanie oczekiwanego gościa wybiegli razem Jadwiga i Otwocki. Oboje mieli jakieś dziwne uśmiechy w oczach i na ustach, jakiś wyraz twarzy niecodzienny, nowy zupełnie, który Jadwigę odmładzał, a Kazimierzowi przeciwnie, zdawał się dodawać powagi.

— No, zgaduj! — zawołała wesoło Jadwiga, stając przed przyjaciółką wyprostowana, jakby dla szczególnej obserwacji. — Zgaduj, co to za nowina, którą ci obiecałam?

— Ależ chyba... nie, doprawdy nie mogę zgadnąć, powiedźcie mi!

I na przypuszczenie, które przemknęło jej przez myśl, Iza zarumieniła się, jakby to o nią samą chodziło.

— Aha, nie możesz! A jestem pewna że już wiesz, i nawet spiekałaś raka za mnie, jakbyś przeczuwała, że ja nie widzę koniecznej potrzeby w takich okolicznościach rumienić się i spuszczać oczu. No, niema się co zastanawiać długo, powinszuj nam: od dwóch godzin jesteśmy narzeczonymi.



— Winszuję ci! winszuję całem sercem! — wykrzyknęła ochoczo Iza, ściskając przyjaciółkę. A zwracając się do Kazimierza, dodała niemniej serdecznie: — Życzę panu szczęścia bardzo gorąco, jako najdawniejszemu przyjacielowi.

— A dlaczego dla mnie i dla Kazimierza odmienna formułka życzeń? Czy myślisz, że mnie już winszować, a jemu dopiero życzyć szczęścia potrzeba?

— Ależ, broń Boże, nie myślałam nic takiego! Po prostu nie chciałam się powtarzać — tłumaczyła się Iza, prawie zmieszana takim pytaniem.

— Bo widzisz, moja kochana, ja właśnie główną rękojmnię naszego szczęścia upatruję w tem, że oboje do małżeńskiej spółki wnosimy równe stawki: uczciwości, gruntownych zasad, inteligencji i uzdolnienia do pracy...

— A miłości? — szepnął niemal z wymówką Kazimierz, patrząc w ożywioną i ładniejszą dziś, niż kiedykolwiek, twarz narzeczonej, oczyma, które z jego strony dawały dostateczne rozstrzygnięcie tej kwestyi.

— No, co tam, to się rozumie! — roześmiała się wesoło panna — ale miłość sama jest jeszcze niczem...

— O cicho! szkaradna rezonerko! — przerwała wesoło Iza. — Panie Kazimierzu, czy pan pozwala swojej narzeczonej wygadywać takie herezye?

— Kiedy mi już z góry zapowiedziano, że mi nic pozwalać, ani nie pozwalać nie wolno...

— No, spodziewam się! — przecież to nie moja babcia wychodzi za mąż, tylko ja; nie niewolnica poddaje głowę pod jarzmo, tylko człowiek, obdarzony rozumem i wolną wolą, łączy się z drugim, równym człowiekiem, na wspólne trudy, wspólne radości i smutki.

— Oby tych było jaknajmniej dla ciebie — szepnął Kazimierz ze wzruszeniem, całując rękę narzeczonej.

Izie wydało się, że w tych prostych słowach było więcej szczerości i głębi uczucia, niż w całem wyznaniu

Jadwigi, we wszystkich rozumnych wywodach i wnioskach, w które zbroiła się, idąc na zdobycie szczęścia.

Chwilę trwało milczenie, narzeczeni patrzyli na siebie i uśmiechali się; w uśmiechu tym rysy. Jadwigi zdały się mięknąć i rozpromieniać jakimś wewnętrznym światłem; choć tak się zarzekała przed chwilą rumieńców, spuszczenia oczu i t. p. przestarzałych słabostek, jednak z pewnem zakłopotaniem odwróciła głowę, gdy żrenice Kazimierza coraz goręcej zaczęły jej mówić rzeczy, którym usta nie śmiały dotąd dać wyrazu. Ta »spółka dwojga ludzi, równych sobie i jednakie do gry życia przynoszących stawki«, określona przez nią tak jasno i przedmiotowo, przecież przejmowała ją pocuciem rozkosznego lęku i onieśmienia, do którego wstydyby się jej było przyznać.

— A cóż babcia na to? — spytała nagle Iza.

— O, babcia, naturalnie bardzo kontenta. Babcia zresztą zawsze ze wszystkiego zadowolona, a jeszcze Kazia tak lubi. Prosiłam cię właśnie, żebyś była tak dobrą spędzić dziś z nią kilka godzin, bo w nocy była trochę cierpiąca, a że my oboje mamy wyjść...

— Ale jeszcze nie: dawać na zapowiedzi? — zapytała figlarnie Iza.

— Na zapowiedzi? cóż za pytanie! — odrzuciła Jadwiga prawie z oburzeniem.

— Jeśli chodzi o dobre chęci z mojej strony, to pytanie bardzo trafne — wtrącił Kazimierz prawie z nieśmiałością.

— No, no, proszę się z tem nawet nie odzywać! znasz warunki naszego układu: o ślubie na obecną chwilę nawet mowy niema. Choć bardzo się kochamy, zdaje mi się już od lat paru, i nic nie szkodzi, żeśmy to dzisiaj sobie nareszcie powiedzieli, ale pokochaliśmy się właśnie dlatego, że się doskonale znamy i rozumiemy. Nie będziemy też wzajem wymagać od siebie, żeby to wy-



znanie zmieniło nagle kierunek naszych myśli, naszych dążeń, upodobań, wszystkiego co stanowi nasze wewnętrzne *ja*, bo wtedy chyba i miłość nie miałyby się do czego przystosować. Co do mnie, chciałam się uczyć i uczyć się będę, a że wiem, że gdy raz pójdę za męża, obowiązkiem moim będzie dać prym garnkom nad książkami, więc chcę o ile możliwości przedłużyć sobie ten okres czasu, w którym mogę usunąć garnki dla książek. Przedewszystkiem, skończę uniwersytet, a po ostatnim egzaminie, choćby nazajutrz, mogę brać ślub.

— Ależ to w takim razie jeszcze całe lata czekać będziecie.

— To i cóż! mieszkamy przecie w jednym mieście, będziemy się widywać...

— Wszystko to się jakoś ułoży jeszcze, może z tych lat zrobią się miesiące — a nie, to poczekamy — szepnął Kazimierz, mrugając porozumiewawczo na Izę, tak, jak to czynią starsi w obecności dzieci, których nie chcą drażnić zbyt jawnym sprzeciwianiem się im, choć ich słowom najmniejszej nie przyznają słuszności.

Ale Jadwiga podchwyciła ten uśmiech i to mrugnięcie, i odrzuciła tonem, który przybrał nagle bardzo stanowcze, prawie oschłe brzmienie:

— Wiesz dobrze, że nic innego »układać się« nie będzie. Nie jestem chorągiewką na dachu i nie mogę tak ni stąd, ni zowąd przemienić tego, co było dotąd celem mego życia, wszystkich najgorętszych pragnień i najwytrwalszych usiłowań. A zresztą — dodała już z uśmiechem — czyż nie postanawialiśmy sobie wczoraj jeszcze wytrwać oboje w służbie nauki, która miała stać się dla nas złotym mostem życia? Czyż w upływie tych kilkunastu godzin już się tak całkowicie przemienił, że chcesz się sprzeniewierzyć naszym hasłom?

— Ja nie, ale świat cały przemienił się wkoło mnie od wczoraj! — rzekł z gorącym uczuciem Kazimierz.

I jakby się zawstydził swego wybuchu, usunął się zupełnie od dziewcząt, a następnie przeszedł do sąsiedniego pokoju.

— Nie spodziewałam się dziś takiej nowiny, ale cieszę się nią całym sercem — zaczęła Iza. — Zrobiłaś co mogłaś, najlepszego, p. Kazimierz taki jest sympatyczny.

— Bardzo sympatyczny, tylko troszkę za sentymentalny, ale to minie. To zwykle podobno mężczyźni pierwsze dni po zaręczynach, tak samo jak i po ślubie, są tacy rozczuleni; my mamy inne usposobienie. Ja, pomimo całego przywiązania, jakie mam dla Kazia, będę się musiała dopiero nałamywać i przyzwyczajać do mojej roli. Zato kobiety w małżeństwie podobno wytrwalej kochają od mężów.

— Ach, moja kochana, czyż to można stawiać takie ogólne prawidła? — odrzuciła Iza z niesmakiem. — To przecież zależy wszystko od indywidualności.

— Zapewne; tylko że każda indywidualność musi ulegać pewnym psychologicznym i fizyologicznym prawom. Są naturalnie wyjątki, anomalie, ale mówi się o przeciętnym ogóle.

Kazimierz powrócił i młodzi narzeczeni zaczęli razem wybierać się do wyjścia. Szli na odczyt, obudzający w całym świecie naukowym wielkie zaniepokojenie. Prelegent bowiem miał jakoby poczynić w świecie zjawisk przyrodzonych jakieś nadzwyczaj ważne odkrycia. Opowiadano sobie, że wynalazł sposób ujęcia i zużytkowania siły ogólnego ciężenia, jako źródła energii, zastępującego wszelkie dotychczasowe motory. Inni twierdzili, że wprost wynalazł fluid życia. Odczyt dzisiejszy, pierwszy, z jakim występował publicznie, miał rozjaśnić tę zagadkę. Jadwiga naturalnie nie mogła sobie odmówić pójścia na ten odczyt; Kazimierz również oddawna się nań wybierał. Dzisiaj wprawdzie, gdy prawie niespodziewanie dla niego samego, wywołany zbiegiem szczę-



śliwych okoliczności, przypadkową wymianą kilku słów i kilku spojrzeń, zaszedł fakt dla niego tak ważny i ra-dosny, byłby już chętnie zadowolnił się tem jednym wra-żeniem, rezygnując z badania naukowych zjawisk. Ale nie odważył się z tem nawet odezwać do narzeczonej, aby nie budzić w niej zbyt wielkiego zgorśzenia swoją obojętnością dla tego, co ją tak gorąco zajmowało.

Poszli zatem razem, a Iza pozostała na parę godzin w towarzystwie babci. Nie było jej to uciążliwem. Ta konieczność oderwania się od własnych myśli sprawiła jej raczej ulgę. Przytem Iza, która nigdy własnej babki, ani dziadka nie знаła, a rodziców straciła bardzo wcze-śnie, miała jakąś słabość do siwych włosów i pooranych zmarszczkami twarzy. Zdawało jej się, że tak jak włosy, tak też i dusza śnieżną być musi, gdy ją wybiela stru-mienie łez wylanych przez życie, kiedy wszystkie ognie namiętności wypalą się w niej i spłyną w cichy, jedno-stajny blask zwolna dogasającej lampy. Przytem w po-czuciu swojej własnej młodości i siły litowała się nad tymi, którzy żyć muszą, niczego się już od życia nie spodziewając, którym ono daje już tak mało, a oni sami wziąć, zdobyć, nic już nie są w stanie.

Pani sędzina — tak przez pamięć dawno zmarłego męża nazywano babkę Jadwigi — z początku czuła się zmieszana, prawie przestraszona tem, że sobie Iza tyle dla niej zrobiła subiekty i przyszła wyłącznie dla do-trzymania jej towarzystwa. Alboż ona nie była przy-wykłą do samotności? Przecież Jadwiga — rzecz natu-ralna — zwykle dużo czasu spędzała na mieście, pozostawiając ją samą. A że tam dziś była trochę niezdrowa, to drobnostka, nie warta nawet wzmianki! Choroby są groźne tylko dla młodych i dzieci, staremu, czy tak, czy owak, na jedno wyjdzie. Ot i dla niej, kto wie na-wet, czy nie lepiejby było, gdyby się prędzej usunęła ze świata. Już tam z niej nikt i tak nie może mieć po-

żytku, chyba jeden Pan Bóg w niebie, jeśli ją do swojej chwały, między chóry aniołów dopuści. U Niego tam pewno niema młodych, ani starych, tak jak niema bie-dnych i bogatych.

W głosie staruszki, nie było ani cienia goryczy, ani nawet bolesnej skargi, tylko łagodna rezygnacya, z jaką dusze proste i ciche przyjmują to, co zmienionem być nie może i nie powinno, bo z ręki Boga pochodzi.

Iza słuchała ją, obejmując jasnemi, dobrymi oczyma jej twarz prawie uśmiechniętą, a przecież bardzo smu-tną. Nareszcie odezwała się gorąco:

— Jak też pani sędzina mówić może, że jest tu nie-potrzebną na świecie! A Jadwiga? Cóżby Jadwiga bez pani robiła?

— Poszłaby za Kazia, gdyby mnie nie było. Mu-siałaby pójść i byłoby dla nich obojga lepiej, niż te długie zaręczyny razem z uniwersytetem. Ot, dam ci radę, duszko: Gdy na ciebie przyjdzie kolej małżeństwa, nie zaręczaj się na długi termin. Twojemu narzeczonemu takie czekanie byłoby za smutne, albo za wesołe, a dla ciebie prędzej czy później zawsze byłoby smutne.

— Dziękuję pani serdecznie za radę — roześmiała się wesoło Iza — ale nie myślę jeszcze iść za męża.

— To pomyśli ktoś za ciebie; ani się opatrzysz, a wtenczas pomódl się i daj na zapowiedzi! Na jedno i na drugie dużo czasu nie potrzeba.

— Ale w każdym razie potrzeba trochę czasu, choćby przynajmniej do tego... żeby się zakochać.

I Iza pochyliła się do ręki pani sędziny, jakby przepraszając ją zato, że śmiała jej siwym włosom prze-ciwstawić taki argument.

— Zakochać się? Nie potrzeba tego, zupełnie nie potrzeba do szczęścia, moje dziecko. Jak człowiek do-bry, to miłość przyjdzie i po ślubie, a jak niedobry, to kochanie uczyni jeszcze cięższą dole.



— Ja myślę, że przeciwnie, proszę pani. Miłość w każdym najcięższym położeniu jest dźwignią i osłoda życia. Jeżeli się ma dużo do zniesienia w małżeństwie, a w duszy brak tego ogromnego uczucia, które każe zupełnie o własnych bolach i radościach zapomnieć dla tego, kogo się kocha, cóżby mogło człowieka przywiązać do taczki twardych obowiązków, co uchronić go od zupełnego zwątpienia i zniechęcenia?

— A Pan Bóg, moje dziecko? a Jego Moc i Łaska? Wierz mi, to On daje siłę do zniesienia wszystkiego, a nie jakieś tam nadzwyczajne zakochanie, które jak przyszło, tak i ulecieć może z serca, pozostawiając tylko gorycz i żal.

Iza zamyśliła się. Dawno już bardzo, może jeszcze od czasów, kiedy stary ksiądz proboszcz w domu rodziców przygotowywał ją do pierwszej Komunii, żadne słowo nie zadźwięczało jej w sercu takim dźwiękiem, jak ta prosta odpowiedź: Bóg. Prawda, że w dowcipnych, czy płytkich rozmowach, prowadzonych w salonie bratowej, jak również w ożywionych dysputach, które toczyły się w młodem koleżeńskim kółku u stołu Jadwigi, nigdy nawet mimochodem nie potrącano o tę strunę. Roztrząsano wprawdzie wiele filozoficznych, moralnych i społecznych kwestyi, obrabiano je z wielką wymową, z doborem argumentów i wyrażen, zaczerpniętych w dykcjonarzu modnych filozofów, ekonomistów i belletrystów. Każdy starał się rzucić jaknajnowsze, najjaskrawsze światło na bolesne nieraz i dręczące zagadki życia; nikt nie zdobył się na takie proste rozcięcie gordyjskiego węzła.

— Cóż tak umilkła? Czy się może gniewasz na mnie, że ci wróżę małżeństwo bez tego zakochania, co się wam teraz zdaje jedyną rękojmnią szczęścia? Przecież ja ci nie radzę, dziecko, żebyś sobie gwałt zadawała, idąc za kogoś, coby ci był całkiem niemiły, ja nawet

myślę, że ten, co się z tobą ożenić zechce, zawsze będzie wart pokochania. Tyś dobra i rozumna. Półgłówki, ani szalbierze do ciebie lgnąć nie będą. Swoją szuka swego, a posagu, Bogu dzięki, nie masz tyle, żeby cię ktoś dla samych twoich pieniędzy miał brać, choćbyś mu sercem była obca.

— Posagu, Bogu dzięki, od dziś nie mam już wcale — pomyślała Iza z pewną goryczą, ale wnet uśmiechnęła się znów pogodnie, porównyując ostatnie słowa sędziny z szeregiem argumentów, jakimi Jadwiga zwykła była omawiać podobną kwestję. »Dobór naturalny«, »instynktowa selekcja duchów« »ciążenie ku sobie natur o równomiernym poziomie moralnym i umysłowym« ect. ect., czego tam w tych wyrażeniach nie było!... A jednak wszystko to dawało się streścić do tego określenia pani sędziny: Tyś dobra i rozumna, a więc tylko dobry i rozumny człowiek lgnąć do ciebie będzie. Gdyby tak Jadwiga wiedziała, że ktoś ośmielił się jej mądre teorie porównać i zrównoważyć ze średniowiecznym poglądem starej babci, dopiero byłaby zgorszona! Ona, wygłaszając swoje zdanie w dysputach tego rodzaju, miała zawsze taką minę, jakby właśnie odkrywała Amerykę.

Czas mijał. Podano obiad, który przeszedł bardzo wesoło, wśród ożywionej pogadanki. Sędzina była rozpromieniona. Każdemu czasem miło podzielić swe myśli z kimś drugim, a ona teraz już tak mało miała do tego sposobności. W liczniejszym towarzystwie, wśród gwaru ogólnej rozmowy, nie odzywała się wcale, bo nie rozumiała nawet, o czym dokoła niej mówiono. Jadwiga nie miała nigdy czasu na prowadzenie z nią samą na sam długich pogadanek. Dość już było ustępstwa, że pytała się jej zawsze najskrupulatniej, co wydać na obiad, a gdy wracała z miasta z jakiemiś sprawunkami, zwykle pokazywała je babce, opowiadając, co gdzie kupione



i ile kosztuje. Takie domowe kwestye wydawały się jej najodpowiedniejszymi do zajęcia zgrzybiałego umysłu. Niekiedy, w początkach jeszcze swego uczęszczania na uniwersytet, opowiadała także drobne jakieś zajścia z kolegami, wymieniała nazwiska profesorów. Ale ponieważ, mimo pełnego delikatnej abnegacyi milczenia staruszki, zmiarkowała bardzo prędko, że ten uniwersytet nie jest jej po myśli, więc powiedziała sobie: My się z babką nigdy nie zrozumiemy — i tem już uczuła się na zawsze rozgrzeszoną od obowiązku omawiania z nią jakichkolwiek zagospodarskich kwestyj.

— Tak przecież najlepiej, bo przynajmniej się wzajem nie drażnimy — uspokajała się w duchu, gdy kiedykolwiek, smutniejszy uśmiech tych zwiędłych, milczących ust, nasuwał jej chwilową wątpliwość, czy rzeczywiście było tak »najlepiej«.

Piąta biła na miejskich zegarach, kiedy Iza powracała do domu, unosząc dziwnie ciepłe i miłe wspomnienie tych paru godzin, które — czuła to dobrze — i dla sędziny zaznaczyły się jasnym promieniem w jej bezbarwnem, z jednostajną szarością biegnącym już ku schyłkowi życiu.

W salonie Janów gwaro już było, gdy przestąpiła jego próg. Pierwszą osobą, na którą przy powitaniu padły jej oczy, był Konstanty Oksza.

— Pan na *fiwie*? — zdziwiła się, podając mu rękę.

— Jak pani widzi — odparł, stawiając na gzemisie kominka filiżankę z herbatą. Musiałem przyjść, bo życie w zwykłych warunkach upływa mi zanadto rozkosznie, a »kto nie zaznał goryczy ni razu«...

— Dziękuję panu za zastosowanie takiego określenia do domu moich braterstwa.

— Och, pani wie dobrze, że nie chodzi tu o dom, tylko o *fiwie*? Dom nie pozostawia nic do życzenia, o ile zwłaszcza pani w nim przebywa.

— Wiem, że pan z własnego natchnienia nie umie mówić komplementów, ten więc wydobył pan zapewne ze swego słynnego zbioru starożytności. Ale uprzedzam pana, że ja nie znam się wcale na opleśniałych zabytkach, nie potrafiłabym nawet odróżnić sewrskiej porcelany od prostego fajansu. A raczej fajans wolę, bo nie bywa sztucznie podrabiany.

— Krótko powiedziawszy, woli pani mnie, gdy jestem niegrzeczny, bo to odpowiada lepiej mojemu przyrodzonemu uzdolnieniu. Postaram się zastosować do tej wskazówki. Ale tym razem nie była to wcale grzeczność, tylko proste stwierdzenie faktu. Oczekiwałem z upragnieniem powrotu pani, bo mam jej zadać jedno pytanie.

— Mnie? o cóż chodzi?

— W kim się kocha panna Regina?

Iza przypomniła sobie niedawne zwierzenia przyjaciółki i zarumieniła się lekko.

— Nie wiem — rzekła wymijająco — a gdybym nawet wiedziała, nie miałabym prawa mówić tego panu.

— Przeciwnie, jest pani do tego najzupełniej uprawniona. Dziś rano spotkałem pannę Reginę, powracającą z lekcyi, na której *prima-vista* deklamowała Maryę Stuart. Była znów bardzo zdenerwowaną, więc ofiarowałem się ją odprowadzić do domu. Idziemy i milczymy. Panią sztuka bardzo denerwuje — odzywam się nareszcie, aby coś powiedzieć. — O, nie tylko sztuka — odpowiada mi głos, tym razem naprawdę wzruszony, nie nastrojony na ton Szekspira, ani Ibsena, ani Sudermana, ale taki sobie zwykły głos, co chciałby powiedzieć coś więcej, a boi się.

— Nie tylko sztuka — podjąłem — a więc może także miłość?

Milczenie.

— Kto milczy, ten potwierdza; zatem niechże mi pani powie, w kim się pani kocha?



— Nie powinien pan być zadawać jej tego pytania! — wybuchnęła Iza.

— Nie powinienem? Dlaczego?

— Bo nie!

— Argument tak wymowny, że mnie zupełnie pobija. Nie powinienem być — no, ale zadałem. I wie pani, co mi odpowiedziano?... — Niech panu na to pytanie odpowie Iza. — To są własne słowa panny Reginy, wypowiedziane dość cicho, ale stanowczo, po krótkim, półminutowym namyśle. Nie wziąłem od niej pisemnego upoważnienia do wznowienia z panią tej kwestyi, nie mam żadnego znaku na potwierdzenie mych słów, ale sędzę, że mnie pani nie posądza o chęć wyłudzenia od pani podstępem takiej wiadomości.

— Nie posądzam pana, ale...

— Ale mi pani nie ufa dostatecznie, aby mi ją powierzyć.

Chłodny ton mowy Konstantego nie ożywił się ani o jedną nutę, twarz nie zmieniła obojętnego wyrazu, tylko oczy, nad którymi nie umiał, czy też nie chciał panować, pociemniały mu.

Iza zauważyła to. Odczuła także ukrytą w słowach wymówkę. Oksza uchodził za wzór dyskrecyi i dżentelmaneryi we wszystkich sprawach, dotyczących kobiet, więcej, a nawet i mniej wartych szacunku. Mimo to, wahała się. Instynkt powściągliwości, a zarazem i solidarności kobiecej, wstrzymywał jej słowa na ustach. Była zdumiona i jakby oszołomiona odwagą Reginy, która bez żadnych szans wygranej ryzykowała od razu tak ogromną stawkę? A może szanse te były większe, niż się Izie zdawało? Może mężczyźnie takie jawne wyznanie miłości imponuje tak swoją szczerością i siłą, że go zdobywa od razu, jak olbrzymia bomba, rzucona w sam środek fortecy, wybuchająca wśród niego pożarem?... Jeśliby tak było — czy ma kto prawo powstrzy-

mać i ukryć takie wyznanie, rozporządzić się cudzem życiem dla ocalenia własnej delikatności uczuć?

— Regina kocha się w panu — rzekła po chwili milczenia Iza.

— Dziękuję pani — odpowiedział krótko Oksza.

A gdy Iza podniosła na niego pytające spojrzenie, dodał:

— Nie za samą wiadomość, tylko za to, że, udzielając mi jej, dała mi pani dowód niejakiego szacunku.

Rozmowa urwała się. Słowa wypowiedziane rzuciły między nich oboje przedział zakłopotania, a także i wzajemnego zaciekawienia. Urwali w najbardziej zajmującym miejscu i może byliby bardzo radzi odczytać sobie w duszy wnioski, wysnuwane z ostatnich słów. Kobieca ciekawość Izzy nie oparła się tej pokusie.

— Czy pan sądzi, że Regina robi karierę w teatrze? — zapytała w nadziei wybadania czegoś, bez zbyt wyraźnego dotknięcia drażliwej kwestyi.

— O, nie wiem. Zależy to od zbiegu szczęśliwych okoliczności. Jeżeli na debiucie będzie miała salę pełną widzów, dobrze zrobioną suknię i klakę odpowiednio rozmieszczoną...

— Pan myśli, że talent artystki, jej umiejętność zapanowania nad tłumem, zbudzenia jednym słowem lub spojrzeniem ognia szlachetnych uczuć w tysiącach serc, zależy od krawca i klaki?!

— Nie mówiłem o talencie, tylko o karierze.

— Ale ja pytałam, czy podług pana Regina ma wrodzone warunki powodzenia na scenie?

— Warunki?... zapewne, że ma. Ładna jest dość, nawet mogłaby być o wiele brzydszą, toby jej jeszcze nie zaszkodziło. Talent podobno ma także, zresztą karierę można zrobić i bez tego! Tylko... do zrobienia kariery w teatrze jest ona zanadto dobrze, a zarazem zanadto źle wychowana. Nie zechce robić małych



ustępstw, a wielkie... są tak za kulisami, jak w życiu, rzeczą niebezpieczną i niepotrzebną. Życie jest marne; trzeba umieć je spłacać drobną monetą.

— Tylko, że życie, marne, czy nie, jest jednym szeregiem transakcji pomiędzy nami a naszym otoczeniem, społeczeństwem, ludzkością. A w takich transakcjach nikt za miedziaki pereł i klejnotów nie kupi.

— Co do tego, mogę pani zaręczyć, że cenne perły dostaje się niekiedy darmo lub za podłe blaszki, udające tylko prawdziwą monetę. Tymczasem szczerem złotem uczuć okupuje się to, co nawet miedzi nie warto.

Iza zamyśliła się. W słowach Konstantego zamykał się smutny horoskop dla niej, co przy każdej sposobności była gotowa szafować tem złotem uczucia.

Do salonu weszło parę nowych osób i gwar rozmowy ożywił się z każdą chwilą. Iza, zajęta pogadanką z Konstantym, nie śledziła biegu ogólnej rozmowy. Teraz parę słów doszło do jej ucha.

— Czy naprawdę? Czy to już pewne? — dopytywał się ktoś z głębi salonu.

— Sam fakt nie ulega najmniejszej wątpliwości, za szczegóły nie ręczę, bo wiadomość, podawana z ust do ust, rośnie i przemienia się w bajkę. Ale o tem, że go przytrzymało na stacyi w Genewie, miał już adwokat X. telegraficzną wiadomość.

— Co za czasy! Istna dżuma, groźniejsza od tej astrachańskiej, bo trudniej znaleźć kordon, któryby miejscowości dotknięte zarazą izolował.

— Takim kordonem powinna być opinia publiczna — wtrącił jakiś cienki kobiecie głos, a niższy, męski baryton, odpowiedział w tonie zniechęcenia:

— Eh, to nie u nas!

— Czy pan wie, że pan Otwocki z Jadwigą są od dziś po słowie? — zagadnęła nagle Iza, z nerwową prawie żywością zwracając się do Okszy.

— Wiem. Przed chwilą właśnie spotkałem Kazia. Ale ze ślubem mają podobno czekać, aż narzeczona zestarzeje się i uniwersytet skończy.

Iza roześmiała się mimowoli z takiego trafnego zestawienia tych dwóch kwestyi.

— Czy to jedno z drugim koniecznie idzie w parze? — odezwała się, broniąc niby nieobecnej towarzyszki. — Jadwiga jest przecież jeszcze zupełnie młodą.

— O, zupełnie! — potwierdził Oksza z miną zdadzającą, że właściwie bardzo mało go to obchodziło. — Ale niech mi pani raczy powiedzieć, poco ostatecznie kobiety biorą się do takich rzeczy?

— Jeżeli pan mówi wyłącznie o uniwersytecie, to nie potrafię pana przekonać o konieczności doktoryzowania się przez kobiety, bo sama nie jestem skrajną emancypantką, ale jeżeli pana dziwi wogóle, gdy kobieta pragnie mieć w życiu jakieś zajęcie i cel, być czemś sama przez się, nietylko manekinem, ubranym w zasługi lub dźwigającym niesłusznie odpowiedzialność za brak zasług i błędy swego rodzinnego otoczenia, to dziwię się, że cywilizowany człowiek w dzisiejszem społeczeństwie wyznawać może jeszcze takie wschodnie teorye!

Iza mówiła z ogniem. W głosie jej drgało podrażnienie, jakby poruszenie tej społecznej kwestyi dotknęło jakiejś świeżej rany w jej duszy. Oksza spojrzał na nią uważnie:

— Pani myśli, że kobiecie tak łatwo udźwignąć samodzielność? — rzekł.

— Myślę, że każdy ciężar udźwignąć łatwiej z własnego wyboru, gdy sami poddajemy pod niego ochotne ramiona, niż gdy skuci w kajdany konwenansu, ciągniemy za sobą taczkę, wyładowaną ciężarem cudzych uczynków.

Oksza umilkł i po chwili zagadnął coś o teatrze.



W kilka dni po wyżej opisanych zdarzeniach, Wyszomirski, z twarzą wielce ożywioną i uśmiechniętą, wszedł do salonu, w którym siedziały jego żona i siostra, zajęte czytaniem.

— Moje panie, gotujcie tualety — zagadnął zaraz od progu — zapraszam was na raut!

— Na raut? Jaki? Gdzie?

— W apartamentach państwa Janów Wyszomirskich, w dniu 5. listopada, o godzinie 9-tej wieczorem!

— Chcesz dawać raut?!...

Zdziwienie Izy, może rozmyślnie tak silnie zaakcentowane, schmurzyło czoło Jana. Doprawdy, miał już dość tego mentorowania i tej krytyki, niemej wprawdzie, ale ścigającej go na każdym kroku, obejmującej badawczem, niespokojnem spojrzeniem każdy list, który mu teraz doręczano, i postać każdego interesanta, który przemykał się do jego gabinetu na poufną pozabiurową konferencyę, i wreszcie, niemal każdy kieliszek droższego wina, które kazał sobie podawać przy obiedzie. Do licha! żaden dyrektor niema tak nieustannie na karku swojej rady nadzorczej.

— Dam raut! — odpowiedział stanowczym, podniesionym głosem — raut świetny, na którym zgromadzę całą elitę towarzystwa. Uprzedzam was o tem zawczasu, żebyście się odpowiednio przygotowały. Co do urządzenia przyjęcia, zaproszeń i udekorowania mieszkania, sam się tem zajmę, bo zdaje mi się, że nie miałbym tu komu zaufać.

— O tak! ty wszystko najlepiej urządzisz, masz tyle gustu! — odezwała się Marya, a Iza spojrzała na nią z litosnem lekceważeniem:

— Czy, być do tego stopnia ślepą i głuchą, jest klęską, czy też największym darem życia?...

Iza nie była głuchą, o nie! Od pewnego czasu słuch jej nawet zaostrzył się dziwnie i oczy widziały

i rozumiały rzeczy, których dawniej nie byłyby dostrzegły. Twarz Jana dla wszystkich wyrażała ten sam zawsze spokój, zadowolenie i pewność siebie, tylko jej wzrok niespokojny chwycił czasem w jego spojrzeniu jakąś upokarzającą trwogę, pokrywana zaraz sztucznym uśmiechem. Dla niej żywość jego słów i ruchów, gwałtowne wybuchy gniewu, gorączkowe tworzenie dalekich i nieraz nieprawdopodobnych projektów, były bezsilnem miotaniem się człowieka, który, usiłując utrzymać się na powierzchni, wbrew ciągnącym go na dno ciężarom, wiała się coraz bardziej w jakąś niewidzialną sieć, oplatającą go coraz ciśniej i ciśniej.

Wiedziała, że ostatnimi czasy grał w kasynie bardzo wysoko. Osoby, które przy niej roztrząsały ze swobodnym uśmiechem tę kwestyę, urywały pogadankę w pół słowa, przerzucając się z obojętnością do innego tematu. A ona wstydziła się jednym spojrzeniem zdradzić, że duszą całą zawisła na tych słowach, że wiadomość o ekscesach, popełnianych w tej chwili przez brata, przejmowała ją goryczą, wstrętem i troską. Usiłowała uśmiechać się swobodnie, jak drudzy, jakby i ona uważała to za trochę tylko zbytkowną zabawkę człowieka, który może sobie czasem pozwolić na takie wybryki. Wogóle, o ile mogła, unikała teraz wszelkiej wzmianki o bracie, sama zaś nie wymawiała nigdy jego imienia, choć chciwie nadstawiała ucha, ilekroć je wymawiały usta cudze.

Dotąd w echach sądów ludzkich nie było ani cienia nagany lub podejrzliwości względem pięknego dyrektora. Mówiono bardzo dużo o wielkim raucie, którym miał zainaugurować seryę zimowych zebrań w swoim domu, i wobec świetności przygotowań, o których wieści zdumiewające przechodziły z ust do ust, zapominano o wszelkich innych sprawach, mogących się wiązać z jego stanowiskiem i osobą. Poza panem Janem Wyszomir-



skim, którego nazwisko litografowane było na wyłaczających kartach zaproszeń, nikł zupełnie Wyszomirski dyrektor, i cała Spółka handlowa ze wszystkimi jej interesami.

Nic dziwnego. Dopóki słyhać dopiero brzęk tale-rzy i strojenie instrumentów do powitalnej fanfary na przyjęcie biesiadników, nikt z tych, co pragną być zaproszeni na ucztę, nie pyta, skąd i jakim sposobem dostarczono na przygotowanie jej środków. Uwaga ta nasuwa się dopiero nazajutrz po spożyciu biesiady.

Jakiś świąteczny, wesoły ruch panował w całym domu Wyszomirskich. Do salonu zwożono kwiaty, kryształowe świeczniki. Jan własnoręcznie przestawiał i rozmieszczał zdobiące go drobnostki; całe mieszkanie straciło ten pozór czegoś niedokończonego, niezamieszkałego, który dawniej już od progu uderzał przychodnia. Teraz tętno życia zdwojone, gorączkowe, zdało się tu pulsować nawet w martwych ścianach i sprzętach.

Iza chwilami dawała się odurzać tym wesołym ruchem, panującym dokoła niej. Była młoda, więc cała jej istota zwracała się naturalnym popędem ku jasności, ku słońcu. Gdy przez czas dłuższy nie zauważyła nic, coby ją nanowo mogło zaniepokoić i obudzić jej obawy, chwilowo zapominała o nich — i najpierw, zaczynały ją cieszyć piękne kwiaty, rozkwitające teraz barwnym, wiosennym klombem po rogach salonu, potem upodobania jej estetyczne, wysoko wykształcone, zaczynały się mimowoli zainteresowywać zmianami i upiększeniami mieszkania.

Zapominała się do tego stopnia, że czasem sama zaczynała bratu udzielać rad, co gdzie przemienić, ustawić, a on z dziwną powolnością słuchał każdego jej słowa, chwalać z gorącym uznaniem jej gust wykwinny. Co do gustu — nie mylił się. Iza znała się na wszystkim, co piękne; zacząwszy od gustownej popielniczki

i tacki na bilety, a skończywszy na estetyce słów i czynów, co do której miała w duszy dziwnie subtelna miarę, tak subtelna, że czasem, gdy gorące uznanie brata, mimo całej jego zręczności, zdało się potrącać o nutę pochlebstwa, odwracała się od niego z niechęcią i już całe jej zajęcie się przygotowaniami do rautu stygło nagle, jakby zmrożone jakimś chłodnym powiewem.

Marya kręciła się po domu, zawsze uśmiechnięta, zawsze z pierwszym lepszym komunałem na ustach, a z tym wyrazem niemego spłoszenia w oczach, który sam jeden zdał się zdradzać u niej istnienie duszy, umiejącej coś czuć i czegoś się lękać.

Pewnego rana, Jan, stojąc na wysokiej drabinie, sam wbijał w ścianę gwoździ, aby umocnić fałd portyery, nieposłusznie odginający się na bok — Iza w odaleniu kilku kroków kontrolowała jego robotę.

Do pokoju wniesiono telegram.

— Z Krakowa! — rzekła Iza, rzuciwszy okiem na adres.

— To pewno Mili daje odpowiedź, czy przybędzie na raut. Przeczytaj! — odezwał się z wysokości swej drabiny Jan, poprawiający jeszcze frendzle portyery.

Iza otworzyła telegram, przeczytała go, podniosła osłupiałe oczy w górę i znowu spuściła je na biały świstek.

— To nie od Mili — rzekła wreszcie cicho.

Jan zeskoczył na ziemię i wyrwał jej z rąk telegram.

— Przecież z Krakowa? — wykrzyknął z przestraszeniem w głosie.

Raz tylko rzucił okiem i twarz mu się nagle zmieniła, jakby straszna trwoga i wściekłość chwyciły go odrazu — wściekłość przemogła.

— Czemuś to przeczytała?! Czemu mnie szpiegujesz?! — krzyknął, rzucając się ku siostrze.



— Kazaleś mi — odpowiedziała spokojnie, bez najmniejszego drżenia w głosie, bo jego gniew ostudził ją, jak strumień zimnej wody.

Jan w tejże chwili opamiętał się.

— To ten niedołęga Ostrowski winien wszystkiemu! Miał do mnie telegrafować z Wiednia i wiozł sobie taką wiadomość osobowym pociągiem aż do Krakowa! Dureń! idyota! Izo, nie patrz na mnie tak, jakbyś ujrzała, że we mnie piorun uderzył i dziwiła się, iż jeszcze żyję. Cóż ty myślisz, że ta wiadomość mi przyniosła? Bankructwo? Może hańbę? Może więzienie?... Śmieję się z tego, tak, jak ja się już śmieję! Trochę ambarasu mi przybyło, parę listów, parę telegramów będę musiał rozpisać, i oto po całej awanturze! Ha! ha! ha! »Wszystkie kapitały wypowiedziane, kredyt zupełnie wyczerpany!« to dla innych takie koncepta. Człowiek, który ma głowę i chce mieć kredyt, będzie go miał wbrew wszystkim puszчыkom. Na złość im, wypłacimy przed grudniem noworoczną dywidendę i wydamy, po raucie, ba! jeszcze świetniejszy! Wyszomirski nie należy do tych, co idą na dno dla braku kilkudziesięciu ty sięcy

Głos Jana, gdy tak mówił, brzmiał już znowu spokojnie, prawie swobodnie, ledwie tu i owdzie wybuchając ostrzejszym zgrzytem. Zato twarz mieniła mu się i czoło pokrywało potem, niby rosą, choć usiłował uśmiechać się i patrzył przed siebie zuchwale, jakby los wyzywał do walki.

— Jasiu, zaklinam cię na wszystko, co ci jest, co ci było niegdyś drogie, nie rzucaj się sam w przepaść! Ty szalejesz od jakiegoś czasu; masz minę gracza, co ostatni grosz swój rzucił na zielony stolik i szuka jeszcze, coby tam mógł dorzucić — choćby duszę własną i czyste imię całej rodziny.

— Och, och, och! deklamacye, frazesy! Co tam moja dusza ma mieć wspólnego z moją kieszenią i z kre-

dytem, o który się jakiś błazen nie umiał dla mnie dość zrzecznie wystarać. Proszę cię, nie rób z farsy melodramatu, bo to licha warte.

— Chcesz wiedzieć, co ma twoja dusza i nasz rodzinny honor wspólnego z kredytem? dobrze, powiem ci to, choć już tygodnie całe tłumię te słowa w piersi i głos mój się niemi brzydzi. »Wyczerpany kredyt« dla finansisty, to znaczy, że już ograbił, kogo mógł, zachowując pozory przynajmniej uczciwości, że jeżeli nadal grabić zamierza, lada dzień pochwyć go mogą za kołnierz, jak niezręcznego złodzieja, który w biały dzień kradnie!

— Waryatka!! — syknął nadzwyczaj rozdrażniony Wyszomirski i nowy błysk wściekłości żółtą iskrą zapłonął w jego oczach. — Waryatka! ale nie nadużywaj mojej cierpliwości! I ja także mam nerwy i nie lubię, gdy kto niemi szarpie, dla zabawki, nazywanej głupią egzaltacją.

— Bóg widzi, jak pragnęłam nie powiedzieć ci tego nigdy w życiu!

— Ale powiedziałaś! i pewnie myślisz, żeś dokonała bohaterskiego czynu, który przeważy szale ludzkości. Co do tego, mylisz się najzupełniej: ani jeden kwiat przeto nie ubędzie w tym salonie, ani jednej butelce szampana nie ocalisz życia. Będziemy się oboje bawić doskonale na naszym raucie...

— Nie licz na moją spółkę w tej zabawie. Ja w niej udziału nie wezmę. Usunę się z twojego domu nietylko na raut, ale i na życie całe.

— Z życiem możesz robić, co ci się podoba, ale na raucie być musisz, rozumiesz? musisz! Chyba... że mnie chcesz takim skandalem zrujnować...

Ostatnie słowo, ledwie z trudnością, jak zgrzyt ostry, przesunęło mu się przez gardło. Oczy, utkwione przenikliwie w twarz Izy, zapuszczały się jak sonda



w sam głąb jej duszy, badały i magnetyzowały zarazem, ubezwładniały ją, narzucały swoją wolę.

Po krótkiej wewnętrznej walce z temi oczyma Iza odwróciła głowę.

— Dobrze — odparła głosem zmienionym, wyrażającym dziwne zniechęcenie i znużenie — na raucie będę, abyś nie mógł powiedzieć, że jeden, choćby najdrobniejszy kamyczek, rzuciła pod twoje stopy, ale więcej niczego już nie spodziewaj się i nie wymagaj odemnie. Dla przyścia ci z pomocą poświęciłam wszystko, co miałam; nie mogę poświęcić tylko poczucia mojej uczciwości, nie mogę żyć pod twoim dachem, karmić się twoim chlebem, który ty, jak mi się zdaje, opłacasz cudzemi pieniędzmi.

— Cudze? To jeszcze pytanie, moja kochana. Ja jestem właściwie socyalistą i nie uznaję wcale prawa własności. Pieniądze nie są ani moje, ani cudze; są tych, którzy je wytwarzają pracą, a ja przecież pracuję także. Jak? To już kwestya uzdolnienia i upodobania, a że ta moja praca na razie nie opłaca mi się tak, abym mógł odpowiednio do moich potrzeb żyć za własne pieniądze, więc chwilowo żyję za cudze. Cóż nad to prostszego i naturalniejszego?

Cynizm tego rezonowania przejął Izę większym jeszcze wstrętem, niż oburzeniem. Zwróciła się śpiesznie ku drzwiom, nie chcąc już przedłużać tej rozmowy.

— Tymczasem, Izo, możesz spać spokojnie — rzucił za odchodzącą ironicznym tonem Wyszomirski. — Zaręczam ci słowem honoru, że nam przed rautem nie zlicytują półmisków!

Ledwo się drzwi za siostrą zamknęły uśmiech szyderczy znikł z jego twarzy, ustępując miejsca ponurej zadumie, przerywanej błyskami wściekłego gniewu.

— Bałwany! idyoty! Z takimi pomocnikami prowadzić interesy, to lepiej się powiesić!

Iza, znalazłszy się u siebie, stała chwilę w pośrodku pokoju, z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby usiłując zebrać myśli, uspokoić ten chaos obrazów, a raczej widm ciemnych i jaskrawych, tłoczących się w jej mózgu. Potem, opuściwszy ręce, z gorączkowym pośpiechem zaczęła zbierać się do wyjścia.

Pragnęła uciec stąd. Och, gdybyż na zawsze! Ale tego nie mogła w tej chwili uczynić, przyrzekła, że nie uczyni, że zada sobie gwałt jeszcze ten raz jeden, w imię tej miłości, która niegdyś wiązała oboje rodzeństwo w domu rodziców. Zresztą, gdzieżby udać się mogła, wyzuta tak nagle ze wszystkiego, co uważała dotąd za pewną i niewzruszoną podstawę swego bytu? Nowe podwaliny trzeba było dopiero budować, a ona nie miała nawet pojęcia, jak się wziąć do tego, na czym oprzeć swoje plany. Zapragnęła gorąco, choćby na chwil parę wyrwać się z tych ścian, które ją dławily. Wybiegła na miasto.

Ulice dziwny w tym dniu przedstawiały widok: niby ożywiony, świąteczny, a równocześnie żałobny. Mnóstwo osób w czerni dążyło przeważnie w kierunku cmentarza, w dorózkach wieziono kosze świeżych kwiatów i sztuczne wieńce, których blaszane lub papierowe liście zielenić się zwykły na grobach. Wyglądało to wszystko tak, jakby jaki olbrzymi kondukt pogrzebowy szeroką falą rozlał się po ulicach miasta.

Iza patrzyła chwilę ze zdziwieniem na ten ruch ożywiony, a niewesoły, nie umiając go sobie wytłumaczyć. Nagle przypomniała sobie, że to były właśnie dni zaduszne. Jutro wypadało WW. Świętych, ci zatem, którzy mieli drogie sercu groby, już dziś śpieszyli przystroić je w zielen, kwiaty i lampy na jutrzejszą, wieczorną uroczystość.

I ją ogarnęła nagle ogromna chęć udania się na cmentarz. Miała na nim grób jeden, malutkiej siostrzy-



czki, zmarłej przed kilkunastu laty. Bieg czasu i różnorodnych wrażeń przysłonił w jej pamięci obraz dzieciny, aż dziś nagle, cała jej dusza porwała się ku niej tęsknotą. Gdyby żyła, malutka Manusia byłaby już teraz dziewczęciem w pełnym rozkwicie, miałyby serce czyste jeszcze, jak nieskalane śniegi, i oczy ogromne, błękitne, patrzące na świat tak pogodnie, nie umiejące nawet dostrzedz jego nędzy i brudów.

Przechodząc przez rynek, kupiła Iza olbrzymi pęk śnieżnych chryzantemów i zwróciła się w stronę cmentarza. Nie przeszło jej nawet przez myśl, że dotąd nie odbywała nigdy sama tak dalekich przechadzek. Była zanadto poruszona, aby zwrócić na to uwagę. Zresztą, jeżeli w życiu jej miały zająć jakie zasadnicze zmiany, jeśli czekała ją praca, walka o byt samoistny, to tego rodzaju względy przestawały już od dziś istnieć dla niej.

Cmentarz był pełen ludzi, a jednak dziwnie cichy; pełen kwiatów i blasków słonecznych, a mimo to tchnący jakimś uroczystym, łagodnym smutkiem, który w dusze nie sączył się gryzącymi kroplami jadu, ale zalewał je aż po brzegi falą rzewności i powagi, zatapiając swoim ogromem wszystkie małostkowe troski codziennego życia, zostawione w gwarnych ulicach miasta i czyhające tam na powrót tych, co tu spotkali się oko w oko z wiecznością.

Od marmurowych płyt i posągów pysznych grobowców, płynął powietrzem szept cichy: *vanitas vanitatem* — a skromne, żelazne i kamienne krzyże, wyciągające ramiona w błękity, mówiły do serc uciśnionych: śmierć, wyzwolenie.

I na Izę ten czar smutku, oczyszczonego z mętów goryczy i buntu, zaczął zwolna działać, jak ukojenie. Długo klęczała na malutkim grobie tej malutkiej siostrzyczki, której dusza unosiła się kędyś w przestworach, niedoścignionych nawet myślą, niezamąconych ani je-

dnem echem ziemskich żądz i bólów, nie przyćmionych najlżejszym cieniem ludzkiego grzechu.

Nagle na zieloną darni grobu padł z poza niej cień wysokiej postaci; Iza odwróciła głowę i podniosła się żywo, zarumieniona i zmieszana. Oksza stał tuż za nią. O parę kroków dalej była ławeczka, na której, widocznie odpoczywając, pozostawił swój kapelusz.

Bóg wie, jak długo mógł tu już siedzieć i przypa-trywać się jej.

— Nie wiedziałem, że pani ma tu swój grób — odezwał się, w tym lekko przyciszonym tonie, jaki ludzie dobrze wychowani przybierają do poruszania smutnych tematów.

— Mam grób małej siostrzyczki, która już kilkanaście lat temu umarła.

Kilka kroków przeszli w milczeniu.

— Cmentarz w taki pogodny dzień jesienny pięknie wygląda — podjął znów Oksza — zanadto pięknie nawet, bo wychodząc stąd, niema się już żadnej chęci ani energii do życia.

— Ja sędzę przeciwnie, że śmierć jedna z życia.

— Pani tego potrzebowała?

Pod badawczem, choć niezmiernie krótkim, jakby tylko przelotnym spojrzeniem, które tym słowom towarzyszyło, Iza zarumieniła się znowu, odpowiedziała jednak otwarcie, gdyż natura jej żywa i szczerą nie znośiła obłudy.

— Potrzebowałam. Zdaje mi się, że każdy przechodzi czasem przez taką fazę zniechęcenia, niezadowolenia. Ja przechodzę ją obecnie i chciałabym w moim życiu zaprowadzić znaczne zmiany.

— Już pani złote mosty nie wystarczają? — zauważył z lekko ironicznym uśmiechem Konstanty.

— Właśnie na to, aby mi wystarczyły, aby je wogóle wcielić w moje życie, muszę zacząć coś robić, czemś



być. Bez podstawy pracy każde życie staje się chybiem, nienormalnem, a zatem brzydkim i złem.

— Praca? hm... a więc emancypacya? U pań te dwa pojęcia bywają nierozłączne?

— O nie, nie emancypacya, tylko praca, najgrubsza choćby, najpospolitsza, ale dająca mi poczucie, że jestem czemś, jakimś kółkiem potrzebnem w społecznej maszynie, a nie marną ozdobą tylko, świecidełkiem, które na pozór błyszczy, a w gruncie zawadza tylko i przeszkadza obrotowi kół potrzebnych.

— I czemużby pani być chciała?

— Otoż to właśnie, że niestety! mam bardzo mały, prawie żaden wybór. Zazdroszczę Jadwidze jej uniwersytetu i Reginie dramatycznej szkoły...

Urwała. Wydało jej się, że niepotrzebnie wtrąciła imię Reginy, ale czy Okszy nie zdradziły żadnego żywego wrażenia, więc mówiła dalej:

— Ja specjalnego powołania, kwalifikacyi, nie mam właściwie żadnych, ale byłabym gotowa robić sumiennie i szczerze wszystko, co nie przewyższałoby moich sił. Czyby to było nauczycielstwo, buchalterya, czy choćby nawet poczta.

— Nie, to nie byłoby dla pani — zauważył spokojnie Oksza.

Iżę zastanowił ton jego. Wdała się w tę rozmowę prawie przypadkiem, mimowoli. Mówiła szczerze, co jej ciążyło na sercu, bo długoletni, bezceremonialny, choć obustronnie dość obojętny stosunek z Okszą, nie nakładał na jej słowa żadnych pęt. Nie myślała zwracać się do niego po jakąś radę co do wyboru zawodu, przypuszczała raczej, że jako nieodrodny mężczyzna, przyjmie on sceptycznym uśmiechem te jej zwierzenia.

Tymczasem Konstanty słuchał z twarzą tak poważną, jakby zupełnie podzielał jej zapatrywania, i tę chęć pracy traktował całkiem poważnie.

To spostrzeżenie dotknęło najdrażliwszego punktu w duszy Izy. Zbudziło się w niej zaraz podejrzenie, że Oksza wie coś może o prawdziwym stanie interesów Jana i dlatego wydaje mu się słusznem, aby ona, w przewidywaniu bankructwa brata, szukała już sobie naprzód pracy i chleba. Umilkła, nie była w stanie mówić dalej, bała się spojrzeć na Konstantego, aby nie wyczytać w jego twarzy potwierdzenia swych obaw. Boże! pomyśleć, że to straszne widmo, które ją po nocach przesładowało, dla obcych, obojętnych świadków było już może nie widmem tylko, ale stwierdzonym, namacalnym faktem.

— Zatem pesymistyczne usposobienie pani gotowe z wygodnej drogi życia sprowadzić ją na ciernistą ścieżkę nauczycielstwa? Bo ta karyera zawsze najbliższej jest pod ręką pańien, pragnących się ze trzy dni pobawić pracą i samoistnem stanowiskiem. Oh, jakżebym rad widzieć minę pani, powracającej po kilku dniach takiej niefortunnej próby do pięknego buduaru przy ulicy Mickiewicza, w którym teraz życie wygodne wydaje się pani zaledwie czcze!

Iza odetchnęła z ulgą i roześmiała się prawie wesoło. Konstanty nie mógł wiedzieć nic a nic! Inaczej nie drwiłby przecież.

— Niech pan będzie pewny, że nie doczeka się takiego tryumfu, jeżeli podejmę się jakiej pracy, to wytrwam... choćby przez upór kobiecy.

— A to chyba... Czy dla próby mam już może rozpytywać się dla pani o odpowiednią posadę?

— I owszem, zobaczy pan, że z oferty skorzystam i nieźle wywiążę się z mego zobowiązania.

Mówiła, uśmiechając się swobodnie i lekko, chociaż czuła, że każde z tych słów pada kamieniem na szalę jej życia. Myśl, nurtująca ją nieświadomie od kilku tygodni, po raz pierwszy wypowiedziana głośno, krysta-



lizowała się w jej duszy w kształt nieodwołalnego postanowienia.

Dochodzili do bramy cmentarnej. Nie wiedząc, czy pożegnać Okszę, czy iść z nim dalej przez miasto, Iza skinęła na dorożkę.

— A pan, czy dla użycia spaceru będzie wracał piechotą?

— Ja wracam jeszcze na cmentarz. Mam przed sobą dwie godziny czasu, które mogę zmarnować równie dobrze tu, jak gdzieindziej.

— Będzie się pan jednał z życiem?

— Przeciwnie, będę usiłował się z nim pokłócić. Znadto mi jest dotąd dobrze, *et à la fin celà devient un peu fâde.*

— Błagier — pomyślała Iza — nosi się z tem swoim szczęściem, które rzeczywiście musi być w dosyć marnym gatunku, skoro mu nadaje taką znudzoną, zobojętniałą minę. Najnowsza odmiana pozerów i dekadentów. Kiedy inni skarżą się na jakieś psychiczne cierpienia, niezrozumiałe dla prostych śmiertelników, ten znowu nie może sobie dać rady z nadmiarem rozkoszy, uciskających jego duszę.

Dorożka ruszyła. Oksza z właściwą sobie nonszalanecją podniósł rękę do kapelusza, mówiąc: Do widzenia na raucie.

— Mógłby się porządniej uklonić. Nie jestem jeszcze przecie biedną guwernantką, względem której pan Oksza nie będzie miał potrzeby się krępować — pomyślała Iza.

Ale wnet uśmiech sarkastyczny zniknął z jej ust, oczy zajaśniały blaskiem czystym i gorącym.

— Będę guwernantką, albo czembadź na świecie dobrem i pożytecznem — pomyślała z mocą — wytrwam przy moich złotych mostach, przy wszystkich ideałach życia. Inaczej to życie nie byłoby warte nic! nic!

## IV,

Wieczorem tegoż dnia przyszła do Izy Regina. Nie anonując się, wbiegła do jej pokoju, z oddechem przyspieszonym, jakby od żywszego ruchu, zarumieniona, poruszona jakoś dziwnie i ładniejsza niż kiedykolwiek. Ubrana była w suknię niesłychanie modną, za obcisłą w biodrach, za szeroką u dołu i w jasno-popielatą, śnieżnymi piórami obszytą pelerynę, której fałdy układały się na piersiach zupełnie na wzór rzymskiej togi. Z pomiędzy tych klasycznych fałdów wyłaniała się główka o profilu wcale nie rzymskim, nie rysunkowym, a jednak bardzo interesującym, ocieniona olbrzymim kapeluszem, przybranym w białe strusie pióra, które z boku podpiniała błyszcząca fałszywymi brylantami klamra.

— Szli za mną do samej bramy, ścigali mnie formalnie! — szepnęła zdyszana, opadając na niski, haftowanym pluszem obity fotelik.

— Szli za tobą? Kto taki? — spytała Iza, zdziwiona tem nagłym zjawieniem się przyjaciółki.

— Nie wiem, jacyś dwaj panowie, jeden młody i brzydki, drugi w średnim wieku. Najpierw szli przedemną i zatrzymywali się na każdym rogu, niby czytając afisze, ale właściwie śledząc, w którą się zwrócić stronę. Potem puścili mnie przed sobą i zaczęli iść za mną coraz, coraz bliżej. Była chwila, że jeden z nich już zupełnie zrównał się ze mną i zajrzał mi pod kapelusz, och, gdybyś wiedziała jak mi serce biło! Z początku, gdy się tak zwróci czyjaś uwagę, to się wydaje przyjemnem, ale potem to tak się jakoś straszno robi. Gdyby nie twoja brama, w którą się rzuciłam, jak tonący na deskę ratunku, nie wiem, co bym była zrobiła z przestachu.

— Ale poco chodzisz sama o tej porze i to jeszcze w takim stroju? — odezwała się Iza nieco zgorszona.



— Och, moja droga, czy ja raz będę w podobnem, a nawet daleko gorszem położeniu? Aktorka musi się ze wszystkim oswajać — odparła Regina, przerzucając się odrazu z krańca nie udanego, ale doskonale oddanego przestrachu, w podziwienia godną rezygnacyę. — Nie będę przecież całe życie, gdziekolwiek się ruszę, wodzić za sobą mamy, taty i całej falangi rodzeństwa. A co do stroju, ubieram się umyślnie tak, aby na ulicy zwracać uwagę moją osobą, żeby się ludzie oglądali i pytali, kto jestem. Chcę być popularna, nim jeszcze wystąpię na scenie.

I nagle, zmieniając trochę wyzywający, trochę manierowany ton mowy, podniosła na Izę spojrzenie prawie nieśmiałe, gorące i spytała szeptem:

— Nie widziałas go?

Iza zmieszała się.

— Kogo? — spytała, dla zyskania na czasie, choć wiedziała doskonale, o kogo chodziło.

— Okszę. Widziałas go od czasu gdy...

— Widziałam.

— I... pytał cię?... powiedziałaś mu?...

— Powiedziałam...

— Dawno?

— Już więcej, niż tydzień temu. Tegoż dnia, gdy się spotkał z tobą.

— A więc wie! Wie już prawie od dwóch tygodni i niczem, jednym słowem wdzięczności, jednym spojrzeniem nawet nie podziękował mi za to, że mu serce rzuciłam pod nogi!... Nie raczył nawet schylić się, żeby je podjąć z ziemi! Myśli, że gdy kobieta kocha, to już można ranić ją bez miłosierdzia i deptać po niej i obchodzić się z nią tak podle!

Rozmarzone i melancholijne oczy Reginy błyskały teraz jak rozżarzona stal, ruchome jej nozdrza drżały, pierś z trudnością chwytła powietrze.

Iza zdawała się zdziwiona, a nawet trochę przestraszona gwałtownym wybuchem uczucia, który w zestawieniu ze zwykłym, nieco teatralnem, na zimno egzaltowaniem obejściem Reginy, robił wrażenie takie, jak purpurowa, świeża róża, wpięta w girlandę papierowych błyszczących liści.

— Ależ Reno, na miłość Boską, uspokój się; cóż ci właściwie winien pan Oksza?...

— Co mi winien?... ha, ha! to pytanie, godne ciebie! godne wszystkich filistrów, wszystkich istot ziemnych i doskonałych, co umieją prowadzić podwójną buchalteryę swych uczuć. Winien, nie winien. Prawda! nie zdradził mnie, nie bałamucił nawet z rozmysłem, nigdy ani przez jedną minutę nie udawał, że mnie kocha, ale mnie nie kocha i to jest właśnie najcięższa wina, jakiej on może się względem mnie dopuścić.

— Jednak... na to rady niema — szepnęła Iza, a spojrzawszy na bardzo pobladłą i zmienioną wzruszeniem twarz Reginy, dodała pośpiesznie: — Przynajmniej teraz.

— Ale tylko teraz! Można nie kochać tej biednej uczenicy szkoły dramatycznej, która daremnie żębrze o debiut, o serce tego, którego kocha, o życzliwe słowo sprawozdawcy, ściągniętego gwałtem na popis deklamacyi, żębrze u wszystkich wrót, do których wydziedziczeni cisną się choć po jeden okruc, po jeden błysk szczęścia. Ale gdy raz te wrota się przedemną otworzą, gdy nie ja tłum, ale tłum mojej łaski szukać będzie — w tym tłumie i on się znaleźć musi. Nie chciał mnie pokochać teraz, gdy był dla mnie pierwszym i jedynym; będzie mnie kochał wtenczas gdy mu wyznaczę ostatnie, najpośledniejsze miejsce w szeregu tych, których mój talent zdobędzie!

— Strasznie podbójcze masz projekty — zażartowała Iza.



— Mam! Talent jest dziś potęgą, a ja będę wielką artystką. Czuję to. Każda nowa rola otwiera przedemną jakieś przepaście uczuć, o których ja, młoda dziewczyna, wychowana w spokojnym, mieszczańskim domu, nie mogłabym, nie powinnabym nawet mieć pojęcia. Ale to nie ja rozumiem i odczuwam te wszystkie najsubtelniejsze drgnienia dusz ludzkich, to jakaś moc dziwna, która nie jest mną, choć jest we mnie, odgaduje wszystko, co poeta myślał, co chciał wypowiedzieć, tworząc swoje dzieło. To ona rządzi mną, moim głosem, moimi ruchami; ja poddaję się jej tylko z takim uczuciem rozkoszy, o jakim pojęcia nie mają ci, którzy tego nie zakosztowali!

Ruchoma, niezmiernie wyrazista twarz Reginy zapłonęła rzeczywiście w tej chwili jakimś radosnem upojeniem, jakby każda kropla krwi i każdy nerw zadrżał w niej rozkoszą, czystą, idealną, ale rozpalającą, jak płomień. Jeżeli już poprzednie wzruszenie przeistoczyło ją z ładnej laleczki, bawiącej się w aktorkę, w dziewczynę z krwi i kości, umiejącą czuć i cierpieć, to teraz na czole jej zajaśniał stygmat, który z człowieka robi króla dusz ludzkich — stygmat szczerego, prawdziwego artysty.

Iza patrzyła na nią z zajęciem i gorącą sympatyą. Wszystko, co było piękne, podniosłe, niezwykle, pociągało ją ku sobie nieprzepartym urokiem.

— Bądź zdrowa, Izo! — rzekła, nagle podnosząc się Regina. — Jeśli go teraz kiedy zobaczysz, możesz mu odemnie powiedzieć, że, choć mnie odtrącił dziś, kiedyś przyjdzie sam żebrać mojej miłości — a wtedy może odtrącę go wzajem. A może... kto wie?... otruje się razem.

— Nie pleć takich bredni! nie cierpię ich słuchać! — wybuchnęła Iza, której ostatnie słowa wydały się nietylko oburzające, ale były teatralne i nieszczerze.

— Boisz się o niego? — spytała Regina z jakąś tkliwą ironią, i w tejże chwili dwie prawdziwe, jasne łzy zalśniły w jej oczach. — Bądź spokojna; z moim współudziałem jeden włos z głowy mu nie spadnie!

Wyszła spiesźnie bez żadnego słowa pożegnania, a Iza z głową, wspartą na rękę, myślała długo, dlaczego Oksza pozostał takim obojętnym dla tej oryginalnej, pociągającej dziewczyny, która z takim sztucznym patosem słów, a prawdziwymi łzami w oczach, rzucała mu serce pod stopy?

## V.

W salonach państwa Janów Wyszomirskich było jasno, tłumno i... trochę zimno. Marya, ubrana w pyszną, czarną toaletę, robiła honory domu tak poprawnie, z taką jednostajną uprzejmością i równym dla wszystkich uśmiechem, że sprawiała nieco wrażenie manekina, przebranego za panią domu i postawionego we drzwiach dla przyjmowania gości.

Iza usiłowała być sobą.

O Wyszomirskim goście mówili sobie na ucho, że był dziś »nakrochmalony«, chociaż może zarzut ten był niesłusznym, bo piękny dyrektor ścisnął tak serdecznie za rękę wszystkich wchodzących mężczyzn, a paniom, wprowadzając je do salonu, rzucał do ucha słówka takie grzeczne, czasem tak czułe, że było w nich raczej za mało, niż zawiele sztywności. Mimo to goście zdali się bezwiednie odczuwać, że na raucie tym brakło czegoś do zupełnie dobrej i wesołej zabawy, a ponieważ widzieli dowodnie, że nie brak ani doskonałego kompletu towarzystwa, ani pysznie zastawionego bufetu, ani kwiatów, świeć i wszelkich innych akcesoryów, zdecydowali jednogłośnie (choć niby tylko pocichu, każdy najbliższemu sąsiadowi na ucho), że brak wesołego nastroju,



o który gospodarstwo są obowiązani również się postarać, jeżeli nie chcą zrobić *fiasca* ze swoim przyjęciem. Przytem w ostatniej chwili dowiedziano się, że Wyszomirski zaprosił na ów wieczór jakąś wybitną figurę ze sfer finansowych zagranicznych, przedstawiciela banku Niderlandzkiego, który przyjechał był dla jakichś pertraktacyi z miejscowym bankiem Północnym. Niektórzy twierdzili nawet, że raut był dany specjalnie na intencję zagranicznego gościa.

Wprawdzie na obejrzeniu tego ambasadora finansów nikomu z zaproszonych nie mogło tak dalece zależeć, jednak, gdy nie przyszedł, wszyscy doznali uczucia zawodu, wszyscy mimowoli spoglądali ku drzwiom, jakby spodziewając się jeszcze jego zjawienia. Tylko Wyszomirski ani razu nie zwrócił głowy w tę stronę.

Około godziny dziesiątej pojawił się Oksza, więcej jeszcze blady, mdły, zgaszony, a pomimo tego bardziej interesujący i wykwintniej piękny, niż zwykle.

Przywitawszy się z gospodynią, przeszedł odrazu do bocznego salonu, w którym Iza bawiła młodzież, oparł się plecami o gzyms kominka i framugę drzwi, które z nim sąsiadowały, i stał tak nieporuszony, milczący, przysłuchując się toczonym dokoła rozmowom, bez dorzucenia do nich jednego słówka.

Izę denerwowało to jego milczenie, zdawało jej się, że taki obojętny świadek zabawy paraliżuje wszystkich, że jego zimne spojrzenie wstrzymuje na ustach uśmiechy, które ona usiłowała wywołać, choć jej to dziś dziwnie trudno przychodziło.

Na szczęście, program rautu nie ograniczał się do samej tylko konwersacyi.

W dużym salonie melancholijny pan Celestyn zaczął właśnie śpiewać przy akompaniamencie fortepianu bardzo pięknym istotnie, choć odrobinę już znużonym głosem, swoje wiekuiste *Vorrei morir!* którem od lat

kilku popisywał się bez zmiany we wszystkich salonach; którem wyśpiewał sobie żonę, posag, opinię zdobywcy serc, a podobno nawet zyskowną synekurę w banku, mającym bardzo muzykalnego prezesa i jeszcze muzykalniejszą prezesowę.

Towarzystwo ożywiło się nieco. Kilka pań i panien zbliżyło się do fortepianu, ażeby dać dowód sympatii interesującemu śpiewakowi, którego czarne przepaściste oczy w ponurej ekstazie wzniesione były ku sufitowi. Ogólny ruch w obu pokojach zbliżył Izę do Okszy.

— Jak to jednak najwytrwalsze i najskromniejsze pragnienia ludzkie idą na marne — zauważył zcichy Konstanty. — Ten biedaczysko już od ośmiu lat z rautu na raut nosi się z tą swoją chęcią umierania. I cóż mu to pomaga? Żyje wciąż i wygląda coraz to lepiej.

— Jaki z pana niepoprawny szyderca! Być może, że pan Celestyn mało urozmaica sobie repertuar, ale ta pieśń jest prześliczna, głos piękny także, można słuchać z prawdziwą przyjemnością, chociaż się to już słyszało.

— O można. A choćby nawet bez przyjemności. Cóż to szkodzi? Słuchanie jest jednym z najwygodniejszych sportów i niech mi pani wierzy, że uprawiam go z prawdziwem zamiłowaniem.

— Wierzę. Miałam tego dowód przed chwilą. Przez całą godzinę ani ust pan nie otworzył. Myślałam, że pan już dziś nie znajdzie nic do powiedzenia!

— Przeciwnie, pragnąłem bardzo pomówić, ale tylko z panią, a nie z całym tem kółkiem, które panią otaczało. Ta rautowa gawiedź jest mi wstrętna.

— Wszak i my również dla drugich stanowimy »rautową gawiedź« — wtrąciła przekornie Iza.

Lekkie zniecierpliwienie, drgające w tonie Okszy, bawiło ją niezmiernie. Miała ochotę podrażnić go trochę. To się tak rzadko zdarza, żeby obojętny Krezus raczył się rozgniewać.



Ale i tym razem nie udało się jej doprowadzić do tego. Konstanty nie zniecierpliwiał się, ale spoważniał.

— Pani już dziś nie jest tą samą, którą widziałem przed kilku dniami — zauważył spokojnie.

Iżę tknął ten niespodziewany zwrot rozmowy, jak i ton jego.

— Dlaczego pan to mówi? Czy może chciał mi pan powiedzieć coś odnośnego do naszej rozmowy na cmentarzu?

— Tak... Pragnąłem zapytać, czy pani zawsze jeszcze nie może dać sobie rady ze swoim życiem? Czy zawsze jeszcze poszukuje pani balastu obowiązków, celów i t. p. ciężarów?

— Zawsze poszukuję pracy i byłabym serdecznie, gorąco wdzięczna każdemu, ktoby mi ułatwił jej znalezienie. Moje postanowienie jest wytrwałe i silne: nie chcę już dłużej żyć tak niepożytecznie, jak dotąd.

— A więc czemu pani nie idzie za męża?

Iza roześmiała się głośno, maskując w ten sposób zmieszanie, które tak jasne postawienie tej kwestyi musiało obudzić.

— Czemu? Pytanie dość niedyskretne. Mogłabym nie chcieć iść dla dwudziestu siedmiu przyczyn, z których dwudziesta siódma mogłaby być i ta, że w tej chwili brak mi kandydata na męża...

— Kandydat stoi przed panią.

Sklonił się, pochylił lekkim ruchem głowę, w którym był jak gdyby wyraz niemego hołdu dla niej, jakiegoś zdania się na jej łaskę i niełaskę, dziwnie pochlebny dla kobiety, której się udało niewzruszonego Krezusa wyprowadzić z jego apatyj.

Iza odczuła to. Na te niespodziewane, krótkie, a tak szczere i jasne oświadczenia doznała takiego wrażenia, zdziwienia i wzruszenia, że w pierwszej chwili zdołała ledwie wyjąknąć ze zdumieniem:

— Pan?...

— Tak, pani. Już od paru miesięcy szukam sposobności oświadczenia się pani, ale sposobność nie nadarzała się i ostatecznie widzę, że bez niej obejść się można. A teraz niech pani raczy nie dawać mi na razie żadnej odpowiedzi. Wiem, że pani moich oświadczeń ani wyglądała, ani się ich spodziewała...

— To prawda — szepnęła Iza.

— Zatem może się pani raczy namyśleć nieco przed daniem mi ostatecznej odpowiedzi. Pół minuty czasu to za mało dla rozstrzygnięcia losu dwojga ludzi. Termin namysłu zależy zupełnie od woli pani. Ja zaś czekam w każdej chwili na rozkazy.

Znowu w ledwie dostrzegalnym, a jednak pełnym uszanowania ukłonie zniżył przed nią swoją jasną, bardzo wystrzyżoną głowę i cofnął się poza drzwi, dzielące salonik od jadalni. Choć nie zmienił wyrazu twarzy, lekkie, ledwie dostrzegalne drganie wierzchniej wargi i nerwowa pasya, z jaką zaczął kręcić swoje niewielkie, modnie do góry podczesane wąsiki, zdradzały, że wypowiedziane do Izy słowa z pewną trudnością przechodziły mu przez gardło.

— Może kieliszek szampana, albo lepiej jeszcze koniaku i parę skibek łososia? — zagadnął nagle tuż poza nim głos Jana Wyszomirskiego. — Mój kochany, nie byłeś dziś przy bufecie, musisz mi przecie powiedzieć, czy moje panie nie porobiły gastronomicznych błędów. To Iza z Maryą urządziły to wszystko.

Konstanty nic nie odpowiedział, jego trochę zimne spojrzenie zdało się pytać: Skąd się tutaj wzięłeś?

— Służę ci, *Pommery* wcale niezły, odwilżymy sobie gardła, zamiast być tu świadkami owacy, jaką niezawodnie panie urządzi panu Celkowi za jego nieśmiertelną kantatę o śmierci — żartował Jan z ożywionym spojrzeniem, uprowadzając Okszę ku sali jadalnej.



Atmosfera salonów ogrzała się nagle. Tak jak przed godziną nikt nie wiedział, dlaczego panie ziewały poza wachlarzami, a panowie ukradkiem spoglądali na zegarki, tak teraz, również bez powodu, wszyscy poczuli jakby jakiś ożywczy prąd dobrego humoru, podniecający ogólną wesołość. Kieliszki szampana, które wpięraw służba, prawie nietknięte, obnosiła na tacach, zaczęły się coraz liczniej wypróżniać, korki strzelały wesoło; przy małych stoliczkach, nakrytych naprędce do improwizowanej niby, ale niezmiernie wykwintnej kolacji, zbierały się kółka gwarne, śmiejące, odrzucające sobie od stołu do stołu dowcipne słówka, jak piłki przy lawn-tenisie.

A w tym wesołym chórze rozbrzmiewał najczęściej i najdonośniej głos gospodarza domu; jego wysoka postać pojawiała się czarodziejskim prawie sposobem przy wszystkich niemal odrazu stolikach, jego figle graniczące ze studencką swawolą, wywoływały tu i owdzie wybuchy najszczerzych śmiechów, jego spojrzenia wymowne i szeptem rzucane komplementa, oblewały rumieńcem zadowolenia piękne twarzyczki pań, nie mających już wcale ochoty do ziewania.

— Niezmiernie miły człowiek ten Wyszomirski! jaki grzeczny z niego gospodarz! jaki uważny! — mówiły do siebie starsze matrony, których kilka dekorowało kanapy salonu.

— Piękny dyrektor jest dziś nieporównany. Gdyby to wszyscy dyrektorowie banków byli tacy, to karyera bankowa uszłaby dla kobiet — szczebiotała roztrzępana pani Lola.

A melancholijny Celestyn, nabierając drugą seryę filetów z truflami, wdychał do swej sąsiadki:

— Szczęśliwy człowiek z tego Wyszomirskiego. Co za karyera, co za powodzenie we wszystkim! Ten dzisiejszy raut jest arcydziełem co do wykwintu i wy-

kończenia wszystkich szczegółów programu. Czy pani próbowała homara przy bufecie?

Gdy w oznaczonej chwili, z werandy sąsiadującej z małym salonem, ozwała się nagle wojskowa kapela, radość ogólna doszła do zenitu.

Panny, rzucając w stronę gospodarza ukradkowe, pytające spojrzenia, zaczęły szeptać nieśmiało:

— Będziemy tańczyć? Prawda? Choć kilka turów? Szkoda tego cudownego walca, żeby się zmarnował.

Wyszomirski, promieniejący uprzejmością i zadowoleniem, potakiwał tym nieśmiałym głosem.

— Tańczyć? Ależ i owszem! jeżeli państwo raczą, to dla gospodarstwa będzie największą przyjemnością. Wprawdzie nie było to w programie tej skromnej herbatki, ale wszystkie niespodzianki są zawsze najpożądane. Czemużby więc dziś już nie wypróbować tego salonu, czy w karnawale będzie z niego jaki taki pożytek!

A o kilka kroków dalej Marya z dokładnością fonografu i jego mechaniczną oschłością tonu, powtarzała słowa męża:

— Tańczyć? Ależ i owszem! Jeżeli państwo raczą...

Gdy służba na skinienie Wyszomirskiego w jednej minucie powynosiła stoliki od kolacy i salon zaroził się tańczącymi parami, Iza uczuła się zwolniona od obowiązku forsownego bawienia swych gości. Tłum w ruch puszczony potrzebował już tylko muzyki i wina dla podniety nerwów i podtrzymania w równomiernym natężeniu tego wesołego ożywienia, nad którego rozbudzeniem ona napracowała się dziś tyle.

Ostatnie pół godziny już jej przeszło lżej, bez takiego przykrego uczucia przymusu. Oświadczyły Okszy zelektryzowały ją, otrząsnęły z tej przygnębiającej apatii i zniechęcenia, jakie ogarnęły ją dziś na widok tych oświetlonych salonów i strojnych sukien, będących w takim przeciwieństwie ze stanem jej duszy.



Nagle otwierająca się przed nią szansa życia tak nowa, w niektórych szczegółach tak olśniewająca, podziałała na nią, jak wypicie kieliszka mocnego wina: świat cały przedstawił jej się nagle w żywszych, jaśniejszych barwach. Nie było w tem wprawdzie tego przejmującego do głębi a rozkosznego wzruszenia, z jakim kobieta słucha podobnych słów, gdy sama kocha. Krótkie i stanowcze oświadczyły Okszy nie wionęły nawet na nią takim żarem, jakim gorąca, choćby nieodwzajemniona miłość, umie upajać, gdy się przybierze w cały rynsztunek gorących spojrzeń, słów serdecznych, nieśmiałego dotknięcia dłoni, pragnącego dopomóż nie dość wymownym ustom. Oksza nie posłużył się żadnym z tych środków; nie wystąpił w roli człowieka, który zdobywa, bo pragnie. Ofiarował jej tylko swoje życie, nazwisko, majątek, bez cienia komentarza tłómaczącego, co go do tego skłoniło.

Czy powodem jego oświadczyń był szacunek i chłodny wyraz uznania dla jej moralnych i fizycznych zalet, czy też miłość szczerą, tembardziej może warta ocenienia, że tak delikatnie usuwając się w cień, czy też może tylko nagła, nieobliczona fantazja ekscentrycznego bogacza, który trochę dla wzbudzenia w niej samej podziwu i wdzięczności, trochę dla zainteresowania na czas pewien świata swoją osobą, trochę wreszcie dla zapełnienia sobie żywszem wrażeniem nudnego wieczoru, oświadczył się ni stąd, ni zowąd pannie, nie mającej dotąd żadnych danych do przypuszczenia, że jest przez niego wybraną z miliona.

Bądź co bądź, teraz już wiedziała jasno, że tą wybraną była i tysiące myśli w jej głowie wirowało wciąż, jak émy wkoło świecy, wokoło tego pytania: A gdyby?...

Gdyby wyciągnęła rękę po ten świetny los, trafiający się jej tak niespodzianie, w chwili, gdy dotychczasowe podstawy życia zaczęły usuwać się jej z pod nóg?

gdyby, prócz balastu obowiązku, rzuciła w miotaną niepewnymi falami łódź swoją, balast fortuny, stanowiska, otoczonego ogólnym szacunkiem, przedewszystkiem balast spokoju o dzień jutrzejszy i o czyste, niezamącone żadnym brudem wspomnienie dnia wczorajszego?...

Byłaby uwolniona od tych widm, które teraz zatruwały jej spokój i prześladowały ją swoim cieniem. Ten most złoty, którego ojczyzną Klondyke, przed paru tygodniami jeszcze odtrącany przez nią w myśli, z takim pogardliwym lekceważeniem, dawał może jeszcze najpewniejszą szansę ocalenia na nim wszystkich życiowych ideałów: tej miłości dobra, które dłoń pełna złota świadczyć może na każdym kroku — i miłości piękna, odwracającej się ze wstrętem od obrazów nędzy, a za grosz marny, dającej się wcielić w każdy najdrobniejszy szczegół życia — i tego największego przywileju bogatych, tej szlachetnej dumy, którą walka o byt ściera i miażdży swem brutalnem dotknięciem — która na czole milionera może jaśnieć jak gwiazda, ściągnięta z obłoków, na czole ubogiego człowieka da się utrzymać tylko jako splot cierni, opływający kropkami krwi.

Chociaż osoba Okszy nie budziła w niej jeszcze przed paru tygodniami gorętszej sympatii, dzisiejsze jego wystąpienie uczyniło go w każdym razie najbardziej dla niej interesującym człowiekiem na świecie. Nie jest się na darmo zacytowanym i rozumnym, milionerem i konkurentem w jednej osobie; zjednoczenie takich właściwości musi nieco olśniewać oczy kobiety, i Iza na razie czuła się też jakby trochę olśnioną. Przyszłość u boku takiego człowieka wydawała jej się chwilami zupełnie jasną i bez chmur, i tylko gdzieś w samych głębiach duszy czuła jeszcze jakby wątpliwość jakąś, czy skrupuły, który obciążał skrzydła jej myśli, ilekroć chciały w tę przyszłość rzucić się śmiałym lotem. Co to było?... Ach tak, to te dwie rozmowy z Reginą! jej gorące jeszcze



wyznanie miłości dla Okszy, a następnie to nieśmiało drżące pytanie:

— Widziałas go?... Powiedziałaś mu?...

Wysłuchać takich pytań, zobaczyć te dwie łzy, spływające na rzęsy przy słowach:

— Bądź spokojna, z moim współudziałem włos mu z głowy nie spadnie! — i we dwa dni później zaręczyć się z Okszą, to przecież było trochę ciężko.

I... jeszcze jedno: Przypomnienie, że Jan pierwszy zaczął mówić o możliwości jej zamążpójścia za Okszę, że zdawał się tego tak gorąco pragnąć — przejmując ją dziwnym chłodem i niechęcią do wykonania jego projektu. Dlaczego on tak bardzo sobie tego życzył? Czy nie po to, aby mózdz czerpać z kieszeni szwagra, kiedy ten będzie z nim już związany wspólnością rodzinnych interesów i rodzinnego honoru? Swoją majątek poświęcić mogła bez wahania, ale narzucać przyszłemu mężowi brata utracjusza, może bankruta, może napiętnowanego tą niezmytą plamą, jaką nieudana gra, prowadzona za cudze pieniądze, znaczy czoło spekulantów? Czyż miała do tego prawo?

Gdyby kochała Konstantego, te wszystkie względy nie istniałyby wcale. Miałaby czem osłonić się przed własnym sumieniem i zapłacić mu za wszystkie niedobory życia, któreby mu wniosła jako jedyny posag.

Ale podejść przyjaciółkę, sprzedać własne serce i wolność, człowieka, ceniącego nad wszystko w świecie nieposzlakowany honor swego nazwiska, pociągnąć w odmet największych może finansowych brudów — i to wszystko tak na zimno, tak z kredką w rękę, tylko dla zapewnienia sobie samej materialnego spokoju i cenniejszej pozycji towarzyskiej — czy było to postąpieniem już nie szlachetnym, ale choćby nawet uczciwym?...

Iza wzdrygnęła się. Nie! Za nic na świecie nie postawi się w takim położeniu, aby podobne pytania

zakłócały jej sumienie. Czemże jest przywilej patrzenia z dumą na drugich, gdy we własne serce spojrzeć nie można z dumą? Czem byłyby na drodze jej życia wszystkie złote mosty najidealniejszych porywów, gdyby się do nich przedostać trzeba po kładce takiego kompromisu z sumieniem?

Praca, jakakolwiek, byle uczciwa i pożyteczna, to jedyna już dla niej teraz otwarta droga, którą uciec można od wszystkiego, co brudzi i plami.

Przeważając w swej duszy takie szale, Iza równocześnie tańczyła dużo, uśmiechała się z ożywieniem, odpowiadała tu i owdzie na jakieś rzucone pytania lub komplement. Nie zawsze można sobie pozwolić na taki zbytek, jakim jest wyłączenie oddanie godziny życia temu, co w tej godzinie zdaje się nam o całym życiu stanowić. Obowiązek wobec społeczeństwa, rodziny, czy salonu, równie bywa wymagającym i nieubłaganim.

Na szczęście dla Izy, goście jej braterstwa wszyscy byli ludźmi najlepszej sfery i najdelikatniejszych form towarzyskich. Wiedzieli oni, że mimo najszczerzej ochoty, nie wypada bawić się dłużej, niż sobie to gospodarstwo oznaczyli w ogólnym, przypuszczalnym programie przyjęcia, i po północy, jak na każdym raucie, salon zaczął się zwolna opróżniać.

Jeden prawie z ostatnich wychodził Oksza. Ujrawszy go zbliżającego się ku niej z pożegnalnym ukłonem, Iza uczuła dziwne ściśnienie w piersiach i w gardle. Przez chwilę trudno jej było przemówić, a jednak postanowiła sobie, że dziś koniecznie powie wszystko.

— Panie Konstanty — rzekła wreszcie cicho, po raz pierwszy, zwracając się do Okszy z takim poufałym nazwaniem — ja... bardzo żałuję, ale... naprawdę nie mogę. Nie kocham pana, i wogóle... dla wielu powodów nie mogłabym zostać żoną pana, mimo całej życzliwości i szacunku, jaki mam dla niego. Niech pan całą tę dzi-



siejszą rozmowę między nami uważa za niebyłą, zapomnijmy o niej. Dobrze?

— Jak pani rozkaże — rzekł Oksza cicho, dotykając jej dłoni w zwykłym konwencyonalnym uścisku.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, domowi pozostali już sami w salonie.

— Dobranoc wam, jestem nadzwyczaj znużona — rzekła Iza, nerwowo podrażnionym głosem.

I dotykając ręką skroni, jakby w niej nagły ból uczuła, zwróciła się w stronę swego pokoju.

— Dobranoc, Izetko! — wołał za siostrą Jaś i postąpił parę kroków, jakby pragnął jeszcze zatrzymać ją i serdeczniej pożegnać, ale znikła poza portyerą, nie spojrzawszy na niego.

— Józef! kieliszek szampana, dla mnie i dla pani! — dysponował Wyszomirski z dziwnym ożywieniem w twarzy i głosie. — Wypijmy zdrowie naszego rautu!

— Jesteś... zadowolony z rautu? — spytała Marya, która sam na sam z mężem miała jeszcze wybitniejszy wyraz niepewności i zakłopotania w oczach.

— Z rautu? Bardzo, a z własnego rozumu jeszcze więcej. Ha! ha! ha! — rozśmiał się sam do siebie. — Oni mi grozili wyczerpaniem kredytu! *A d'autres!*

## VI.

— A więc uparłeś się zostać guwernantką! Wiesz, podziwiam taki wybryk fantazyi — mówiła nazajutrz Jadwiga do Izy, która wyrwała się wcześniej z domu, aby uniknąć panującego tam porautowego nieładu. Więcej może jeszcze odstraszała ją od rodzinnego kółka obawa niemiłej eksplikacji z bratem, który od wczoraj zasypywał ją serdecznościami i miał ciągle taką minę, jakby mu na ustach drżało pytanie, z którym niebardzo śmiał się odezwać.

Co on sobie właściwie myślał? Wszak niepodobna przypuścić, żeby Oksza zwierzał mu się naprzód ze swych matrymonialnych projektów. Więc coś znaczyło to zainteresowane spojrzenie, zawieszone ciągle na jej twarzy, jakby usiłujące z niej coś wyczytać?

Żeby się zbyć tego męczącego, choć niemego śledztwa, uciekła z domu.

U Jadwigi zastała posiedzenie malarskie. Gończak, który chwilowo nie miał pracowni (niestety! zdarzało mu się to przynajmniej trzy razy do roku — a to z powodu, że młoda sztuka nie umiała jeszcze przemówić do kieszeni bogatych mecenasów, nabywających obrazy), zrozpaczony tym brakiem i wynikającą stąd przymusową bezczynnością, oświadczył się z chęcią zrobienia portretu Jadwigi na noworoczny podarek dla Kazia. Jadwiga, jak każda kobieta, rada zobaczyć twarz swoją uwiecznioną na płótnie, łatwo dała się namówić na ten projekt. Okazało się, że salon pani sędziny posiadał doskonałe, północne światło, i młody malarz zabrał się z zapalem do pracy.

— No, jak Matejkę kocham, za ten portret muszę wziąć medal! Pyszenie mi wychodzi! — szeptał sam do siebie zadowolony artysta, to zbliżając się dla jednego dotknięcia pędzlem, to znów odskakując o parę kroków od swego dzieła, aby mu się lepiej przypatrzeć. Z paletą, nałożoną farbami, w jednej ręce, pędzlem w drugiej, w krawacie przekrzywionym na szyi i miękkim, filcowym kapeluszu na głowie, którego rondo miało jego oczy osłaniać od światła, z temi ciągłemi okrzykami zachwytu nad własnem dziełem, wyglądałby prawie śmiesznie, gdyby nie ten jasny, szczery ogień zapału, który ożywiał jego brzydką twarz. Z tym wyrazem w oczach nie był śmieszny, tylko trochę oryginalny i interesujący.

Zresztą dopóki artysta tworzy jeszcze, wolno mu wierzyć w potęgę swego talentu, uczuwać zachwyt, roz-



koszować się przekonaniem, że wcielony ideał piękna na jego rozkaz zstępuje z obłoków, bo ta wiara w możliwość osiągnięcia ideału, ta są skrzydła, które właśnie ku niemu zbliżają. Dopiero, gdy dzieło staje już zupełnie wykończonem przed oczyma twórcy, któremu w duszy tkwi jego idealny, bez marnego pośrednictwa materialnych narzędzi, samą potęgą ducha stworzony pierwowzór, wtedy dopiero zupełne zadowolenie i rozkoszowanie się dziełem swoim staje się kłutwą talentu, zaprzeczeniem nieśmiertelnej iskry geniuszu, którego nic, co ziemskie, śmiertelne, nasycić i upoić nie jest w stanie.

Ale portret Jadwigi ledwie pierwszymi szkicami zstępował na płótno, i pełne zachwyty wykrzykniki Sewera, jako echa tych rozkosznych uniesień tworzenia, któremi mu dusza w tej chwili wzbierała, nie raziły ani zarozumiałością, ani fanfaronadą.

Iza i Jadwiga, śledząc z zajęciem postęp artystycznej pracy, po raz pierwszy tak zbliżka widzianej, rozmawiały przy tem swobodnie, szczerze, jakby w tym pokoju były we dwie tylko.

Gończak, jako świadek, nie liczył się; znanadto był zajęty swoim obrazem; zresztą obchodził on się zwykle tak bezceremonialnie ze wszystkimi, że i z nim wzajem nie robiono sobie ceremonii. W kółku, w którym się obracał, bywał zarówno powiernikiem mężczyzn, jak kobiet, bo umiał słuchać bardzo inteligentnie i w pięć minut później zapominać, o czem do niego mówiono.

— Uparłam się pracować — odpowiedziała spokojnie Iza na pełen zgorszenia wykrzyknik Jadwigi — i zdaje mi się, że ty mniej, niż kto inny, powinnaś się temu dziwić.

— Przeciwnie, dziwię się temu ogromnie. Pojmuję pracę, ale taką, która nam coś daje, a nie tę, co wysysa wszystkie żywotne soki naszego umysłu, aby potem, jak wyciśnięta cytryna, stał się do niczego niezda-

tnym. Uczyc się, kształcić i rozwijać w sobie ten pierwiastek duchowy naszego organizmu, który nas wywyższa nad wszystkie, zaludniające ziemię, twory, to rozumiem; ale uczyć abecadła nieznośnych malców, to się nazywa powolnem, moralnem samobójstwem.

— Jednakże nim się dojdzie do możliwości samokształcenia, trzeba koniecznie przejść przez epokę abecadła; stąd wynika, że muszą być na świecie tacy, którzy tego abecadła uczą.

— Być muszą, niewątpliwie; ale jabym też to zostawiła tym, którzy z innych względów muszą, bo przedewszystkiem muszą jeść, a nie mają zaco. Przed tą koniecznością, niestety, uginają się wszystkie wyższe, duchowe popędy człowieka. Ale kto jest w takim położeniu, jak ty...

Iza zaczerwieniła się. Z jaką ulgą w piersi byłaby wypowiedziała szczerze: Ja także muszę; nie mam już ani grosza własnego, a cudzym kosztem żyć nie chcę. Ale wypowiedzenie tych słów mogło być kamieniem, rzuconym pod nogi bratu, więc choć miała wstręt do wszelkiego udawania, musiała więc stroić się w fałszywe piórka bezinteresownych zapałów do nauczycielskiej pracy. Ratowało ją przed własnem sumieniem to tylko, że istotnie czuła w duszy pustkę i czczość, którą pragnęła czemkolwiek zapełnić. Guwernerka nie była może najponętniejszym ku temu środkiem, ale w jej położeniu była jedynie możliwym.

— Widzisz, mamy co do tego zupełnie odrębne pojęcia — zaczęła jakby usprawiedliwiać się z pewną nieśmiałością. — Ty hołdujesz nauce dla niej samej tylko, dla źródeł prawdy, które z niej biją, ja patrzę na jej zastosowanie i użytkowanie w życiu; obliczam płony, jakie jej posiew wydaje. Stąd też byłabym szczęśliwa, gdyby ten drobny zasób wiedzy, który posiadam, mógł się już komu na co przydać.



— Krótko mówiąc — dodała z wybuchem śmiechu trochę zbyt nagłym i krótkim — pałam nauczycielską gorączką, marzę o abecadle i właśnie przyszedłam cię prosić, abyś mi pomogła w wynalezieniu jakichś małych osobników, w którychbym tę miłość do abecadła przyszczerpić mogła. Ty się tak wciąż obracasz wśród ludzi, tylu masz kolegów, koleżanek, profesorów na tym swoim uniwersytecie, że może nie byłoby ci tak trudno przyjść mi w tem z pomocą. W kółku znajomych, bywających u Jasiów, nie chciałabym szukać umieszczenia, bo ze znajomymi to zawsze kolizja!

— Jeszcze, jeszcze panno Izo! niech pani mówi dalej, a panna Jadwiga niech słucha — odezwał się prosząco Gończak, gdy Iza umilkła.

— Dlaczego mam mówić jeszcze? — spytała zdziwiona Iza.

— Bo panna Jadwiga w ten sposób utrzymuje pozę, a gdyby sama mówiła albo też nudziła się, byłaby już ze sześć razy obróciła się na fotelu, zaglądając mi w płótno, »czy będzie podobna?« Już ja wiem, jak pozują wszystkie kobiety, z wyjątkiem fachowych modelek. Robić portret damy, to jest prawdziwa męczarnia.

— A czemuż się pan tego podjął z własnej ochoty?

— A bo mi się chce dostać medal i wiem, że za ten portret będę go miał. No, dalej, dalej panno Izo. Co tam jeszcze było o tej pracy? Pani ślicznie gada. Żebyś mógł, tobyś nastawił fonograf i to wszystko nałapał na użytek innych klientów. Bo ja, malując, nie umiem nikogo bawić. Są tacy artyści, co na każde portretowe posiedzenie przynoszą więcej plotek, niż farb i pędzli, i dobrze im się wie, jak Matejkę kocham! A mnie zaraz język kołkowacieje, gdy tylko pędzel do ręki wezmę.

I jakby na poparcie swych słów, Sewer, powróciwszy do płótna, pograżył się na nowo w milczeniu.

— Jeżeli cię już taka dziwna mania uczenia napała — podjęła Jadwiga — toż lepiej wyszukać parę lekcyi, które, dając, mogłabyś jednak pozostać u braterstwa i zachować sobie przynajmniej kilka godzin dziennie spokoju i zupełnej swobody. Obowiązki nauczycielki domowej są prawdziwą babilońską niewolą.

— Ale ja właśnie chcę tej niewoli! byłam zawsze dziwaczką i to, co się innym wydaje uciążliwem, mnie najbardziej pociąga — mówiła z pewną niecierpliwością Iza, trochę zmieszana i znużona przedstawieniami Jadwigi, którym nie mogła przeciwstawić najsilniejszych, najbardziej przekonujących, bo na istotnych pobudkach swego działania opartych argumentów. — Ty twierdzisz, że lekcyje dawane w mieście, pozostawiają więcej spokoju i swobody. Być może, ale jakież dają moralne rezultaty? Czy można się spodziewać, że się w tej godzinie, spędzonej wyłącznie przy ścisłej, systematycznej nauce, osiągnie jaki wpływ na duszę dziecka, że się w jego umysł zasieje cokolwiek, oprócz paru dat, paru nazw geograficznych i paru reguł z polskiej lub niemieckiej gramatyki? Ja nie chcę być podręcznikiem naukowym, który mechanicznym prawie sposobem wypełnia umysł wiadomościami. Chcę być prawdziwą nauczycielką, kształcić duszę dziecka i prowadzić ją na te drogi, u których końca jaśniej cel, wart każdego trudu, każdego poświęcenia!

Prawdziwy zapał zadrgał w tej chwili w głosie Izy. Po za dziewczyną, znękaną codziennymi troskami, udręczoną obawą ciemniejszej jeszcze przyszłości, a usiłującą tę swoją gorycz i zgnębienie ukryć przed oczyma obojętnych ludzi, zbudziła się nagle w tej chwili entuzjastka, porwana własną wymową, wierząca już całą duszą w prawdę tych słów, które spłynęły na jej usta z razu tylko dla przełamania opornego niedowierzania towarzyszki.



— Fanatyczka jesteś — szepnęła Jadwiga. — Ale zresztą, moja droga, nie dziwię ci się. Wiem doskonale, że można kochać, pragnąć wszystkimi siłami czegoś, co źle przystaje do przeciętnego szablonu pragnień, zrozumiałych każdemu, utartych zwyczajem towarzyskim, narzuconych modą wszystkim duszom, pewnej grupy indywiduów ludzkich, tak jak mundur jednostajnej barwy i kroju narzuconym bywa żołnierzom jednego pułku. My jesteśmy panny na wydaniu, panny z dobrego domu, więc powinnyśmy chcieć tylko jak najprędzej wyjść dobrze za mąż i mieć dużo ładnych, koniecznie ładnych, dzieci. A jeśli pozatem mamy jeszcze inne pragnienia i cele, jest to odstępstwem, buntem przeciw moralnej dyscyplinie, utrzymującej w karbach dusze ludzkie, samowolą, która na nas oburza nie tylko obojętnych i głupich, ale nawet najrozumniejszych, najbliższych nam — tych, którym się zdaje, że nas rozumieją i kochają takimi, jakimi jesteśmy!...

— Panno Jadwigo, wyraz! — mruknął upominając Gończak, wodząc oczyma od postaci Jadwigi do szkicu zarysowanego na płótnie, jakby porównywał portret z oryginałem.

— Co takiego? — spytała trochę niecierpliwie, ściągając jeszcze bardziej brwi, które nad jej pysznemi, czarnemi jak noc, oczyma, zdawały się w tej chwili tworzyć równą, zupełnie nieprzerwaną linię.

— Wyraz, na miłość Boską! Gdy pani będzie takie rzeczy mówić i tak wyglądać w czasie pozowania, to pod portretem położymy chyba podpis: »Oburzona, studyum z natury«.

Panny roześmiały się.

— Dlaczego pan nie poradził Jadze, żeby się do tego pozowania ubrała w białą suknię? — odezwiała się Iza. — Jej ślicznie w białym kolorze, i to tak dobrze wygląda na portrecie.

— Co to znaczy: »dobrze wygląda?« — spytał Sewer, zajęty nakładaniem nowej farby na paletę.

— No... to znaczy, że biała suknia bardzo ładnie odbija od ciemnych włosów i takiej cery, jaką ma panna Jadwiga.

— Gdy będę malował plafon, albo parawan, albo jeszcze lepiej jakąś stułokciową panoramę, to się będę bawił w takie kolorystyczne efekty, ale gdy maluję osobę, to mi nie chodzi o to, żeby namieszać jaknajwięcej farb, tylko żeby pochwycić indywidualność moralną i fizyczną, a do tego celu niema żadnej potrzeby kostyumować się — odrzucił prawie szorstko Sewer.

— Już zrozumiałam, i czuję się pogrzebiona płytkością moich artystycznych sądów — śmiała się Iza. — Wiem doskonale, że chociaż przed obrazem, który mi się podoba, mogę stać godzinami, choć rzecz piękna, a raczej taka, która mnie się piękną zdaje, nasuwa mi tysiące myśli i uczuć, dających mi najpełniejsze zadowolenie, jakie odczuć jestem w stanie — to właściwie nie znam się wcale na sztuce. Gdybym się nie bała zanadto oburzyć pana, to gotowabym się przyznać, że mnie się i te nieszczęśliwe, tak pogardzane panoramy, podobają, gdy umieją pochwycić jakiś piękny moment życia, który wskrzeszają przed nami z taką łudzącą prawdą. Choć wiem, że one nie są przez malarzy cenione jako dzieła sztuki — ja lubię panoramy.

— A ja lubię knedle ze śliwkami; tylko nie wiedziałem, że mówimy o tego rodzaju gustach — zakończył rubasznie Sewer, zsuwając na tył głowy swój pomięty kapelusz, co zwykł był robić w chwilach irytacji.

Chwilkę młodzi milczeli, pogrążeni wszyscy troje w myślach. — Czy można pójść przywitać się z panią sędzią? — zagadnęła Iza.

— Ach i owszem, babcia się tobą bardzo ucieszy, ogromnie cię pokochała od czasu twej ostatniej wi-



zyty. Nie wiem nawet, czym zdołałaś tak zdobyć sobie jej serce.

— I ja nie wiem; tem chyba, że i ja ją kocham.

Jadwiga rzuciła na przyjaciółkę spojrzenie bystre, w którym była jak gdyby odrobinka zdziwienia; nic jednak nie rzekła.

Gdy po kwadransie pogadanki z panią sędziną Iza wróciła do salonu, posiedzenie artystyczne było już skończone. Sewer odszedł, a Jadwiga stała przed małym bióreczkiem, na którym między dość już wyblakłemi, oprawnemi w czarne ramki fotografiami jej rodziców, stała najnowsza, gabinetowa fotografia Kazimierza.

— Aha! to tak spędzają czas studentki uniwersytetu?! — roześmiała się wesoło Iza. — A cóż na to powiedzą twoje egzamina? Boję się bardzo, że ucierpią na zbyt częstem powtarzaniu się takich kontemplacji.

Ale Jadwiga podniosła na nią spojrzenie poważne, prawie surowe.

— Nie żartuj nigdy na ten temat, nie wiesz, jaką mi tem przykreść robisz — rzekła cicho. — Sama już czuję, że są rzeczy, które nadzwyczaj trudno z sobą pogodzić. Ja, potrafiłabym to, ale musiałabym napotkać taką dobrą wolę i u drugich, a tymczasem...

— Tymczasem pan Kazimierz wolałby, żebyś jak najrychlej została jego żoną, zamiast ubiegać się o doktorski dyplom. Nieprawdaż?

— Oh, to już nie chodzi o sam fakt przyspieszenia ślubu. Chodzi o przyczynę, o źródło, z którego płyną nieporozumienia dwojga ludzi, mających z sobą przeżyć życie całe, a nie mogących spędzić jednego dnia w zupełnej harmonii i jedności uczuć.

— Nieporozumienia?! Jakto, Jaga? Tyle lat przeżyliście w idealnej prawie zgodzie i przyjaźni, a teraz, gdyście się zaręczyli, po trzech tygodniach narzeczeństwa już wybuchają nieporozumienia?

— Zapewne dlatego właśnie, żeśmy się zaręczyli, że Kazimierz czuje się już niejako właścicielem mojej duszy, więc wszystko, co w niej nie odpowiada posłusznemu echem jego wrażeniom i uczuciom, razi go. Ja kocham go tak, jak kochałam dotąd, uznaję wszystkie jego przymioty i wady, całą jego człowieczą indywidualność, on zaś we mnie uznaje już tylko... swoją przyszłą żonę. Po za tem nie istnieje we mnie dla niego nic a nic.

— A jednak on kocha cię prawdziwie, bardzo, zdaje mi się nawet... więcej, niż ty jego — domówiła cicho Iza.

— O! bardzo być może — roześmiała się Jadwiga trochę oschle — tylko że, widzisz, mężczyzna im bardziej kocha, tem więcej potrzebuje, żeby dla niego wszystko poświęcano, a że ja, jako strona, podług twego określenia »mniej kochająca«, nie zawsze umiem się zdobyć na takie poświęcenie, więc stąd wynikają między nami pewne dysonanse. No, ale mniejsza o to! — dodała nagle, zmieniając ton. — To zapewne tylko początki są tak trudne. Z czasem się do siebie jakoś przystosujemy. Ponieważ z dnia na dzień przybywają kobiety, które chcą robić coś jeszcze, prócz podtrzymywania domowego znicza, zatem i mężczyźni będą się musieli nauczyć pewnej w tym względzie tolerancji. Małżeństwo jest instytucją społeczną, która przetrwać musi nie tylko emancypację kobiet, ale wszelkie zmiany społecznego ustroju, bo bez niej nie byłoby społeczeństwa. Ot! wiesz co ci chciałam powiedzieć: że mam już prawie upatrzone dla ciebie miejsce.

— Jakto? Gdzie?!

— U jednego z profesorów Akademii sztuk pięknych; przypomniałam sobie, że przed tygodniem właśnie jedna z koleżanek studentek, która tam przez dwa lata była nauczycielką, opuściła to miejsce, aby się swo-



bodniej przygotowywać do egzaminów. Podobno nie-  
źle jej tam było i rozeszli się w zupełnej zgodzie. Po-  
proszę ją, aby się wywiedziała czy jeszcze nie mają  
nikogo, a w danym razie, aby ciebie poleciła na swą  
następczynię.

— O, moja droga, dobrze! Będę ci tak wdzięczną!  
Ty nie wiesz... nie umiem ci tego dobrze wypowiedzieć,  
ale jabym bardzo pragnęła ustalić już raz swoje życie.  
Przytem, to musi być inteligentny dom — a dla mnie  
toby bardzo wiele znaczyło.

— Jeżeli myślisz, że każdy profesor bawi żonę,  
dzieci i guwernantki w czasie obiadu rozmową o litera-  
turze i sztukach pięknych, to się bardzo mylisz. Ale  
w każdym razie jest to dom porządny, w którym bę-  
dziesz miała należne уваżanie i odpowiednie wygody.  
Zresztą wypytam się o wszystko i opowiem ci.

## VII.

O tej samej południowej porze do gabinetu Wy-  
szomirskiego wchodził Konstanty Oksza. Na jego widok  
gospodarz zerwał się od biurka z twarzą rozpromienioną  
i wyciągnął obie ręce, gotowe widocznie do braters-  
kiego uścisku.

— Jak się masz, jak się masz! — powtarzał gło-  
sem dziwnie serdecznym i ożywionym.

— Jak się masz — odrzucił Oksza w swym zwy-  
kłym flegmatycznym tonie, który dziwnie odbijał od  
roztkliwionych nut w głosie Wyszomirskiego.

— Wiesz! spodziewałem się, że do mnie przyj-  
dziesz — całe rano już cię wyglądałem.

— Tak, dlaczego?

Brak najlżejszego błysku domyślności, lub przynaj-  
mniej żywszego zainteresowania w spojrzeniu, które tym  
słowom towarzyszyło, na razie zmieszało nieco Jana.

— No bo przecież... choć niby nie wypada, żebym  
to ja ci pierwszy wspomniał; ale w każdym razie... do-  
myślałem się, że będziesz miał mi coś do powiedzenia  
po tem, co wczoraj zaszło...

— Ach, chcesz mówić o tem, że twoja siostra dała  
mi kosza? Nie przeczę, że go dostałem, ale chyba nie  
jest to miły temat do gawędy.

Jan porwał się z fotelu, jak odrzucony sprężyną.  
— Kosza? Ona dała ci kosza? To niemożliwe! To  
szaleństwo! Ja na to nigdy nie pozwolę!

— Ach, dajże pokój. To przecież rzecz taka zwy-  
kła, że panna da komuś kosza; niema czego krzyczeć  
w niebogłosość. Widzisz, jak ja to stoicznie przyjmuję,  
choć co do mnie, tracę pannę Izę, a ty ostatecznie nie  
tracisz nic.

— Ale to jest wariatka! Trzeba ją zamknąć w domu  
zdrowia!

Oksza skrzywił się z niesmakiem.

— Mój kochany, robisz się zupełnie niemożliwy.  
Powinieneś się przejechać do Anglii, żeby nabrać tro-  
chę spokojniejszych manier, albo do Ameryki, żeby się  
nauczyć cenić osobistą wolność człowieka. Dlaczego wła-  
ściwie panna Iza miałaby obowiązek przyjmować moje  
oświadczenia? Czy dlatego, żeby to dogodziło tobie  
i mnie.

Wyszomirski czuł się coraz bardziej podrażniony  
zimną krwią i loiką tego odrzuconego konkurenta.

— Bo ty także nie kochasz jej! To ją zraziło —  
rzucił w formie niby pytania, niby wymówki.

— Pozwól, że z tego już nie będę ci zdawał sprawy.  
Kocham, czy nie kocham, dość, że chciałem się z nią  
żeńić. Nie zrobiło się to...

— Ale się jeszcze robi — Iza musi zmienić zdanie.

— Pod wpływem twoich argumentów? Nie, dzie-  
kuję ci. Zresztą powiedziałem ci, że »miałem« intencję



się ożenić. Teraz już tej intencji nie mam. Za kilka dni wyjeżdżam.

— Gdzie?

— Prawdopodobnie do Australii. O, nie na całe życie. Chcę się tylko trochę przejechać, a że w Europie już wypróbowałem wszystkie hotele, a Ameryką przejadłem się z samych opisów wszystkich naszych powołanych i niepowołanych literatów, więc zajrzę do Polinezyi. Za powrotem będę ci służył i opowiem, jak mi się wycieczka udała.

Zamilkł. Jego twarz delikatna, przesłonięta wiecznie tą samą maską nieco ironicznej obojętności, na sekundę ożywiła się innym wyrazem.

— Właściwie... przyszedłem cię prosić — rzekł z pewnym wahaniem, dobierając słów — żebyś z siostrą swoją nie poruszał wcale kwestyi tych oświadczeń i danego mi kosza. Wiem, że... życzyłeś sobie tego małżeństwa i że od wczoraj... liczyłeś na jego dojście do skutku. Daruj mi moją otwartość, ale nie umiem się przystrajać w nic, ani nawet w fałszywą skromność.

— Nie zapieram się tego bynajmniej. Pragnąłem, żebyś został moim szwagrem, bo znam cię jako człowieka, mogącego każdą kobietę uszczęśliwić, i wbrew afiszowanej przez ciebie obojętności, odgadłem twoją miłość dla Izy — oddeklamował z emfazą Wyszomirski.

Oksza batystową chustką otrzepywał jakiś niedostrzegalny pyłek z lakierowanego buta.

— Otóż wszystko, co odgadłeś, zechciej łaskawie zatrzymać dla siebie. Niech panna Iza nie domyśla się wcale, że ty wiesz, co między nami zaszło, i niech jej to nigdy w życiu nie narazi na najmniejszą przykrość. Będę ci wielce obowiązany, jeśli tej mojej prośbie załość uczynisz.

Wyszomirski milczał; był zanadto podrażniony, aby odrazu przyjąć to za dobrą monetę, i w znoszeniu kłę-

ski, sprowadzonej na niego niepojętym kaprysem Izy, poddawać się jeszcze warunkom, dyktowanym przez Okszę. Z drugiej jednak strony prośby milionera mają dziwnie nieprzepartą moc dla wszystkich, a najbardziej dla bankrutów. Po długiej chwili Wyszomirski wyciągnął rękę do swego gościa.

— Obiecuję ci to. Oceniam twoją delikatność i potrafię ją uszanować — rzekł wzruszony.

Konstanty wstał z fotelu.

— A zatem pozostaje mi już tylko pożegnać cię i... do widzenia za powrotem.

— Do widzenia — szepnął głucho Wyszomirski, któremu w tej chwili zdawało się, że razem z tym człowiekiem wychodzi z jego pokoju ostatnia deska ratunku.

Wobec tej myśli zapomniał o wytrwaniu do ostatka w roli »szlachetnego opiekuna«, który zupełnie bezinteresownie pragnął oddać los siostry w ręce godne takiego skarbu. Nie czuł już nic prócz tego, że nadzieje, jakie wiązał z osobą Okszy, prysnęły nagle, i że brak kilkudziesięciu nieodzownych tysięcy musi przyprowadzić człowieka o utratę honoru, lub życia.

W progu Oksza zatrzymał się.

— Zapomniałem jeszcze o jednej rzeczy — rzekł od niechcienia. — Gdy byłem przed kilku dniami w waszym biurze, w sprawie parcelacyi jednego z moich folwarków, wydało mi się, że sekretarz miał jakieś finansowe nieporozumienia z jednym z klientów. Może na razie brakuje wam gotówki do zaspokojenia jakichś pretensyi?

Czoło Wyszomirskiego pokryło się rumieńcem. W wyrazie jego pięknej, zwykle Jowiszową pogodą i dumą jaśniejącej twarzy, była dziwna mieszanina wstydu, uczucia ulgi, chciwości i zgwałconej dumy zarazem.

— Nie... to jest, być może, że przechodzimy w tej chwili krytyczny przełom, który zaostriżyła gwałtowna



zniżka naszych krajowych papierów na giełdzie zagranicznej. W świecie finansów wszystko jest związane, spojęne ze sobą nierozzerwalnym łańcuchem; jedno poślizgnięcie się u góry...

— Ach, być może! nie znam się na tem wszystkiem — przerwał z pewną niecierpliwością Oksza. — Chciałem ci powiedzieć, że jeśli niewielki zasiłek mógłby cię wyprowadzić z tych chwilowych trudności, to... mogę ci służyć pożyczką.

Sięgnął do pugilaesu, nie patrząc weń, prawie machinalnie wyciągnął z zewnętrznej przegródki czek na 50.000 i położył na stoliku.

— Doprawdy jesteś... nie umiem ci wyrazić — zawsze wierzyłem w twoją przyjaźń — jakaś bardzo zmieszany Wyszomirski.

— Dajże spokój. Wprawdzie nie mam zwyczaju angażować moich kapitałów w finansowe przedsięwzięcia, ale tym razem, wyjątkowo, nie robi mi to żadnej różnicy. Nie dziękuj. Do widzenia.

— Wystawię ci weksel — bąknął Wyszomirski, którego to słowo »wyjątkowo«, podkreślone nieco silniej w intonacji, jakby ostrzeżenie na przyszłość, uderzyło niemile i ochłodziło poryw jego wdzięczności.

— Nie potrzeba. Między nami to zupełnie zbyteczne — odrzucił Oksza tonem, w którym nie było ani serdeczności, ani echa ubliżającej insynuacji.

Dotknął zlekka dłoni Wyszomirskiego i wyszedł spiesźnie, jakby dla urwania drażliwej dla obu stron rozmowy. Nim się gospodarz opamiętał, że należało szcudrośliwego gościa odprowadzić przynajmniej do przedpokoj, usłyszał, jak służący drzwi za nim zamykał w sieni. Pozostał więc w swoim gabinecie sam na sam z tym cukiem, przypominającym mu zaszłą przed chwilą scenę i przepełniającym go dziwnem pocuciem niesmaku i upokorzenia.

Ta pożyczka, ofiarowana tak wspaniałomyślnie, bez procentu, bez określenia terminu oddania, nawet bez najmniejszego świstka, skryptu, gwarantującego prawa właściciela, wyglądała coś bardzo na darowiznę i ciężyła Wyszomirskiemu więcej, niż wszystkie mętne interesy, w które zawikłał się, i z których za pomocą tej pożyczki miał się wyzwolić.

Piękny dyrektor należał do rzędu ludzi, których sumienie, honor, uczciwość są przedewszystkiem na usługi pewnej koteryi towarzyskiej, złączonej z nim węzłami znajomości, wspólnych kolacyjek w kasynie, wesołych karnawałów i niemniej ożywionych »sezonów« po zagranicznych kąpielach. Wobec tych znajomych swoich pragnął uchodzić za doskonałego gentlemiana. Gdyby nie groziło mu to skandalem i strasznym upadkiem, byłby wolał ograbić w interesach dziesięciu nieznanych mu osobiście klientów Spółki, niż przyjąć od Okszy tę niby pożyczkę, dobrowolnie mu ofiarowaną. Ma się rozumieć, że gdyby Oksza był został narzeczonym Izy, to od przyszłego szwagra możnaby było przyjąć nietylko kilkadziesiąt tysięcy, ale choćby połowę majątku. I Jan pewno nie robiłby sobie z takim podziałem skrupuła: wobec odrzuconego konkurenta jednak, byłoby przyjemniej zachować nieco więcej etykiety.

Cóż znowu za głupie skrupuły! Ten konkurent odrzucony był przecież jego szkolnym kolegą; żyli z sobą zawsze bez ceremonii. Czyż miał obowiązek zmieniać rodzaj tego stosunku teraz, dlatego, że się Izie podobało zrobić szaleństwo i odepchnąć od siebie człowieka, który pięćdziesiąt tysięcy wyjmował z tą samą obojętnością, z jaką wyciągał chustkę od nosa? Ach, ta Iza!... Im dłużej zastanawiał się nad tem wszystkiem, tembardziej był wściekły na nią.

Gdyby nie przyrzeczenie, dane Konstantemu, miałyby się ona dzisiaj zypszna!



Ale i tak wynajdzie sposób zemśczenia się na niej zato, że tak haniebnie zdrwiła sobie z niego. Dawać kosza Krezusowi! Proszę! Jaka magnatka. Gardzi milionami! Niechże sobie teraz robi co chce — niech idzie na guwernantkę, bonę, pocztmistrzynię. On ani jednym słowem nie powstrzyma jej od tego. Niech używa tych rozkoszy, które przeniosła ponad stanowisko żony Konstantego Okszy.

Choćby świat miał gorszyć się i krzyczeć gwałtu na taki skandaliczny rozdział rodzeństwa, wina tego poróżnienia padnie nie na niego, tylko na fantastyczną kapryśnicę, którą emancypacyjne zachcianki z domu brata, z pod jego opieki, wyprowadzają na bruk, dla szukania stanowiska. Komedyantka, chodząca na koturnach — rozwijająca nad swoją głową sztandar szlachetnej bezinteresowności kosztem jego kieszeni!

W tej chwili czuł się przez Izę formalnie okradzionym. Zbudziła się też w nim głucha nienawiść, jaką każdy winowajca, uchodzący w oczach świata za niewinnego, odczuwa względem tego, co sam jeden ośmiela się podejrzewać go i potępiać. Przypomniawszy sobie z porywem buntu w duszy, jak już od kilku tygodni oczy Izy śledziły go z niepokojem, jak usta jej w formie błagalnej prośby lub surowego ostrzeżenia rzucały mu prawie jawnie hańbiące oskarżenie. I on to wszystko znosił? On za pierwszym zaraz słowem nie zamknął jej drzwi swojego domu? Przeciwnie, raczej całą siłą woli wstrzymywał ją, aby pod jego dachem została?

Tak — znosił, bo musiał. Bo był taki nędzny, zawieszony w tak śmiertelnej trwodze nad czarną otchłanią nieszczęścia, że wszystkie władze jego ducha skupiały się w tem jednym usiłowaniu, żeby się ponad tą przepaścią utrzymać. Wiedział, że jeden jego ruch niezręczny, jedno drgnienie opinii publicznej, zwracające się przeciw niemu, mogły go pogrążyć na wieki. I dla-

tego znosił wszystko; ze śmiertelnym potem na skroni i jadem trującej goryczy w sercu, uśmiechał się do wszystkich i wszystkiego i szamocząc się w strasznej męce jak motyl, wbity na szpilkę, udawał, że się bawi tak wesoło, jak nigdy, bo wiedział, że najbardziej karłomne przejścia przebywa się najłatwiej z uśmiechem na ustach.

Ale teraz przedostał się już na drugi brzeg otchłani. Te pięćdziesiąt tysięcy, to nie była wprawdzie wygrana walna bitwa, ale to była broń, z którą mógł nanowyo wystąpić do walki z życiem. Mógł gardzić opinią, która nie miała już prawa przystąpić do niego z paragrafem karnego kodeksu. Jak gracz, poczuwszy pieniądze w kieszeni, rzuca się napowrót do gry, przekonany, że tym razem wpadł na nieomylną, cudowną kombinację, tak i jemu zaczęły się snuć po głowie plany najrozmaitszych interesów, których świetność miała podnieść jego, a upokorzyć Izę. Ona, co śmiała mu ten »wyczerpany kredyt« rzucić w twarz jak obelgę, przekona się, że Jan Wyszomirski nie był stworzony na bankruta, tylko na możnowładcę finansowego.

Przy obiedzie dnia tego Jan wydawał się dziwnie ożywionym i rozweselonym; nerwy grały w nim. Do Izy wprost nie mówił nic, ale dowcipkował i śmiał się głośno, odgadując instynktownie ze mściwem zadowoleniem, że ta jego nienaturalna, niewytłumaczona dla niej wesołość, udręcza ją, bo budzi w niej niepokojące przypuszczenia i obawy.

— A niech się dręczy, kiedy śmie drzeć o mój honor i uczciwość — mówił sobie w duchu, śledząc grę rumieńców i bladłość na jej twarzy.

Wstając od stołu, zagadnął:

— Wiesz, Oksza kazał ci się ślicznie kłaniać. Wyjeżdża w tych dniach do Australii.

Iza milczała.



— Poco jedzie? — zagadnęła Marya tonem tak bezmyślnie naturalnym, jakby pytała, poco ktoś wychodzi na miasto.

— Nie wiem. Zapewne chce zrobić piękną podróż dla przyjemności.

— Ciekawam, kiedy wróci?

Marya niepewnymi oczyma śledziła twarz męża, usiłując odgadnąć, co właściwie powiedzieć należy na temat tej podróży Okszy.

Iza zamknęła się w swoim pokoju, pragnąc mieć parę godzin zupełnego spokoju i ciszy. Było jej jakoś dziwnie. Wiadomość o wyjeździe Okszy, którą przyjęła napozór z taką obojętnością, wstrząsającym echem rozległa się w głębiach jej duszy, budząc tam tysiące pytań i wątpliwości.

Wyjeżdża. — Cóż go gna w dalekie światy? Kaprys milionera, czy też ból człowieka, który zarówno kochać i ciepłą miłością może, czy jest Krezusem, czy najnędzniejszym z biedaków. — A jeżeli on ją tak naprawdę, tak głęboko kocha...

Czy nie popełniła świętokradztwa, łamiąc tę miłość dla torowania drogi sobie i wszystkim swoim skrupułom, które w porównaniu do wielkiego, żywego uczucia, były może tak marne, ciche, takie zimne i sztywne, jak biała, papierowa lilia postawiona obok ciernistej, purpurowej, prawdziwym tętmem życia rozplamionej róży. Ale nie! — Uczciwość nie zna marnych skrupułów, bo każdy najłżejszy cień wątpliwości jest dla niej zabójstwem. Kto postąpił uczciwie, nie powinien nigdy oglądać się wstecz, co tam poza nim runęło w gruzy pod dotknięciem tej nieubłaganej potęgi, która, gdy w duszy czyjej odezwie się choćby najcichszym szeptem, przysłusza wnet wszystkie inne głosy, która jest głucha na okrzyki radości, zarówno jak na jęk bólu, żadnych targów z sobą nie znosi, nie zna ustępstw i umie być tylko

wszechwładną królową, rządzącą każdym drgnieniem serca — albo też, nie być wcale.

Kto jej służy, nie biegnie w płasach po drodze życia i nie może rwać tych kwiatów, które wyrastają na rozdrożach, niby tuż, blisko prostego gościńca, jednak barwnym swoim szlakiem wyprowadzają na błędne ścieżki i manowce — nie może, bo ma ręce i nogi obciążone niewidzialnymi kajdanami, które utrudniają mu każdy krok. Przecież, choć dźwiga taki ciężar, nie pada jak inni, ze znużenia, wpół drogi, i nie obejmują go nagle ciemności, i nie gonią, nie straszą go widma żadne — przeciwnie, czuje moc jakąś spokojną i cichą, wiodącą go za rękę po najtrudniejszych przejściach, i nigdy nie jest sam, opuszczony, bo zawsze stoi obok niego jego uczciwość.

Iza podniosła twarz, ukrytą w dłoniach przez długą chwilę; czoło jej jaśniało spokojem — znikły z niego chmury niepewności i ciężkich wahań, wywołane opowiadaniem brata, a w ciemno-orzechowych, złotawych jej źrenicach był taki przejrzysty blask, jaki miewają tylko spojrzenia tych, którym widno w duszy.

## VIII.

— Więc pani nigdy jeszcze nie była domową nauczycielką?

— Nie, pani.

— I nie dawała pani w ogóle żadnych lekcji?

— Nie, pani. To moja pierwsza próba. Ale mam niepłonną nadzieję, że przy dobrych chęciach podołam przyjętemu na się zadaniu.

— I ja mam tę nadzieję. A gdzie pani odbywała nauki szkolne?

Iza zamiast odpowiedzi podała swoje świadectwa. Młoda kobieta, siedząca na kanapie ze swobodną i pe-



wną siebie miną pani domu, zaczęła je z wielką uwagą rozpatrywać.

— Hm, matura... ale tu niema żadnej wzmianki o języku francuskim.

— Posiadam zupełnie dobrze ten język; mówię biegle i znam gramatykę i literaturę francuską.

— A muzyka?

— Jeśli pani pozwoli, mogę zagrać.

Iza podniosła się z fotelu z rumieńcem na twarzy.

Żaden egzamin w życiu nie był jej tak ciężkim, jak ten »na guwernantkę«, któremu poddała się przecież bez przymusu nieubłaganej konieczności, tylko dlatego, aby pozostać wierną wyższym, szlachetniejszym popędom swej duszy, wbrew okolicznościom, ciągnącym ją w szarą nędzę moralnych ustępstw od promiennych ideałów życia.

Stało się. W tej chwili czuła się już guwernantką, istotą, której wiedza, charakter, obejście, nieledwie powierzchowność i strój otaksowano i zapłacono, i miała już na świecie prawo istnienia tylko w tych granicach, które zakreślała umowa, zastrzegająca dla niej utrzymanie, 500 złotych rocznej pensyi i jedno popołudnie na tydzień wolne, dla chlebodawców jej zaś, całą resztę jej życia.

Rozmowa z panią Rdzawikowską była właściwie już tylko czczą formalnością. Obie strony interesowane wiedziały o tem. Główne punkty umowy były już między niemi ułożone za pośrednictwem osób trzecich, i dla obu stron układ ten zbyt wiele przedstawiał korzyści, aby mógł się skończyć na niczem. Izie miejsce nauczycielki u Rdzawikowskich dawało pracę uczciwą i chleb dostatni, musiała więc cieszyć się z tak prędkiego spełnienia swych zamiarów; pani Rdzawikowska zaś zyskiwała w Izie nauczycielkę wszechstronnie wykształconą, nieposzlakowanego charakteru, onieśmiałoną jeszcze rolę

nowicyuszki, więc nie stawiającą pod żadnym względem zbyt wygórowanych wymagań. Co więcej, ta mieszcza z urodzenia i wychowania, którą małżeństwo przeniosło w sferę prawie arystokratyczną, wiecznie niby przez nią pogardzaną i lekceważoną, a jednak w głębi duszy pożądaną jak ziemia obiecana, zdobywała sobie na nauczycielkę swych dzieci osobę najlepszego towarzystwa, siostrę znanego w mieście »pięknego dyrektora«, ulubienicą wszystkich pań wielkiego świata, taką elegancką i świetnie wychowaną pannę Wyszomirską, którą nie potrzeba, lecz raczej wybryk fantazyi skłaniał do podjęcia nauczycielskich obowiązków. Żeby obowiązki te ucierpieć miały w czemkolwiek na takiej pobudce, pani Rdzawikowska nie obawiała się wcale, miała instyktowne przecucie, że charaktery takie, jak Izy, umieją z siebie najwięcej zrobić, gdy nie są popędzane biczem materyalnego przymusu.

Gdy Iza usiadła do fortepianu i zaczęła z pamięci grać mazurek Paderewskiego, pani Rdzawikowska doznała tego miłego wrażenia, jakie nas ogarnia, kiedy przekonywamy się, że interes, który zawieraliśmy jako dobry, przy bliższem rozpatrzeniu okazuje się bardzo dobry. Istotnie, jako nauczycielka muzyki Iza była »bardzo dobrym interesem«, nawet bez szczególnego znawstwa odczuwało się w jej grze jakieś tchnienie artystyczne, coś dziwnie miłego dla ucha i serca.

Przytem patrząc na jej białe i delikatne palce, przelizgujące się tak lekko po klawiszach, na całą, nieco pochyloną naprzód postawę, pełną dystynkcji i wdzięku, przyszła chlebodawczyni Izy ze zwykłą sobie jasnością sądu uznała, że mało domów w najwyższej nawet arystokracji mogłoby się pochlubić nauczycielką tak dobrze ułożoną — że taki anioł stróż przy dwóch dobrze już podrastających podlotkach robi bardzo dodatnie wrażenie i że aureolą swej dystynkcji więcej podniesie ton



domu, niżby to mógł uczynić nawet wygolony kamerdyner w herbowej liberyi, który zresztą stosunkowo byłby może meblem kosztowniejszym.

To też gdy Iza podniosła się od fortepianu, pani Rdzawikowska zbliżyła się ku niej ze szczerym i bardzo uprzejmym uśmiechem.

— Dziękuję pani. Zrobiła mi pani prawdziwą przyjemność swą grą. Mam nadzieję, że przy pani i moje córki nabiorą upodobania do muzyki i może rozwinie się w nich talent, który dla panny jest nie tylko miły, ale nawet, powiedziałabym, potrzebny.

— Marya, poprzednia kierowniczka moich dziewczątek, nie miała sama wielkiego upodobania do muzyki, więc też nie potrafiła go wszczepić i w uczennice. Wogóle miała ona głowę zajętą przedewszystkiem uniwersytetem, a te wyższe studia dla kobiety...

— Pani nie jest zwolenniczką emancypacyi — wtrąciła z grzecznym uśmiechem Iza.

— Ja uważam, że to się nie opłaca. Kobieta, która nie potrzebuje tego dla chleba, pocóż ma się męczyć? a ta, która się uczy dla przyszłego zarobku, gdyby obliczyła wszystkie koszty takiej przedłużonej nauki, przekonałaby się, że daleko praktyczniej iść odrazu na szwaczkę lub nauczycielkę.

Iza zaczerwieniła się. To zupełne zrównanie i zestawienie tych dwóch zawodów, jakby je łączyła wspólność kwalifikacyi i dającej się w nich osiągnąć pozycyi towarzyskiej, ubodło ją.

Ale pani Rdzawikowska widocznie nie posiadała tego daru delikatności, który jest połączonym głosem serca i inteligencyi, bo ciągnęła dalej:

— W obecnym stanie naszego społeczeństwa praca tem pewniejsze daje szanse, im bardziej jest rzemieślniczą i, że tak powiem, w pośledniejszym gatunku. Nic dziwnego: pokup jest zawsze większy na rzeczy tanie

a służące do powszedniego użytku, niż na kosztowne, artystyczne cacka. To też i nauczycielka, udzielająca elementarnych wiadomości, łatwiej znajdzie umieszczenie i chleb, niż doktor filozofii, którego wiedza, tak drogo nabyta, również drogo opłacanaby być powinna.

Pani Walerya mówiła płynnie, głosem równym, wydzwaniającym każde słowo tak stanowczo, jakby nie przypuszczała nawet, żeby ktoś mógł jej zdaniu przeciwstawić najmniejszą wątpliwość. Iza nie zdobyła się też na zaprzeczenie nie tylko słowem, ale nawet najłżejszym gestem, wyrazem twarzy; tylko rumieńce na jej policzkach stawały się coraz mocniejsze. Nie mówiła nic, bo musiała nawet przyznać w duszy pewną rację i ścisłość tym rozumowaniom, a przecież coś w niej buntowało się przeciw takiemu ocenianiu pracy ducha ludzkiego, najczystszych jego i najwznioślejszych wysiłków, tylko z punktu widzenia podaży i pokupu.

W tej chwili do salonu wbiegły dwie zgrabnie ubrane panienki, lat około dwunastu i czternastu. Twarzyczki miały inteligentne i dość ładne, choć głównym ich powabem była, zupełnie olśniewająca świeżość cery, która zdobiła i matkę, dając jej wygląd zaledwie dwudziestokilkuletniej kobiety.

— Oto są moje córki: Masia i Stasia, wracają właśnie z pensyi, dokąd zaczęłam je posyłać po odejściu panny Maryi, myśląc, że to będzie korzystniej. Ale system naukowy, przyjęty w pensjonacie, zupełnie mi się nie podoba. Sama przełożona niema taktu, a nauczycielki naśladują ją w tem i wprost psują dzieci fałszywym z niemi postępowaniem.

— Żeby mamusia wiedziała, jaka dziś znowu była heca... zaczęła Masia z wielkiem ożywieniem, kręcąc swój elegancki kapelusik.

— No, dobrze, już dobrze, opowiesz mi później — uśmiechnęła się pobłażliwie matka. — Teraz zapoznajcie



się z panną Wyszomirską, która będzie teraz waszą nauczycielką.

— Tak?... pani?...

Zdziwienie dzwigało w tem pytaniu. Istotnie, wysmukła i elegancko choć z wielką prostotą ubrana postać Izy mało przypominała typ biednie odzianych, przeważnie mizernych i trochę jakby przestraszonych nauczycielek domowych, których cała galeria przesuwiała się już we wspomnieniu dziewczątek.

Iza nie wyglądała na przestraszoną; miała na to zbyt wiele towarzyskiego wyrobienia — a przecież jej odwaga była tylko pozorną. Te dwie dziewczynki, obejmujące ją od stóp do głowy śmiały i wszystko dostrzegającym spojrzeniem, dziwnie ją onieśmielały. Pragnęła do nich przemówić, a nie wiedziała co. Nowość jej zależnego stanowiska, w połączeniu z tem bardzo obcem, nieswojskiem dla niej tchnieniem tego domu, wytrącały ją zupełnie z moralnej równowagi.

— Mam nadzieję, że się wkrótce zaprzyjaźnimy — rzekła wreszcie, czerwieniąc się, jak pensyonarka.

— I owszem — odparła pensyonarka, podając jej rękę z gięstem osoby dorosłej, silącej się na uprzejmość.

Iza nic już nie znalazła do powiedzenia; podniosła się, zwracając się ku pani Rdzawikowskiej:

— A zatem, od kiedy życzy sobie pani, abym objęła moje obowiązki?

— Im prędzej, tem lepiej; miesiąc możemy liczyć nawet od 15. Płaca, jak już pani wiadomo — 500 złr.

Przy słowie »płaca« znowu głos jej zabrzmiał tym oschłym dźwiękiem, pochodzącym zapewne stąd, że wyrazy tej kategorii pani Rdzawikowska wymawiała ze szczególnym naciskiem.

— Wiem — odparła Iza cicho, z wielkiem pomieszanem, zdradzającym, że dotąd umiała tylko płacić, lecz nigdy być płaconą i że wszystkie instynkta jej na-

tury buntowały się przeciw tej pierwszej próbie nowych warunków życia.

Podążyły sobie rękę. Dziewczynki dygnęły zdaleka, obrzucając uważnem spojrzeniem sukienny kostyum Izy, którego doskonale składające się fałdy świadczyły o jego pochodzeniu z dobrej pracowni krawieckiej.

We drzwiach prowadzących do przedpokoju spotkała się Iza z mężczyzną prawie młodym jeszcze, wysokim i nieco naprzód pochylonym, o twarzy szczupłej i bardzo smagłej, od której odbijały odrazu i niemal raziły niezmiernie błękitne, duże oczy. One to nadawały charakter całej twarzy, w ich błękitach topniała niejako i gubiła się ostrość rysów; smagła jak u typowego bruneta cera, ciemne, trochę kręte włosy, opadające nieco na czoło, wszystko zdawało się rozjaśnione tym błękitnym odbłaskiem.

Gdy się z Izą zetknęli we drzwiach, oboje cofnęli się mimowolnie, ustępując sobie wzajem miejsca. Pani Walerya zbliżyła się ku nim.

— Tadziu, panna Wyszomirska, która obejmuje u nas miejsce po pannie Maryi. — Mój mąż — rzekła pani Walerya, przedstawiając.

Rdzawikowski skłonił się i przeszedł szybko ku dalszym pokojom tym krokiem lekkim a nierównym, jaki miewają ludzie nerwowo żywi. Iza, wymieniwszy jeszcze jeden uściśk ręki z panią domu, wyszła spiesźnie na schody, myśląc:

— Ach, więc to tak wygląda ten słynny pan Rdzawikowski!

Co prawda, pan Rdzawikowski słynnym był tylko w kółku Gończaków i innych przedstawicieli »młodej sztuki«, którzy cisnęli się tłumnie na jego kursa estetyki i historii malarstwa — polemizując potem na ich temat całemi godzinami z nieliczną garstką słuchaczy Domalewicza, właściwego, zwyczajnego profesora po-



wyższych przedmiotów przy miejscowej Akademii sztuk pięknych; Domalewicz, choć nie wiele starszy od Rdzawikowskiego i podobno znacznie mniej utalentowany, zdołał go jednak ubiedz w zdobyciu profesorskiej katedry. Podzielili się: jeden miał rangę i pensję — drugi słuchaczy i sławę. To też Iza słyszała już wiele o Rdzawikowskim — i teraz mówiła sobie z poczuciem zadowolonej ciekawości: — To on tak wygląda!

Wprędce jednak głębokie oczy profesora estetyki i twórcy głośnego przed kilku laty obrazu »Excelsior« usunęły się przed nią w cień, ustępując miejsca wspomnieniu całej tej sceny »umawiania się«, która tak nieprzyjemne pozostawiła wrażenie biednej nowicyuszce. Myśl jej błąkała się od osoby samej pani Rdzawikowskiej do tak podobnych do niej, jakby tylko w miniatuże oddanych, postaci jej córek — i do duszy cisnęło się pytanie: Jak też mi tam będzie?

## IX.

— A! panna Iza! Cóż się to dzieje, że pani tak jakoś znikła z naszego kółka? — zagadnął Gończak, spotkawszy Izę pewnego sobotniego popołudnia na ulicy.

— Jestem bardzo zajęta — dostałam miejsce nauczycielki.

— A!... przepraszam, zdaje się, że mi już panna Jadwiga mówiła o tem — ale, pani wie, przy malowaniu to się na nic nie zda opowiadać mi najpiękniejsze romanse. I... u kogo pani jest?

Gończak zawahał się jakoś przed wymówieniem tego pytania; choć demokratą i sam pracujący na siebie od najmłodszego dzieciństwa, na Izę jednak przyzwyczaił się patrzeć z takiego punktu widzenia, że kwestya objętego przez nią miejsca nauczycielki wydawała mu się dość drażliwą do omawiania.

Ale Iza spojrzała Gończakowi prosto w oczy i rzekła śmiało:

— Mam bardzo dobre miejsce u profesorstwa Rdzawikowskich.

— Co? u tych naszych?

— Tak, on jest w Akademii — pan ich zna?

— Profesora, naturalnie znam — chodziłem trzy lata na jego wykłady — a ją znam... trochę z opinii, a trochę z wyglądu — przystojna kobieta, ale to nie mój typ: bajecznie kolorowa, a przytem taka jakaś byzantyńska. No, ale to pani w tym domu musi używać, jak kot w worku!

— Nie rozumiem pana.

— E, niech się pani ze mną nie bawi w dyplomacyę, bo ja jestem człowiek prosto z kładki, wiem czego pani potrzeba, żeby pani mogła jako tako żyć i dychać — i wiem także, że tego pani u Rdzawikowskich nie znajdzie. To nie żaden dom, drewniana klatka na dusze i koniec.

Choć słowa Sewera znajdowały wierne echo w myślach Izy, jednak, nie chcąc obgadywać domu swoich chlebobawców, odezwała się z pewnem wahaniem:

— Trudno zawsze dobierać sobie otoczenie odpowiednio do swego gustu — zresztą tak bardzo uskarżać się nie mogę. Pani Rdzawikowska nie posiada wprawdzie wybitnej inteligencji, lub jakiejs wyjątkowej delikatności uczuć — ale, o ile ją dotąd poznałam, wydaje mi się zupełnie dobrą kobietą...

— Zupełnie dobra! to określenie da się tak samo zastosować do tego tam drewnianego słupa: i on także nie rzuca się na ludzi i nie kąsa — ale kto go nie ominie na drodze, musi się o niego porządnie szturchnąć. I ona również nikomu na jeden cal z drogi nie ustąpi. Swoją drewnianą duszą zwichnęła mężowi życie, talent, karierę — to chyba dosyć.



— Pan nazywa zwichniętą karierę człowieka, na którego wykłady słuchacze cisną się tak, że stoją między ławkami — on przecież jest nie tylko ceniony, ale wprost sławny!

— Ej, co to z takiej sławy »wygadanej« — jak kłaninie i przestanie gadać, w trzy dni o nim ludzie zapomną — żeby jeden dobry krajobraz wymalował, toby choć coś po nim zostało. A on miał talent, mógł wszystkiego dokonać, ale już nie dziś... Gadać można samemu tylko nerwami, na każdą inną twórczą pracę potrzeba silnej głowy, silnego serca i silnych rąk — jego, biedaka, już na to nie stać; to trudno — gdy się kto dusi tyle lat, to się w końcu udusi. A u nich w domu duszno, jak pod kloszem pneumatycznym; ja to wiem.

Iza nic już na to nie odpowiedziała. Sewer na swój zwykły, wprawdzie trochę rubaszny sposób, ale jednak nadzwyczaj jasno określał to, co w niej tkwiło dotąd bezwiednem tylko pocuciem. Duszno, tak, rzeczywiście było w tym domu, tak duszno, że pierś wprost nie śmiała się podnieść szerszym oddechem i myśl nawet pełzała lękliwie, nieśmiało, jakby w obawie, że lada chwila uderzy o niewidzialne ściany tej »drewnianej klatki«.

A przecież pani Walerya okazywała swej nowej nauczycielce niezmienną uprzejmość, a nawet życzliwość. Dotąd ani razu nie odezwała się do niej z najlżejszą wymówką, rozmawiała z nią chętnie, nawet wieczorami zatrzymywała ją na dłuższą pogadankę w salonie lub przy stole jadalnym.

Swoją drogą nauczycielskie zobowiązania Izy nie ponosiły stąd żadnej szkody — bo pogadanki te wypadały zawsze wieczorem, w porze gdy dzieci szły już spać pod opieką bony Niemki, a Iza wybierała się do swego pokoju na chwilę sam na sam ze swymi myślami, ze swoim wewnętrznym ja, które przez dzień cały usiłowała tłumić, żeby jej nie odrywało od przyjętych obo-

wiązków. Po chaosie i gwarze panującym bezustannie w koło niej — gwarze dziwnie suchym a męczącym, niby grzechotanie grochu w potrącaną bezmyślnie grzechotce — te chwile wieczornej samotności i ciszy, we własnym kącie, były jej bardzo drogie. Jednak nie śmiała odrzucać propozycji pani domu i zasiadała z nią razem w kręgu jaskrawej lampy, rażącej oczy, i z uśmiechem na ustach słuchała słów, które jeszcze bardziej uszy raziły. Nie było w nich wprawdzie nic wprost gorszego lub oburżającego. Pani Walerya mówiła o rzeczach powszednich, trochę o ludziach, o ploteczkach miejskich, więcej o swych dzieciach, najwięcej o sługach; mówiła rozsądnie, obiektywnie, a przecież przeciw każdemu jej słowu odzywał się w duszy Izy głuchy protest, który pokrywała milczeniem i wstrzymywała się od wybuchu całą siłą woli, gdyż wydawało jej się śmiesznem i dla niej samej upokarzającym, wyprowadzać swoje najgorętsze i najidealniejsze porywy do walki z płaskimi argumentami przeciwniczki.

Oddawszy wieczory na pastwę pani Waleryi, Iza tylko swych sobotnich popołudni wytrwale dotąd broniła, czując, że gdyby raz jeden zrobiła pod tym względem ustępstwo, to upragnione chwile wytchnienia i swobody, byłyby dla niej stracone raz na zawsze.

W tym domu nie można sobie było pozwolić na zbytek jednorazowych ofiar i usług, bo ofiary takie bywały natychmiast rejestrowane w stałą, codzienną regułę, a działo się to tak naturalnie, z taką jakąś nieodwołalną stanowczością, że wszelki opór wydawał się zupełnie niemożliwy. — Każdego więc sobotniego popołudnia, natychmiast po obiedzie wychodziła Iza na miasto, aby użyć samotnej przechadzki, lub zaszedłszy do Jadwigi czy też Reginy, odświeżyć się atmosferą dawnej swobody i pocucia niezależności, które traciła zupełnie, przestępując próg Rdzawikowskich.



W dniu, o którym mowa, powróciwszy do domu ze zwykłego swego spaceru, posłyszała zaraz w przedpokoju dochodzący z salonu gwar ożywionej rozmowy, i uczenice, które wybiegły na jej spotkanie, oświadczyły jej, że dziś już nie będzie czytania ani muzyki, bo przyszli stryjowstwo, którzy cały miesiąc podróżowali po Włoszech i zostaną u nich na herbacie.

Zanim zdążyła w swoim pokoju rozebrać się z okrycia, już wezwano i ją do salonu. Pani Waleryi pilno było poszczycić się nowym nabytkiem tak dystygowanej guwernantki przed bratową, z którą rywalizowała skrycie ale zaciekle o pierwszeństwo w pozycji towarzyskiej.

Walerya miała za sobą stanowisko męża, swój własny, otrzymany z domu majątek, wreszcie tę wrodzoną umiejętność ignorowania wszystkiego, co nie było nią lub do niej nie należało. Matylda zaś, zwana Metą, żona młodszego Rdzawikowskiego, szczyciła się herbem, który wniosła mężowi w jedynym posagu, licznemi znajomościami »w swojej sferze« (za taką uważała naturalnie sferę hrabiów i książąt) oraz nimbem »wyższego umysłu«, jakim usiłowała się otoczyć, na przekór wszystkim złośliwym dowcipom, które wywoływała ta »wyższość umysłowa«, nie oparta podobno na skromnych choćby, ale ustalonych, wiadomościach z historii i geografii.

Przywitawszy się z towarzystwem, Iza usiadła nieco na uboczu, usiłując zwabić do siebie i zająć robotkami swoje uczenice. Nie lubiła, gdy dzieci przysłuchiwały się tak bez wyboru wszystkim rozmowom starszych; każde zdanie wątpliwej wartości moralnej raziło ją podwójnie, gdy wobec niej obijało się o uszy tak młodzieńskich słuchaczy. Ale usiłowania jej pozostały daremnymi. Masia i Stasia przepadały za towarzystwem gości i nic nie było wstanie zająć ich tak żywo, jak rozmowy, toczone w salonie; a że matka, o ile to nie przeszkadzało lek-

cyom, nie widziała w tem nic zdrożnego, więc wpływ Izy niewiele tu mógł przeciwważać.

— Ach, Wenecya, ta perła Adryatyku, jakże mnie ona oczarowała! — unosiła się w tej chwili pani Meta, z egzaltacją sztuczną. Gdyśmy wieczorami płynęli po *Canale Grande*, myślałem sobie nieraz: jak cudowną rzeczą byłoby utonąć w tej cichej, osrebrzonej księżycem wodzie i zasnąć na wieki przy śpiewie gondolierów i ichym plusku wiosel.

— W wykonaniu ten projekt nie wydałby się tak cudownym i wątplię, żeby się można rozkoszować śpiewem gondolierów, gdy się komu woda wlewa przez nos i uszy — rzucił młodszy Rdzawikowski tonem, który miał być może żartobliwym, ale zabrzmiał tak oschle i szorstko, że Iza prawie mimowoli rzuciła zdziwione spojrzenie w stronę mówiącego.

Stefan Rdzawikowski swą powierzchownością mało przypominał starszego brata. Był od niego znacznie niższy, więcej barczysty; rysy twarzy miał mniej regularne, a na ustach nieładnych, choć młodzieńczo jeszcze świeżych, prawie nieustanny, nie schodzący z nich nigdy uśmiech ironii. Tylko oczyma przypominał brata, ale źrenice Stefana nie patrzyły z takim sennym, prawie martwym spokojem, przeciwnie, w głębi ich palił się jakiś płomień, którego życie nie ugasiło jeszcze, a w którym płonęły całe ognie uczuć. W mowie bywał zwykle zimny i szorstki. Jako adwokat uchodził za niezmiernie zdolnego, a jednak kancelarya jego nie gromadziła licznych klientów i dochody z niej miał małe, z trudnością wystarczające na potrzeby domu, dość wystawnie przez żonę prowadzonego. Mówiono o nim, że był dziwakiem, że szorstkiem obejściem zrażał sobie ludzi; zresztą choć nie grał w karty i nie kupował brylantów na benefisy gwiazd teatralnych, miał manię o wiele bardziej dla adwokata rujnującą: manię nieposzlakowanej, do naj-



idealniejszych granic posuniętej uczciwości. Przebierał w sprawach, z którymi się do niego zgłaszano, i nie przyjmował żadnych zyskowych synekur w finansowych instytucjach, z których nie jedna byłaby się chętnie przybrała w jego nazwisko.

— Proszę cioci, czy ci gondolierzy śpiewają ładniej, niż u nas w teatrze w »Manru«? Bo mnie się ta opera wcale nie podobała.

— Na »Wesołej dwójce« bawiliśmy się o wiele lepiej — wmięszała się do rozmowy Stasia.

— A bo ciocia nie wie — dodała jej siostra — że teraz mamy w operetce nowego tenora. Tamten dostał *engagement* do Warszawy, razem z panną Erbecką.

— Nie razem, tylko ona pojechała naprzód, a on dopiero za nią — uzupełniła sumiennie Stasia.

— Twoje córki interesują się teatrem — rzucił Stefan Rdzawikowski w stronę brata, który siedział wsunięty w róg małej kanapki, jak najdalej od jasnego kręgu olbrzymiej, prawie żarowej lampy, zapalanej na przyjęcie spodziewanych gości.

Profesor nic nie odpowiedział. Jego błada, widocznie znużona twarz, nie zmieniła wyrazu, usta tylko nieznacznie drgnęły, jakby słowo jakieś niedomówione na nich zawisło.

Pani Walerya głębiej odczuła pocisk, policzki jej zarumieniły się i czarne źrenice zaiskrzyły.

— Moje córki interesują się wszystkim — odrzuciła tonem, zdradzającym aż nazbyt wyraźne niezadowolenie. — Chowam je do życia, nie do klasztoru, i znajduję, że panienki w ich wieku mogą bywać w teatrze bez szkody, a nawet z pewną korzyścią.

Ale Stefan nie dosłuchał już tej odpowiedzi. Przeszedłszy żywo przez salon, usiadł obok brata i zapytał go przyciszonym głosem:

— Co robiłeś przez ten miesiąc? Pracowałeś?

— Miewam wykłady — odparł krótko Tadeusz, i zmieniając zaraz przedmiot rozmowy, dorzucił:

— Więc w Medyolanie nie zatrzymywaliście się wcale?

— I owszem! — wtrąciła żywo Matylda, która zdawała się podchwytywać z uwagą słowa mężowskiego brata — przecież to w Medyolanie właśnie spotkaliśmy się i zaprzyjaźnili z hrabiną Ziemską. Cudownie nam zeszło tych kilka dni w jej towarzystwie. Nie można sobie wyobrazić osoby bardziej miłej, wykształconej, a przytem dystygowanej. Wiesz, powiedziała mi, że, jadąc w podróż, nie bierze ani jednej sukni, tylko w każdym mieście sprawia odpowiedni do pory i pogody kostium, który nosi stale aż do chwili wyjazdu, a na odjeździe darowuje hotelowej służącej. Ma to być najwygodniej i podobno teraz najmodniej.

— A w czym odbywa przejazd z jednego miasta do drugiego? — spytała spokojnie Walerya.

— Och... nie wiem, nie wspominała mi, ale zapewne musi coś mieć.

— Takby się zdawało — potwierdził Stefan.

— Dojechała razem z nami aż do Wenecji i była równie, jak ja, zachwycona, gondolierami. Bo też jeden z nich, przepyszny chłopiec, podpływał w wieczór pod nasze okna i śpiewał nam serenadę — zupełnie podobny do księcia Jerzego (ach, prawda, wy księcia nie znacie), tylko naturalnie, jako człowiek na pół dziki, pierwotny, gondolier stanowi aparycję o wiele jeszcze poetyczniejszą. Z całej jego postaci tchnie coś historycznego!

Masia i Stasia z błyszczącymi ciekawością oczyma przysłuchiwały się wykrzyknikom stryjenki. Walerya miała na twarzy uśmiech wpół szyderczy, wpół znudzony. Stefan Rdzawikowski spuścił głowę i obracał w palcach spinę od mankieta. Za każdym słowem żony ruchome brwi jego zbiegały się z wyrazem podrażnienia.



— Pozwól mi już raz zapomnieć o istnieniu gondolierów! — przerwał wreszcie żywo, powstając, a raczej zrywając się z miejsca. — Miałem już dość ich wyścia przez dwa tygodnie w Wenecyi.

— To tak zawsze! — wykrzyknęła z bolesnym akcentem pani Meta, zwracając się do Tadeusza ze spojrzeniem, szukającym nadaremnie współczucia w jego spokojnej twarzy. — Wszystko, co mnie zachwyca, drażni go i niecierpliwi.

Służący, który w tej chwili dał znak, że herbata na stole, przerwał to małżeńskie intermezzo, które wydawało się przygrywką do burzy.

Stół zastawiony był dziś bardzo eleganckim serwisem i nowiuteńkiem błyszczącym srebrem, na które pani Walerya nie omieszkła zwrócić uwagi swej bratowej. Nabyła je bardzo niedawno, korzystając z doskonałej okazji, jaką podała jej nagła śmierć doktora X., tego, co to zaledwie przed trzema miesiącami ożenił się i z takim przepychem dom urządzał. Robił to nad możność i nawet zadłużył się dość znacznie, ale, że miał ogromną klientelę, liczył na to, że wkrótce doprowadzi swoje finanse do porządku. Na takich rachubach zawsze się źle wychodzi. Doktor także, nie przeżywszy trzech miesięcy z żoną, umarł nagle na aneurizm serca, i zaraz na opłacenie pogrzebu wdowa musiała pozostawiać swoje kosztowności, a potem na zaspokojenie najpilniejszych długów, sprzedała całe urządzenie domu za bezcen, marnując prawie to, co tak niedawno było skupowane tak drogo i dobierane z takim staraniem.

— Te srebra naprzykład nabyłam nieledwie za jedną trzecią część ceny pierwotnej. I to tak, prawie bez targu, od pierwszego słowa — zakończyła pani Walerya, z uśmiechem tryumfującego zadowolenia.

— Nie pojmuję, jak mogłaś wyzyskiwać taką sytuację i kupować coś w domu, okrytym taką świeżą

żałobą — wtrąciła Meta, której dłuższe milczenie zdawało się już bardzo ciężać. — Ja, doprawdy, nie potrafię już teraz przemódz się na tyle, żeby u ciebie jeść tem srebrem. Janie, proszę mi podać inne nakrycie!

Służący, zdziwiony i zmieszany, nie bez pewnego wahania spełnił rozkaz. Zapanowała głucha cisza.

Choć opowiadanie pani Waleryi dotknęło w przykry sposób delikatniejsze uczucia słuchaczy, jednak, to podkreślenie drażliwej kwestyi, wydało się wszystkim bardziej jeszcze szorstkie i banalne.

Stefan Rdzawikowski rzucił żonie spojrzenie, którem zdawał się chcieć cofnąć i powstrzymać na ustach jej wymówione słowa, następnie spojrzał z ukosa na Izę; z twarzy jej jednak nie wyczytał nic; panna Wyszomirska była zbyt obytą w świecie, aby w takim wypadku zdradzić się z odniesionem wrażeniem.

Przeciwnie, usiłując przerwać niemiłe milczenie i ona również zwróciła się do służącego.

— Proszę, Janie, i dla Julci dać jej własne, codzienne nakrycie. Ten widelec jest dla niej za duży.

Julcia, była to najmłodsza, pięcioletnia córeczka Rdzawikowskich, która niby to miała pozostawać pod wyłączną opieką bony, ale że bona nie siadała do stołu, jakoś samo z siebie zrobiło się, że Iza zaczęła nabierać i krajać dla małej jedzenie, i w ogóle opiekować się nią w czasie posiłków. Był to właśnie jeden z tych dodatkowych obowiązków, do których przyszła, sama nie wiedząc, jak i kiedy.

Zresztą nie robiło jej to różnicy; nie ceniła swego trudu, a dzieci lubiła szczerze i w innych warunkach byłaby się niemi zajmowała nawet z prawdziwym upodobaniem. Serce jej, jak każde młode kobiece serce, lgnęło do drobnych postaci, do dziecięcego szczebiotu i tych spojrzeń niewinnych a ciekawych, co tak nieświadomie zasuwają się w sam głąb duszy dojrzałego czło-



wieka. Ale dzieci Rdzawikowskich miały w sobie nadzwyczaj mało tego ujmującego pierwiastku dziecięcej naiwności. Byli to ludzie, mali wprawdzie, ale już dobrze uzbrojeni do zapasów z życiem, umiejący nie tylko chcieć, ale bardzo racjonalnie dążyć do spełnienia swych pragnień. Jedyny wyjątek stanowił tu chłopczyk, średniaczek, którego blada i szczupła twarzyczka odbijała jak płatek śniegu od zarumienionych policzków sióstr. Odróżniał się od nich tak, że zdawał się pochodzić nie tylko z innej rodziny, ale z innej zupełnie kategorii istot ludzkich.

Gdy córki odziedziczyły po matce jej pewność siebie, zadowolenie z życia i ten instynktowny egoizm, który każe z potrzebą, czy bez potrzeby, jak najszerzej rozstawiać łokcie, aby nikomu nie przyszła ochota wstąpić na nasze terytorium, on wziął po ojcu, razem z marzycielskimi, błękitnymi oczyma, naturę nieśmiałą, umysł wrażliwy do zbytku, ale cofający się nerwowym lękiem przed każdym szorstkim dotknięciem, gotów raczej zaprzeczyć się swoich najgorętszych pragnień i przywiązań, aniżeli pozwolić po nich nieostroźnie deptać.

Nieobecny w salonie podczas całej wizyty stryjostwa, pojawił się Tadeuszek przy stole dopiero, gdy już wszyscy zasiedli, i zajmąwszy cichutko swoje zwykłe miejsce, z jakąś dziwnie nieszcześliwą miną mięszał łyżeczką herbatę, nie biorąc się do jedzenia i nie odpowiadając ani słowa na rzucane mu szeptem to żartobliwe, to złośliwe zaczepki sióstr. Twarzyczkę miał bledszą niż zwykle, zato oczy i uszka silnie zaczerwienione.

— Czemu Tadzio nie je? — spytała go matka, gdy odsunął nietknięty talerz.

— Ja nie... nie mogę... — przesunęło się cicho i z pełną trudnością przez usta dziecka.

— Słaby jesteś?

— Nie... zdrow.

— On zdrow, ale... — zaczęła Stasia, gotowa zawsze wdawać się w każdą sprawę.

Blade policzki chłopca zalał purpurowy rumieniec, w oczach zaiskrzyły mu się łzy.

— Nie mów! — szepnęła siostrze z rozpaczliwym prawie błaganiem.

Ale nie łatwo było powstrzymać języczek Stasi.

— Tadzio odprawia »bosyny« po przyjacielu — zaczęła z dowcipną miną — ten kot, co się był został w kamienicy po tych żydach z drugiego piętra, i co zawsze do Tadzia na śniadanie przychodził, spadł z dachu i zabił się na miejscu, a Tadzio od południa zalewa się łzami za nim.

Gdy Stasia tak mówiła, nerwowa twarzyczka chłopczyka zdawała się aż mienić od wysiłku, jakim powstrzymywał nowy paroksyzm płaczu. Przytem w oczach jego wrzał bezsilny gniew. Kilka razy usiłował siostrze przerwać, ale nadaremnie.

Pani Walerya spojrzała na syna z niezadowoleniem.

— Bardzo się dziwię, że Tadzio jest taki beksa — odezwała się tym tonem oschłym, który sprawiał, że w jej ustach każde najdrobniejsze napomnienie przybierało rozmiary ostrej wymówki. Niema czego płakać. Kocisko było stare, szkaradne i nikomu nie potrzebne; dobrze, że się już nie będzie włóczyło po kamienicy.

Słowa matki przepełniły już miarą żalu Tadzia. Z tłumionym szlochem zerwał się od stołu i wybiegł z pokoju. Iza chciała pospieszyć za nim. Choć sama nie lubiła kotów i nie czuła żadnej sympatii dla biednego, czworonogiego włóczęgi, którego malec karmił mlekiem, zaoszczędzonym na własnym śniadaniu; w tej chwili odczuwała doskonale, co się działo w serduszkach małego Tadeuszka i pragnęła go pocieszyć. Podniosła się już z krzesła, ale zauważywszy to, pani Walerya wstrzymała ją gestem.



— Proszę, niech pani pozostawi w tej chwili Tadeusza samego. Niema potrzeby ani go uspokajać, ani pocieszać. Takie płacze i sceny bez powodu, zasługują raczej na dobrą burę, aniżeli na roztkliwianie się z nim do współki.

Iza zaczerwieniła się. Pierwszy raz przyszło między nią a panią Rdzawikowską do tak wyraźnie zaznaczonej różnicy zdań; nieprzyjemnie jej było, że wypadło to właśnie wobec całego towarzystwa, ale więcej jeszcze podrażniła ją ta szorstka i bezwzględna obojętność na zmartwienie dziecka.

— Tadeusz ze swojego punktu widzenia ma powód do płaczu — odezwała się też głosem trochę drżącym. — Chociaż kot ten nam wszystkim mógł być tylko zawadą, on go kochał, karmił, bawił się z nim, więc byłoby raczej raziącym, gdyby nie wziął wcale do serca dzisiejszego wypadku,

— Bynajmniej, proszę pani, to byłoby zupełnie naturalnem, odpowiedniem i dowodziłoby tylko, że kiedyś wyrośnie z niego tęgi mężczyzna, a nie mazgaj, do niczego — bez najmniejszego uniesienia, ale zupełnie stanowczo, stwierdziła pani Walerya.

— Pani chyba nie jest antisemitką, kiedy sprawę tego semickiego kota tak gorąco wzięła do serca — zauważył młodszy Rdzawikowski, po raz pierwszy zwracając się w rozmowie wprost do Izy.

Ale ona nie była usposobioną do żartów.

— Jestem zawsze za sprawiedliwością: zarówno względem żydów, dzieci, jak i kotów — odrzuciła żywo Iza, i w tejże chwili spostrzegła się, że taka ostra odpowiedź brzmiała nie dość grzecznie, nie tylko dla pana Stefana, ale więcej jeszcze dla samej pani Rdzawikowskiej.

To poczucie, że się znalazła bez taktu, do reszty zwarzyło jej humor. Nigdy jeszcze, od chwili objęcia

swych nauczycielskich obowiązków, nie czuła się tak zgnębioną, niezadowoloną ze swego otoczenia i z siebie, jak tego wieczoru. Wszystkie wyrażenia Sewera, określające dom Rdzawikowskich, przychodziły jej na myśl: »klosz pneumatyczny«, »drewniana klatka na dusze«, jakie to było trafne a głębokie! Jak nawet dusza dziecka musiała się tu rozbijać o ciasne ściany twardego komunału, którym usiłowano zasłonić cały widnokrąg myśli i uczuć ludzkich.

Treść rozmowy, prowadzonej dokoła stołu, nie mogła zmienić biegu myśli Izy, ani rozweselić jej i podnieść na duchu. Choć pani Meta w każdym słowie usiłowała jaśnieć swą niedostrzegalną dla profanów »wyższością umysłu«, a jej bratowa co drugie zdanie wtrącała jakiś aforyzm pełen życiowej, praktycznej mądrości, pogadanka obracała się w koło przedmiotów tak błahych, czczych a obrabianych tak płytko i nieinteligentnie, że samo już słuchanie takiej gadaniny mogło nadwreżyć nerwy cokolwiek wybredniejszego słuchacza. Od chwili do chwili, urozmaicały rozmowę zdumiewające przedwczesną znajomością rzeczy uwagi obu podlotków, lub ironiczne półsłówka Stefana, który zdawał się drwić stale zarówno z siebie, jak i z całego towarzystwa. Tadeusz nie odzywał się prawie — chyba gdy się do niego wprost z jakimś pytaniem zwracano.

Ale że obie panie mówiły obficie, kto chciał, mógł w ich towarzystwie wygodnie milczeć! Iza też korzystała w zupełności z tego przywileju, zajmując się cały czas wyłącznie Julcią. Gniewało ją i przeszkadzało jej w tem zajęciu to tylko, że kilkakrotnie uczuła zwrócone na siebie oczy młodszego Rdzawikowskiego, które mimo dziecinnego prawie błękitu swych źrenic, miały dar niepokojenia ludzi, tak szybko zmieniały wyraz, tylu różnorodnych i najprzeciwiejszych uczuć mogły być tłumaczami w jednym przelotnym spojrzeniu.



Gdy podniósłszy się nareszcie od stołu, wszyscy przechodzili do salonu, Tadeusz przystąpił nagle do Izy i rzekł głosem trochę zmienionym:

— Dziękuję pani w imieniu... mazgaja, za którym się pani ujęła...

Te niespodziewane słowa z ust milczącego i tak zwykle zamkniętego w sobie człowieka zdziwiły i zmieszały ją. Podniosła oczy na Rdzawikowskiego i po raz pierwszy w życiu spostrzegła jego regularne ale sztywne rysy, ożywione wyrazem goryczy i jakiegoś bolesnego buntu.

Zanim zdobyła się na odpowiedź, zabrzmiał po za nią ironiczny głos Stefana:

— Pani mnie odbiera chleb, biorąc w obronę słabych i pokrzywdzonych. Ja przecież otrzymałem na to dyplom adwokacki, a pani bezprawnie przywłaszcza sobie umiejętność poruszania tkliwych serc słuchaczy swoją wymową.

— Widocznie tej umiejętności nie posiadam, bo nikt ze słuchaczy nie wydał mi się poruszony.

— Może brakło im tkliwych serc... Zresztą, jako patentowany obrońca w sprawach cywilnych i karnych, muszę pani powiedzieć, że ujmowanie się za takimi, którzy się sami za sobą ująć nie potrafią, jest budowaniem gmachów z piasku. To, co jako słabe, samo w sobie nie ma warunków istnienia, prędzej czy później upaść musi. Słabe charaktery, słabe uczucia, słabe talenty... skazane są na zagładę. Nic nie pomoże podtrzymać je sztucznie.

Stefan mówił ze zwykłą sobie swobodną werwą, nie gubiąc uśmiechu z ust, ale w głosie jego brzmiała jakaś ostrzejsza jeszcze, bardziej ironiczna nuta i oczy, przy słowie: »talent«, nabrały tak silnego ognia, jakby jakiś wewnętrzny płomień z samego dna duszy strzelił mu w źrenice.

Iza milczała, niepewna, zaniepokojona trochę tą dziwną rozmową, w której głos i oczy mówiącego protestowały przeciw treści jego słów.

— Panno Izo, może nam pani zechce co zagrać — odezwała się w tej chwili bardzo uprzejmym głosem pani Walerya. — Pilno jej było popisać się talentami guwernantki przed bratową, która właśnie pogłębiała ją wymienianiem wszystkich koncertów i koncertantów, których słyszała za granicą.

Iza, nie wymawiając się ani słowem, usiadła do fortepianu. Wprawdzie w tej chwili nie miała najmniejszej ochoty grać, ale czuła, że tego rodzaju produkcje były już niejako z góry otaksowane przez panią Waleryę i wliczone w ogólny program nauczycielskich obowiązków, za które pobierała płacę: — nie chciała więc uchylać się od nich.

Grała zatem. Z początku chłodno i prawie banalnie, dalej już z coraz większym uczuciem i artystycznym pogłębieniem, bo muzyka zawsze rozgrzewała ją, rozświeślała krąg jej myśli i wlewała się w jej piersi falą uczuć, bez względu prawie na chwilowe usposobienie, w jakim zasiadała do fortepianu.

Meta kilku pierwszym taktom przysłuchiwała się z uwagą znawczyni, i zaraz zaczęła chwalić grę Izy z doborem określeń, połączonych widocznie z najrozmaitszych recenzji muzycznych, tak głośno i nawalnie, jakby wykrzyknikami swemi usiłowała właśnie przygłuszyć tę, tak bardzo chwaloną grę.

— To Paderewski, prawda, Paderewski? Wszystkie jego mazurki umiem z koncertów prawie na pamięć — wołała do Izy przez odległość całego salonu.

— Nie, pani, to Szopen — odpowiedziała grająca.

— Ach Szopen — *un peu vieux* — ale zawsze on jest niezwykły. Nawet za granicą uznają go. Właściwie, dopiero wyjechawszy za granicę, z pewnej odległości,



perspektywicznie, można się nauczyć rozumieć i oceniać swoich. W kraju ma się zawsze pewne uprzedzenia.

— Już dziesiąta, chodźmy do domu — odezwał się nagle, powstając z miejsca Stefan.

— I tak zapłacicie za otwarcie bramy, bo dziesiąta minęła.

— Ach, myślisz, że to o to chodzi? Stefan przecie z poczucia filantropii nie śpieszy z powrotem przed dziesiątą, żeby stróża nie pozbawić dochodu — roześmiała się Meta, tym razem bardzo kwaśno. — Ale on nie znosi muzyki, nigdy nie chce być ze mną na żadnym koncercie; więc i tak dał już dziś dowody wielkiej wytrzymalności.

Z gorącym rumieńcem na twarzy Iza urwała w pół taktu i zdjęła ręce z klawiszów.

— Przepraszam, nie wiedziałam, że pan nie znosi muzyki; nie byłabym pana zmuszała do słuchania jej tak długo — rzekła zmieszana, do kłaniającego się jej w tej chwili na pożegnanie Stefana.

— Niech pani sobie z tego nic a nic nie robi; w życiu trzeba nieraz *znosić* rzeczy, których się *nie znosi*, więc taka próba cierpliwości powinna mi tylko wyjść na pożytek — wpół żartobliwie dorzucił Rdzawikowski i innym głosem dodał: — Pani ma może zamiar oddać się kiedyś wyłącznie muzyce?

— Nie, mam zamiar wyłącznie oddawać się nauczycielstwu; muzyka nie jest podstawą, tylko zbytko-wnym dodatkiem do mojego życia.

— Winszuję pani tej równowagi moralnej, jakiej dowodzi ostatnie zdanie. Kto umie tak ściśle i stanowczo określić granicę między podstawą a akcesoryami życia, nie będzie nigdy narażonym na moralny deficyt.

Sklonił się i oddalił. Pożegnania poszły w szybkim tempie, jak gdyby obecni, naużywawszy się już dowoli swego towarzystwa, rozstawali się z pewnym pośpiechem.

— I jakże się pani podoba nasza bratowa? — spytała bez ogródek Walerya, gdy się drzwi za gośćmi zamknęły. — Prawda, elegancka kobieta?

— Niezaprzeczenie — odparła trochę wahająco Iza, zdziwiona tem niespodziewanem pytaniem.

— Tylko, że ta jej elegancja dosyć drogo męża kosztuje, a Stefan niema znów tak wielkich dochodów, po niej zaś nie wziął złamanego centa. To było małżeństwo z miłości.

Mimowolne zdziwienie odbiło się na twarzy Izy. Trudno jej było wyobrazić sobie tego człowieka z ironicznym uśmiechem i bystreimi, inteligentnymi oczyma, zakochanego w płytkiej, bezmyślnej gąsce, jaką wydawała się być jego żona.

Pani Walerya, której nie brakło sprytu, podchwyciła ten błysk zdziwienia w oczach nauczycielki.

— Tak jest — potwierdziła — nie można zaprzeczyć, że za swych panińskich czasów Meta była wcale ponętna i podobała się mężczyznom. Wszak i teraz jeszcze byłaby przystojna, gdyby nie to, że jest taka chuda, a przytem nieustannie potrzebuje gadać o rzeczach, o których niema najmniejszego pojęcia. To ją naraża na śmieszność, a w kobiecie śmiesznej nie podobna się już kochać, zwłaszcza, gdy kto ma tyle sprytu co Stefan. Czy panią nie uderzyło, że jej stanik między łopatkami zupełnie się zapada? Suknie robi wprawdzie u wiedeńskich krawców, ale sztuka nie może wszystkiego zastąpić.

Iza z pewnem znużeniem słuchała tych objaśnień i ani jednym słowem nie podsycala rozmowy, ale pani Walerya, widocznie potrzebowała wygadać się na temat bratowej.

— Nie można powiedzieć, żeby się Stefan nadzwyczaj dobrze ożenił. Rdzawikowski mógł zrobić lepszą partyę, choć to była niby panna ze wsi. Posagiem się



nie wzbogacił... a cała ta wielka niby miłość nie trwała kilku miesięcy i... nawet nie mają dzieci.

Posag i dzieci były to dwa wielkie atuty w ręku pani Waleryi, które lubiła błyskać w oczy ludziom.

— Nie chcę zresztą twierdzić — zakończyła — żeby oni źle żyli z sobą. Dogadują sobie tylko czasem, a ja nie cierpię, gdy się małżeństwo sprzecza w towarzystwie. Jak jest, tak jest; powinniśmy się nawzajem znosić przy ludziach.

Wypowiedziawszy tę, niezaprzeczenie słuszną uwagę, pani Walerya z całem przyjemnem poczuciem swej wyższości nad bratową, uściśnęła na dobranoc rękę Izy i zaczęła się oglądać po salonie za książką do czytania w łóżku, przed zaśnięciem. Zwykle pomiędzy godziną dziesiątą a w pół do jedynastej oddawała się literaturze. W dzień żałowała czasu; miała przecież tyle do roboty: dzieci, gospodarstwo, a w najgorszym razie, jeśli już całkiem nic do czynienia nie pozostawało, okna jadalni, wychodzące na duży, licznie zamieszkały dziedziniec, dostarczały nieustannej, bardzo urozmaiconej rozrywki.

U sąsiadów działo się zwykle mnóstwo ciekawych rzeczy! Pani Rdzawikowska nie bywała u nikogo z tych kamienicznych sąsiadów, czuła się od nich znacznie wyższą — ale podpatrzeć, u kogo tam dziś wyciągano strudel na obiad, a kto do prania najmował osobną pralkę — nie uchybiało przecież najwyższemu stanowisku.

Stasia i Masia w zupełności podzielały upodobania matki i bardzo dziwiły się swej nauczycielce, że ją zbierane na tej drodze obserwacje życiowe tak mało obchodziły.

Udając się na spoczynek, Iza nie mogła stracić z myśli spojrzenie dziwnych oczu Stefana Rdzawikowskiego, i tego akcentu z jakim mówił: Słabe charakter, słabe uczucia, słabe talenta, wszystko skazane na zagładę.

Było w tych słowach i głosie jakby jakieś dobrowolne deptanie po czemś bardzo drogiem, w obronie czego jedne tylko oczy mówiącego zapalały się błyskawicą buntu i żalu.

## IX.

Życie Izy układało się w coraz bardziej jednostajne, sztywne karby. Rutyna obowiązku twardego, oschłego, któremu nadaremnie usiłowała w pierwszych czasach przypiąć tęczowe skrzydła własnych uniesień, ujmowała dni jej i godziny, myśli i omal uczucie każde w formę ciasną, nie dającą się ani przełamać, ani ugiąć. Marzenia o kształceniu i uszlachetnianiu dusz młodych, z którymi podejmowała nauczycielską pracę, okazywały się dziwnie płonne w miarę jak poznawała coraz to bliżej swoje młodziutkie uczennice i domowe otoczenie, wśród którego wzrosły.

Stasia i Masia nie miały wybitnych wad, którymi mogłyby były dać się we znaki guwernantce i zatruwać jej życie; przeciwnie były wcale »dobrze wychowane«, w miarę uprzejme, w miarę pilne, w miarę inteligentne; tylko cały zakres ich pojęć i uczuć zdawał się ściśle ograniczony planem szkolnym i najcodzienniejszymi potrzebami. Poza tem nic a nic nie miało przystępu do ich duszy.

Poprostu brakowało im zupełnie zmysłu do odczuwania wszelkich podnioslejszych wrażeń, a że wszystko co im samym nie było dostępne, wydawało się im niezmiernie marne, liche i godne tylko wzgardliwego lekceważenia, więc też Iza wkrótce zauważyła, że każde jej mimowolne podniesienie się po nad sferę szarej, codziennej powszedniości, wywoływało tylko ironiczny uśmiech na usta tych, zbyt dobrze do walki z życiem przygotowanych dzieci.



Tak więc całe jej zadanie w tym domu ograniczało się do roli dobrze ułożonego, szkolnego podręcznika, a zarazem automatu, reprezentującego w salonie i przy jadalnym stole dystygowaną, porządnie płatną guwernantkę. Rola marna, a jednak wyzyskująca wszystkie jej siły moralne i fizyczne, zmuszająca do ustawicznego czuwania nad sobą i przekształcająca ją przynajmniej zewnętrznie w istotę różną zupełnie od tej wrażliwej a szczerzej, skłonnej do uniesień, a nie umiejącej utaić najlżejszego drgnienia duszy Izy, która tak niedawno wierzyła jeszcze święcie, że na skrzydłach ideału łatwo wznieść się można po nad wszystkie nędze i małości życia.

W domu Rdzawikowskich, a raczej w domu pani Rdzawikowskiej, bo profesor zdawał się nie istnieć wcale dla swego rodzinnego kółka, tłumiono w niej i łamano tę wiarę każdym słowem i omal spojrzeniem. Pozytywizm arogancki, samolubny, rozkwitał tu tryumfalnie, nie dopuszczając wprost racji bytu żadnym innym życiowym tętnom; wszelkie szlachetniejsze uczucia musiały mu ustępować z drogi, zdławione i zdeptane samem jego szorstkiem dotknięciem.

Z drugiej strony wieści o domu braterstwa, jakie niekiedy dochodziły Izę, podtrzymywały w niej ciągle to uczucie trwożnego niepokoju, obawy ślepej niby, a jednak jasnowidzącej, która wygnała ją z pod rodzinnego dachu i wpręgła w twarde jarzmo pracy na chleb.

Postępowanie Jana nie mogło tych obaw uspokoić; zanadto wiele opowiadali sobie ludzie o jego szalonych przedsiębiorstwach, o terenach naftowych, zakupywanych na Kaukazie, i olbrzymich dobrach w Rumunii, które miał rozparcelowywać pomiędzy chłopów emigrujących z Galicyi.

Przytem zbyt częste i zbyt świetne zabawy odbywały się teraz w domu państwa Wyszomirskich.

Z balami i interesami spieszo się dziwnie. Czasem na polu tak się spieszą żelcy, gdy uprzątają plon przed nadciągającą, ołowianą chmurą. I tu pośpiech wyglądał omal na wyścig z jakąś grożącą katastrofą. Kto prędzej dobiegnie do celu, kto opanuje ster i zawiadnie łodzią życia: człowiek, czy ścigająca go klęska?

Iza nie widywała się teraz wcale z bratem. Rozeszli się bez wymówek i scen, ale z tem bezwiednem poczuciem, że serca ich, odchylają się już od siebie na zawsze. Jan zresztą dosyć rad był w tej chwili z pozbycia się siostry z domu. Zawadzała mu ona, i jako dłużniczka, której obecność narzucała mu nieustanną pamięć o zaciągniętym względem niej długu wdzięczności, i jako sędzia niemy może, ale roztrząsający w ciszy własnych myśli każdy jego krok... Czuł się o wiele swobodniejszym, uwolniwszy się od zdziwionych lub potępiających spojrzeń Izy.

W domu Rdzawikowskich nie bywał nikt, oprócz braterstwa, którzy przychodzili regularnie każdej soboty wieczorem, wzajem zapraszając do siebie państwa Tadeuszów we środę.

Dziwne to były te rodzinne zebrania, w których brakło bodaj jednego promienia rodzinnego ciepła, jednego echa tej słodkiej harmonii, w jaką rozbrzmiewają zgodne uderzenia współczujących z sobą serc.

Obie bratowe usiłowały się wzajem przegadać i zaciąć, roztaczając jedna przed drugą to splendor arystokratycznych stosunków i coraz to nowych znajomości, to jaskrawszy jeszcze i natrętniej rzucający się w oczy, blask kroci, których dzwonienie zdawało się brzęczeć w każdym słowie, padającym ciężko i szorstko z ust pani Waleryi. Ostre sarkazmy Stefana wsuwały się tu niekiedy jak race, rozświetlające horyzont chwilowym błyskiem głębszej myśli; jego nerwowe podrażnienie, zdrażające się w każdym ruchu i słowie, budziło w tej,



rozpaczliwie banalnej i dusznej atmosferze, jakieś utajone drgnienia gwałtem tłumionej burzy.

Iza byłaby się bardzo chętnie uwolniła od bywania na tych tygodniowych zebraniach, na których obecność jej wydawała się całkiem zbyteczną dla Masi i Stasi, zatopionych całą duszą w pogadance matki ze stryjenką. Ale pani Walerya była w tej mierze przeciwnego zdania. W ogóle nie lubiła ona ustępstw, nie uznawała potrzeby zwalniania kogoś, choćby na jeden włos, od wypełnienia podjętych względem niej zobowiązań. Przytem uważała może, że oprowadzanie ze sobą dystygowanej guwernantki nadaje jej pewien ton; a wreszcie wołała nie ponosić kosztu herbaty i kolacyi, którąby Iza, pozostając w domu, zjeść musiała. Oświadczyła zatem kategorycznie, że jej córki nie mogą »w świecie« ukazywać się bez osoby, obowiązanej do czuwania nad niemi, i w ten sposób skazała Izę raz na zawsze na milczące asystowanie mało rozweselającym herbatkom w domu państwa Stefanów.

Pani Meta guwernantce swej bratowej okazywała stale zupełną obojętność i w ogóle zdawała się jej prawie nie widzieć w swoim salonie. Jedyne więc zajęciem Izy na tych cotygodniowych zebraniach było przeglądanie paru zagranicznych czasopism, których najświeższe numera — rzadko kiedy rozcięte — leżały na stole.

Polskich książek nie widywano tu nigdy. Pani Meta, bojąc się zgrzeszyć stronnictwem, badała ojczystą literaturę tylko »z oddali«, perspektywicznie.

Stefan Rdzawikowski, czy to przez uprzejmość gospodarza domu, czy też zainteresowany jakimś rzadkiem odezwaniami się Izy, usiłował kilka razy nawiązać z nią dłuższą rozmowę, ale jej trudno było dostroić się do ironicznego tonu, jakim, niby w żarcie, zbywał wszelkie poważniejsze kwestye. Ostry sarkazm przecinał lot jej myśli, milkła, nie znajdując ani słowa odpowiedzi na

jaskrawe paradoksy, którymi rzucał wyzywająco, jakby umyślnie dla pobudzenia jej do walki.

Po wymianie paru zaledwie zdań rozmowa urywała się, i tylko przez parę następnych minut, Iza czuła jeszcze na sobie spojrzenie tych dziwnych oczu, w których zawsze zdawał się tleć żywy ogień zapału, kiedy na ustach mówiącego tkwił uśmiech chłodnej ironii.

Na sobotach u Tadeuszów podawano obfitą i smacznie przyrządzoną kolację, bo choć rządność pani Waleryi nieraz graniczyła ze skąpstwem w innych szczegółach życia, na jedzeniu oszczędzano najmniej; pani domu uważała, że »ten wydatek przynajmniej się opłaci«.

We środy u Stefanów, przeciwnie, elegancki, wygolony lokaj obnosił tylko na tacy herbatę i drobne ciasteczka, nieraz dość czerstwe i kupione w podrzędnej cukierni, bo Meta wołała pieniądze, dawane jej przez męża na prowadzenie domu, wydawać na toalety, lub chować na przyjmowanie innych, paradniejszych gości. Cały wieczór spędzano zwykle w salonie, mało opalanym, którego ziębiąca atmosfera do reszty zdawała się obniżać temperaturę humorów. Stefan znaczną też część czasu spędzał, chodząc tam i napowrót po pokoju, i nerwowo zacierając ręce. Niekiedy zabierał z sobą brata do swej kancelaryi i obaj nie pokazywali się już w salonie, aż w chwili rozejścia się. Wieczory takie bywały jeszcze bardziej nużące i ciche, a kończyły się zwykle ostrym dysonansem, bo gdy się nareszcie panowie pojawili z powrotem, Meta jawnie i dość szorstko okazywała mężowi swoje niezadowolenie z tego, że jej uprowadził gościa.

Pewnego wieczoru jednak, zimno w salonie okazało się tak dokuczliwe, że Stefan zaproponował, aby całe towarzystwo przeszło do jego pokoju. Masia i Stasia przyjęły tę propozycję głośnym okrzykiem radości i ledwie wszedłszy, rozgospodarowały się u stryja z tą



niedyskretną ciekawością i natręctwem, które nawet u dzieci cechuje brak delikatniejszych uczuć.

Ale Stefan odpowiadał na ich pytania z wyjątkową prawie uprzejmością i gdy Iza upominała je, aby mu nie poruszały tak wszystkich drobnostek i ksiązek na stoliku, rzekł wesoło:

— Niech im pani tego nie broni. Gdy raz mam szczęście mieć gości u siebie, więc pragnę okazać się gościnnym gospodarzem.

Jakiś niezwykle dziwny był ton tych słów. Iza nie przypuszczała, aby głos jego mógł się naginać do tak ciepłego i ujmującego brzmienia.

W tej chwili Stasia przekreśliła pasową osłonkę na lampie, w ten sposób, że jedna część pokoju stanęła w pełnym świetle, druga zaś w głębokim, czerwonym cieniu.

Iza mimowoli zwróciła oczy w stronę światła i dostrzegła na ciemnym tle ściany, nad biurkiem, w czarne ramy ujęty obraz, szkic raczej, przedstawiający młodego mężczyznę o niesłychanie smutnej i znużonej twarzy, zwróconej ku zakratowanemu oknu, poza którym promień słońca roztaczał na niebie łuk tęczy.

U dołu obrazu brakło nazwiska artysty, zastępował je tylko nakreślony podpis: »Raj utracony«.

Iza prawie mimowoli podniosła się i z żywym zainteresowaniem przystąpiła do biurka: Co to za obraz? — zapytała, wpatrując się w twarz tę, która wzajem zdawała się spoglądać na nią dziwnie znajomymi jej oczyma, mimo, że bardzo klasyczna linia rysów nie przywołała jej na pamięć żadnego wspomnienia.

— To mój mąż malował — odrzuciła przez ramię, obojętnym tonem pani Walerya, prowadząc dalej z bratową dyskusję, na temat modnego kroju rękawów.

— Czy to naprawdę pana Rdzawikowskiego? — spytała Iza, zwracając się do p. Stefana, który w swej

wiekuistej wędrowce po pokoju, zatrzymał się był na chwilkę obok biurka.

— Tak. Czy pani nie wiedziała, że mój brat maluje?... — odparł, zastanowiony jej zdziwieniem, i dodał ciszej: — A raczej, że malował... dawniej.

— Owszem, słyszałam o tem; ale nie wiedziałam, że maluje... tak. Lecz w domu niema zdaje mi się nic z jego dzieł.

— Ach, czyż wszystko zawsze ma być w domu! — wybuchnął nagle Stefan, z nieusprawiedliwioną i tak rzadką u niego gwałtownością.

— Czy te cztery ściany, dlatego, że się nazywają domem, mają prawo przywłaszczyć sobie każde tętno ducha, wysysać całą krew, wciągnąć w swój budżet i spożytkować na swój sposób każde uderzenie serca?... Dom! oto ostatnie słowo ewangelii życia, które ludzie rzucają sobie wzajem w oczy, nie rozumiejąc nawet, że ten dom, oprócz dachu i czterech ścian, których wynajem opłaca się pracą męża lub posagiem żony, powinien duszy człowieczej stwarzać jeszcze inne jakieś warunki istnienia.

Iza patrzyła ze zdumieniem na zmienioną, rozognioną twarz Stefana; choć własnymi spostrzeżeniami doskonale już przygotowaną była do właściwego zrozumienia jego słów, jednak, ten wybuch, wywołany tak niewinną jej uwagą, prawie ją przestraszył.

Rdzawikowski może wyczytał to w jej spojrzeniu, bo w tej chwili opanował się i rzekł spokojnie, choć jeszcze zmienionym głosem.

— Przepraszam panią bardzo za moje uniesienie; w zastosowaniu do słów pani, odpowiedź moja nie miała sensu, ale odpowiadała ona raczej myśli, która mnie wciąż nurtuje. Od czasu jak ma »dom«, jak porzucił ubogą studencką izdebkę, którą zajmowaliśmy razem, brat mój już nie maluje nic a nic. To jego ostatni szkic,



który wyrwałem mu z rąk, gdy go chciał rzucić w płomień... dziesięć lat temu. Od tej chwili nie tknął się pędzla — a przecież... on miał talent!

Znowu, w intonacji ostatnich słów, zabrzmiał jakiś dźwięk szczególny, jakby poza tem on zwłaszcza, rzuconem z taką siłą, krył się niemy cień słowa niedomówionego, a jednak uderzającego z podwójną mocą w duszę słuchacza, bo drgającego żywym bolem tej duszy, która go w sobie nosiła.

Cień taki ma dziwną władzę przesłaniania sobą wszystkiego, co głośno wypowiedzianem zostało; zapada on w pamięć cicho, niepostrzeżenie, a jednak tak głęboko, że już niepodobna pozbyć się go, zapomnieć. Wśród echa najdźwięczniejszych, najdonioślejszych głosów, brzmi już na zawsze cichy, ale natrętny szept tego niemego, niedomówionego słowa.

Długo stała Iza w milczeniu przed obrazem, który zdawał jej się teraz pomnikiem czegoś, bardzo drogiego, a co już przestało istnieć — i przejmujący smutek tej młodej twarzy, namiętne pożądanie błękitnych oczu, z takim utęsknieniem wpatrzonych w tęczę rozpiętą na niebie, przenikał ją zwolna, jakby był jej własnym smutkiem, własną tęsknotą. Wydało jej się, że wszystkie dusze ludzkie, wzlatujące ku tęczom w błękitach, muszą tak rozbijać się o kraty twardego ucisku życia, gorzkich rozczarowań, nędzy i małości natury ludzkiej.

Nagle Stefan, który już znów rozpoczął był swą zwykłą przechadzkę po pokoju, zatrzymał się obok niej.

— Niech pani nie wpatruje się tak w ten obraz — rzekł szorstko — on ma moc trującego kwiatu; drażni i ubezwładnia zarazem, czasem zdaje mi się, że mógłby doprowadzić do szaleństwa...

Urwał i stał chwilę niemy, z wzrokiem utkwionym w tej twarzy malowanej na płótnie, a jednak żywej

ogromnym bolem, wydzierającym się jak krzyk rozpacz z każdego jej rysu. W tej chwili Iza objęła wspólnym spojrzeniem te dwie, niby zapatrzone w siebie, twarze — i nagle rozjaśniło się w jej myśli. Te oczy z obrazu, goniące z utęsknieniem za swoim »rajem utraconym«, to były oczy Rdzawikowskich. Oczy Tadeusza, gdy zrzadka uchylała się z nich firanka sztucznie przybranego spokoju — więcej jeszcze oczy Stefana, przeczące nieustannie zimnej ironii jego ust — a nawet mały Tadeuszek, gdy czasem przystawał zamyślony i patrzył przed siebie, jakby nie widząc, już miewał w spojrzeniu ten blask tęsknoty za czemś, co się nawet wzrokiem doścignąć nie daje.

Rysy naszkicowane na obrazie nie przypominały nikogo; widać artysta nie miał umyślnej intencji odtworzenia czyjejś postaci, i tylko mimowoli, piętno jego duszy wcisnęło mu się pod pędzel zbyt wyraźnem popobieżstwem. Może dlatego nawet chciał zniszczyć ten szkic, który mógłby się być przecież z chlubą pomieścić w pracowni największego mistrza.

Naraz lokaj zaanonsował: Pan Bolesław Żertycki!

Stefan drgnął i odwrócił się żywo, jakby nagle ściągnięty z obłoków. W oczach nie miał już ani śladu poprzedniego roztesknienia.

— Ach! kuzynek Bodzio! *quelle idée*, przychodzić z wizytą o wpół do dziesiątej — czy myślisz, że ja cię będę przyjmować o każdej porze dnia i nocy?! — trzepotała się pani Meta, widocznie bardzo rada spóźnionemu gościowi.

— Co myślę, to jedna strona kwestyi — o czem marzę, *c'est une autre histoire!* — odrzucił Bodzio, w tonie niby żartobliwo-sentymentalnym, z po za którego jednak wyglądał przedwczesny cynizm.

Masia i Stasia, wielce zainteresowanemi oczyma, przypatrywały się nowoprzybytemu; pani Walerya za-



chowowała na pozór swą zwykłą, niedbałą a zadowoloną z siebie minę; jednak i ona ukradkiem poprawiała jakiś nieposłuszny skręt grzywki, zanadto odstający jej nad czołem — niepozorna, drobna figurka Bodzia, zelektryzowała widocznie wszystkie cztery kobiety.

Młodzieniec, rad z wrażenia, jakie wywołał, szastał się po pokoju, szczebiocząc jakimś cienkim, jakby nie z męskiej piersi wychodzącym głosikiem. Mieszał słowa polskie, francuskie, angielskie, urywał zdania, nie domawiał wyrazów i przeplatał to wszystko lekkim, dyskretnym śmiechem, któremu pani Meta, Stasia i Masia wtórowały na wyścigi.

— Przedstaw mnie pan — szepnął, zbliżając się do gospodarza domu, a oczyma wskazując Izę.

— Żertycki — wygłosił dość oschle Stefan.

— *Qui est ce?* — szepnął Bodzio, rzucając się na niziutki stołeczek obok Mety i przysuwając do niej tak, że jego broda dotykała prawie jej kolan. Małe, ale przenikliwe jego oczka, z zaciekawieniem obejmowały wysmukłą i bujnie rozwiniętą postać panny Wyszomirskiej.

— Guwernantka — odpowiedziała równie cicho pani Meta, ale szept jej tak był wymownie obojętny i lekceważący, że Bodzio w jednej chwili przygasił na swej twarzy wyraz zainteresowania i odwrócił oczy.

Rozmowa potoczyła się ożywiona, choć składająca się z samych prawie urywanych, bezładnych frazesów, którymi Bodzio i Meta potracali o wszystkie ploteczki towarzyskie, popisując się na wyścigi gruntowną ich znajomością. Dwuznaczne półsłówka, którymi Bodzio rzucał z całą arogancją zepsutego dzieciaka, pragnącego uchodzić za zdemoralizowanego mężczyznę, oświeślały jaskrawo najdrobniejsze, nic nie znaczące zdarzenia.

Pani Meta zdawała się pysznie bawić i zapominać zupełnie, że prócz Bodzia, miała jeszcze innych gości. Mąż jej odbywał przechadzkę po drugim końcu pokoju,

w coraz to szybszem a bardziej nierównem tempie. Walerya ziewała dla demonstracyi, aby przekonać bratową, że sprawy tych, nieznanых jej hrabiów, nic a nic ją nie obchodziły. W głębi duszy, czuła się dotknięta, że Bodzio tak utonął oczyma w twarzy Mety, a jej zdawał się prawie nie widzieć.

— Już późno, musimy iść — odezwała się też po chwili, podnosząc się z kanapy.

— Późno?! ależ to ogromnie wcześnie! — zaprzeczyła pani domu, której nie pilno było przerywać tak miłą pogadankę.

— Dla ciebie, być może — ale ja mam dzieci, obowiązki — odpowiedziała oschle i z surowym naciskiem pani Walerya — lekcye muszą się jutro zacząć o zwykłej rannej godzinie. U nas wstaje się wcześnie.

Stefan bardzo widocznie zdenerwowany, w milczeniu żegnał się z gośćmi; gdy z kolei wyciągnął rękę w stronę Bodzia, ten cofnął się z naiwnem zdziwieniem.

— Ależ... ja zostaję — nie potrzebuję się wcale spieszyć; nie mam dzieci... nie mam obowiązków...

— Och!... roześmiała się pani Meta, robiąc dowcipną minę.

— W takim razie może państwo zechcecie przejść do salonu — rzucił dość szorstko Stefan. — Mam na dziś jeszcze kilka bardzo pilnych referatów i muszę pozostać sam.

— Naturalnie, że wypada się nam usunąć na drugi koniec domu, przed tymi referatami — odcięła się z ostrą ironią Meta. — Pewnie czekają tam już na nie jakie nie-szczęśliwe wdowy albo sieroty, stanowiące twoją specjalną klientelę. Musiałeś wziąć na nią patent wynalazku, bo nie słyszę jakoś wcale, żeby i inni adwokaci mieli ciągle do czynienia z takimi »zyskownymi« sprawami.

Przy ostatnich słowach, w ustach eleganckiej damy, które umiały tak sypać nazwiskami hrabiów i książąt,



zabrział ton dziwnie zjadliwy, ordynaryjny, zdradzający niską pospolitość duszy, której najwykwintniejsze na pozór ułożenie, nie zdoła nigdy całkowicie zatrzeć i ukryć.

— Mój Boże! — pomyślała Iza, powracając do domu — więc takim może się stać wspólne pożycie ludzi, którzy się pobrali z miłości? Czemże jest ta dziwna potęga, która potrafi złać na chwilę a skuć na wieki całe dwie dusze ludzkie, ciężące ku tak przeciwnym krańcom.

## X.

— A więc to już pewne? naprawdę?

— Jak Matejkę kocham! Dziś wieczór oblewamy całą sprawę aż do skutku! Niech się pani nie śmieje, ja się myślę naprawdę upić, a pani Regina! ta już jest od wczoraj kompletnie upojona. Proszę sobie tylko wyobrazić: debiut w poście — to jest awantura! to ją od razu podnosi o całe trzy łokcie ponad te wszystkie majowzielone debutantki, które nam tu co roku odbywają defiladę przed pustymi ławkami. Widocznie dyrektorka zna się na rzeczy. Co mnie cieszy, to że w osobie pani Reginy młoda sztuka święci taki tryumf. Bo pani Regina jest młoda! i będzie tak grać, że no! zobaczy pan! żadnego stylu, żadnych deklamacji — kawałek żywego człowieka — i koniec!

Twarc Gończaka jaśniała, jakby to on sam obchodził największe święto swojego talentu — szerokimi, pełnemi życia gestami uwypuklał swoje słowa; przegarniał włosy, potrząsał źle uczesaną czupryną i patrzył na Izę oczyma, które widocznie pragnęły przelać w nią magnetycznie, choć część tego zapala.

Ona jednak siedziała naprzeciwko niego, na krzesle, jakaś trochę zmieszana i nieswoja; usiłowała okazać

jak największe zajęcie się sprawą tak ważną dla Reginy, ale uchem łowiła szmery dochodzące ją z drugiego pokoju, i wyglądała z mimowolnem upragnieniem jakiegoś takiego zwrotu w mowie Sewera, któryby dał jej pretekst do przerywania, zbyt przedłużającej się wizyty.

Ten gość jej, rozsiadający się tak bez ceremonii na eleganckich meblach pani Rdzawikowskiej, zakłócający swoim donośnym głosem, uroczystą ciszę tego przybytku, przerywający od niechcenia w albumach i fraszkach rozłożonych na stole, męczył ją i drażnił niewypowiedzianie, mimo, że go tak bardzo lubiła. Odczuwała doskonale, że każda minuta tej wizyty policzoną jej będzie za wielkie nadużycie, za wyłom zrobiony w przepisach określających jej zależne stanowisko, na których straży pani Rdzawikowska postawiła cały swój egoizm bezwzględny, ubrany w suchą formułkę »zasady«.

Nigdy jeszcze ta zależność nie dała jej się uczuć w tak przykry sposób jak dziś, gdy wypadło jej poddać nie tylko siebie, ale i osobę swego gościa, który znał ją dawniej w innych warunkach i widocznie nie nauczył się jeszcze liczyć z jej nowem położeniem. Widząc jednak, że niema innej rady, Iza zebrała się na odwagę i rzekła powstając.

— Serdecznie panu dziękuję, za uwiadomienie mnie o tem wszystkim. Jeżeli tylko będę mogła, stawię się u Reginy dziś wieczór — radabym bardzo, ale teraz muszę już pana pożegnać, mam lekcję.

— Czemuż mi pani od razu nie powiedziała: wynos się! — ze mną niema innego sposobu, gdy się rozgadam — tembardziej też, gdy tak jak dzisiaj mam pustki na sztalugach, pustki w głowie, pustki w kieszeni — cała energia życiowa musi szukać ujścia w języku.

— Więc pan teraz wcale nic nie maluje? — a portret Jagi?

— Skończony.



Wielka moc zniechęcenia i rozgoryczenia brzmiała w tym jednym wyrazie. Iza spojrzała ze współczującym zainteresowaniem, i prawie mimowoli wyrwało jej się: — I źle? Jaga niekontenta.

— Ech, proszę pani, co tu długo gadać! Panna Jaga niekontenta, bo kobiecie zawsze się zdaje, że jest ładniejsza, niż ją namalowali. To jest głupia historia te babskie portrety, malowane za pieniądze, albo za grzeczny uśmiech. Jak ja modelowi dobrze zapłacę, to mu mogę choćby rogi wymalować na głowie i dobrze jest! Wtenczas to sobie macham pędzlem jak miotłą po własnym dziedzińcu — a tak, co? to oczy za małe, to ręce za cienkie, i w końcu jeszcze pretensya, że cała wyszła za fioletowo!

— Fioletowo?... — powtórzyła Iza — przecież ona nie miała na sobie nic fioletowego.

— O, wielka rzecz! czy to trzeba zaraz w jakąś szmatę kolorową się obwinąć, żeby sprawiać wrażenie ogólne jakiejś barwy? czyż to pani nie zauważyła nigdy, że każda osoba, każdy przedmiot nawet posiada pewien indywidualny ton, który artysta powinien właśnie wywołać na płótnie. Dla mnie pani Jaga jest cała w tonie fioletowym, a pani np. jest w tonie złotym.

I zainteresowany tem, zrobionem na poczekaniu spostrzeżeniem, zaczął się Izie przypatrywać ze zdwojoną uwagą.

— Biedna Jaga! doprawdy nie mogę jej sobie wyobrazić na fioletowo — roześmiała się Iza.

— No, przekona się pani: jest fioletowa, ale jest kapitalna! żeby mi pozwoliła pchnąć ten portret na jaką wystawę, wziąłbym medal, jak Matejkę kocham! a ona się nie chce nawet na ścianie powiesić.

Głęboka gorycz i oburzenie drgały w głosie Sewera; wreszcie machnął ręką i rzekł zmieniając ton: No, niechże pani przychodzi koniecznie, o siódmej.

— Będę się starała — dziś wieczorem nie mamy gości; może się jakoś uwolnię.

— Alboż tu tak często goście bywają?

— Często, nie — raz na tydzień braterstwo, państwo Stefanowie Rdzawikowscy.

— Aha, ten poeta.

— Jakto, poeta?...

— A pani nie wiedziała? toż on pisał kiedyś, jako jakiś »Oset« czy »Badył«, czy jakieś tam lichy. Wiem, że przed kilku laty wydał tomik poezyi, które były bardzo chwalone; ale potem, podobno, ożenił się i sflistrzał.

— Nie — zaprzeczyła żywo Iza — nie sflistrzał wcale; być może, że nie pisuje teraz, ale to jeszcze nie dowód.

— Ba! u mnie taki szewc, co butów nie robi a szyje suknie, nazywa się: krawiec — ale zresztą mniejsza o to, niech on sobie będzie i poetą; jeden wierszopis więcej na świecie nic mi nie szkodzi, bo i tak nigdy żadnych wierszowanych elokubracyi nie czytam.

— A ja radabym... przeczytać elokubracje pana Rdzawikowskiego, byłabym ciekawa... Gdybym tylko wiedziała dokładnie pod jakim pseudonimem pisał, postarałabym się...

— Jeśli pani chce, ja się dla pani postaram i książkę przyniosę, albo lepiej przyślę — dodał śpiesznie — bo widzę, że pani wcale niespragniona drugiej mej wizyty.

Iza zaczerwieniła się, ale nie zaprzeczyła wyraźnie.

Uściskawszy jej rękę po raz dziesiąty z rzędu, Gończak wyniósł się nareszcie, a ona pozostała chwilę jeszcze nieruchoma, zapatrzona w te wszystkie obrazy, które rozmowa z Sewerem wywołała z głębi jej myśli: debiut Reginy — urzeczywistnienie tego, o czem nieraz mówili tak żywo, z takim przejęciem, w swoim małym kółeczku. Jaka ona musi się czuć szczęśliwa... de-



biut w sezonie, świetny, głośny od oklasków, tylko... bez Okszy. Dalej, ten fioletowy portret Jadwigi — zniechęcenie i gorycz w głosie biednego artysty, nie mogącego zdobyć uznania dla swych fioletowych kompozycji, (swoją drogą portret musi sprawiać komiczne wrażenie!) A dalej jeszcze: tom poezji Stefana Rdzawikowskiego... ktoby się był domyślił, że on... Ale nie, właściwie można było się domyśleć — ten nieustanny płomień buntu w jego oczach, to rozgoryczenie przeciw szarej, płytkiej banalności życia, mszczące się na niej ironią każdego słowa — to wszystko było zbyt żywe, zbyt drgające nieustannem naprężeniem bólu, żeby dało się usprawiedliwić samem jedynie współczuciem nad dołą brata. Cudze cierpienie nie boli tak bez chwili ulgi, bez sekundy zapomnienia.

Dziwne przeznaczenie, żeby obaj... Powiadają że sfilistrzał, bo przestał pisać, a czyż to zawsze pisać można? czy do pisania potrzeba tylko atramentu i dobrej woli?...

A jednak, jeżeliby miał talent prawdziwy, i prawdziwie silny charakter, czy nie mógłby się oprzeć tym wszystkim zewnętrznym wpływom? czy to, co wielkie i podniosłe, nie może nigdy wygrać w walce z tem, co małe i niskie?

Pani Walerya weszła do salonu.

— Kto to był u pani? — zapytała ze źle udaną obojętnością, bo kwestya ta zaciekała ją tak, że trudno jej było czekać się końca wizyty Sewera.

— Dawny mój dobry znajomy, pan Gończak; artysta - malarz.

— Artysta!...

Cały bezmiar pogardliwego lekceważenia zamknął się w tem jednym słowie.

Iza uczuła się tem dotkniętą i jakby podnieconą do walki.

— Tak, artysta — powtórzyła z naciskiem — młody jeszcze ale bardzo zdolny.

— Dużo zarabia.

— Nie pytałam go się, bo zwykle nie to bywa uważanem za skalę do mierzenia artysty.

Ton jej odpowiedzi był już trochę wyzywający. — Iżę owładnęło jakieś dziwne uniesienie; zbuntowały się w niej nagle wszystkie instynkta duszy przeciw przemocy tego ciężkiego, oschłego materyalizmu, którego ucisk znosiła dotąd w milczeniu.

Ale pani Walerya nie należała do istot nadwrażliwych; jeżeli z całą bezwzględnością deptała po uczuciach ludzkich, to w znacznej części dlatego, że te uczucia, ujemne czy dodatnie, zwracające się ku niej z sympatją czy nieżyczliwością nie istniały dla niej. I teraz też nie zwróciła najmniejszej uwagi na uniesienie nauczycielki.

— Dla mnie rezultat pracy jest zawsze skalą, podług której samą pracę oceniam — rzekła spokojnie, i zadowolona ze swego okrągłego frazesu, dodała: — Czy ten pan... artysta, miał do pani jaki interes?

— Tak — odparła Iza, czerwieniąc się na to rzuczone mimochodem przypomnienie, że bez koniecznego interesu, guwernantka nie miała prawa przyjmowania wizyt. — Przyszedł w imieniu mojej dawnej koleżanki i przyjaciółki zaprosić mnie, abym do niej przyszła dziś wieczorem. Może pani zechce uprzejmie uwolnić mnie na tych kilka godzin.

— Dlaczegoż koniecznie dziś? — odrzuciła Rdzawikowska, szukając nadaremnie jakiegoś pretekstu do upozorowania odmowy.

— Bo dziś zbierze się u niej całe nasze, zaprzyjaźnione ze sobą kółeczko.

— Imieniny?

— Nie — rumieniec Izy wzmagął się pod wpływem tej oschłej indagacji — podniosła jednak głowę,



i patrząc prosto w oczy pani Waleryi, wypowiedziała śmiało:

— Koleżankę moją spotkała wielka radość: pozwolono jej debiutować na naszej scenie w ciągu Wielkiego postu — a że ten debiut, jako cel najgorętszych pragnień, bywał już nieraz wspólnie omawiany w naszym kółku, więc dziś mamy się zejść znowu, aby się nacieszyć powodzeniem jej pierwszego kroku i wysłuchać paru scen z roli, którą sobie na występ obrała.

Słowa powyższe wywołały wręcz przeciwny skutek, niż się tego spodziewała Iza. Zamiast się zachmużyć i skrzywić pogardliwie, twarz pani Waleryi ożywiła się. Aktorowie, to był jedyny jeszcze gatunek artystów, który obudzał w niej niejakię zajęcie; wiecznie otaczająca kulisy atmosfera ploteczek i skandalików, które słusznie czy niesłusznie wiązano tu prawie z każdym nazwiskiem, podrażniała jej ciekawość.

— Pani się zna z aktorką? z prawdziwą aktorką? — zapytała patrząc na Izę z dziwną mieszaniną podejrzliwości i zainteresowania.

— Regina do tej chwili aktorką jeszcze nie jest, ale będzie nią za kilka tygodni — ma nadzieję, że zostanie na stałe zaangażowaną.

— No!... dziwna znajomość — i pani się nie boi, że to jakoś tak wygląda... zawsze aktorka aktorką.

— Aktorka może być równie złą i rozumną jak każda inna kobieta na najwyższym nawet stanowisku. Talent przecie nie poniża ale podnosi! A Regina właśnie należy do tych...

Pani Walerya obojętnym ruchem przerwała dyskusję; aktorki »zaczne i rozumne« nie miały dla niej najmniejszego uroku.

— To mi wszystko jedno — jeśli pani chce, mogę panią na dziś wieczór uwolnić, choć zawsze, jako mężatka lepiej znająca świat i ludzi niż pani, radziłabym zby-

tecznie nie zacieśniać takich stosunków — jakkolwiek by było, aktorka zawsze aktorką.

Wypowiedziawszy to przekonanie, pani Walerya opuściła pokój.

Dzień ten wydał się Izie mniej ciężkim i smutnym; złociła go nadzieja wieczoru swobodnego, spędzonego po dawnemu, w wesołym kółku przyjaciół. Około godziny siódmej wszyscy zebrali się u Reginy — brakowało tylko jednego Okszy. Brakowało go Reginie bardzo — Izie także trochę. Pomimowoli myślała teraz o nim dość często i w inny jakiś sposób niż dawniej, dopóki mogła go widywać.

Osoba jego nie wywierała na nią żadnego uroku, przeciwnie, od jego obojętnych słów i spojrzeń wiecznie ociążałych znudzeniem, obejmował ją, tak gorąco czującą, dziwny jakiś chłód.

Ale teraz cała postać Okszy zamglila się w jej wspomnieniu, a pozostało to tylko wrażenie, że ten człowiek kochał ją i pragnął się z nią na zawsze połączyć — a w pustce i osamotnieniu, jakie ją obecnie otaczało, wrażenie takie musiało jej postać odrzuconego konkurenta idealizować i zbliżać ku niej.

Regina wydawała się istotnie jakby upojona pierwszym swoim powodzeniem; jeżeli dawniej już dosyć wierzyła w siebie i swój talent, to teraz tembardziej nie wątpiła o niczem; roily jej się po głowie artystyczne wycieczki na drugą półkulę świata, a przytem jakieś odrodzenie sztuki dramatycznej, reformy zasadnicze, którym początek miał dać jej pierwszy występ.

— A zdecydowałaś się już, w czym będziesz debiutować? — spytała Iza.

— Spodziewam się, że nie w »Ślubach«, ani też w »Pierwszym balu!« Naiwnych i nienaiwnych gąsek dosyć chodzi po świecie, nie potrzeba ich jeszcze na scenie reprodukowac. — Wezmę »W sieci« Kisielew-



skiego; tam przynajmniej, Julka, ma duszę ludzką — można z niej coś zrobić.

— Tylko ta rola jest, zdaje mi się, trochę śmiała, jak na pierwszy występ — zauważył Kazimierz, który zostawszy narzeczonym zaczął nabierać większego poszanowania dla wszystkich zasad, form, względów, któremi gardził dawniej.

— Naturalnie, jest śmiała, jest w stosunku do dawnych, zapleśniałych pojęć niemoralna, i dlatego wybrałam ją! Konwenans, hypokryzję sztucznej moralności, trzeba wygnać nie tylko ze sztuki ale i z życia, a scena jest najlepszym rozsądnikiem wszystkich pojęć i uczuć. Co prawdziwe — jest piękne, a co piękne — musi być i dobre — dla mnie te trzy pojęcia stanowią tylko jednolity promień, i nie posiadam w duszy szkiełka, przez które mogłabym je, jak przez pryzmat, przepuszczać i rozdzielać.

— Sofizmaty! — mruknął Kazimierz.

— Być może, że sofizmaty, ale wypowiedziane odważnie, szczerze i z gorącym przekonaniem — wtrąciła żywo Jadwiga. — A lepiej jest stworzyć sobie wyznanie wiary własne, choćby mylne, ale które nam jasnym płomieniem świeci w duszy, aniżeli z rezygnacją obojętności przyjmować jakieś narzucone nam z zewnątrz formułki, które do nas wcale nie przemawiają.

— Prosiłem już, żeby tych zagadnień nie poruszać bezpotrzebnie w obojętnej pogadance — szepnął Kazimierz, jakby z wymówką, patrząc na narzeczoną — panie Reginie wolno pleść trzy po trzy na temat najważniejszych kwestyi... ale mojej narzeczonej, nie.

I ucałował jej rękę na przeproszenie za ostatnie słowa, przyczem spojrzał jej w oczy, z tkliwą miłością. Ale Jadwiga usunęła się z chmurą w oczach.

— Nie jestem stworzona na hypokrytkę i nikt mnie tego nie nauczy — rzekła twardo; — ale wprędce wi-

dać pożałowała swego uniesienia, bo przez cały wieczór była już dla narzeczonego bardzo dobrą i serdeczną. Jednak Iza zrobiła sobie w duszy uwagę, że choć oboje wydawali się coraz bardziej w sobie zakochani, nie robili jednak wrażenia ludzi zupełnie szczęśliwych i spokojnych.

Przy kolacyi wyznaczono Sewerowi miejsce obok Izy, ale rozmowa nie bardzo kleiła się im dzisiaj; on był jakoś nie w humorze — ona miała nieustanną ochotę zapytania go, czy nie przypomniał sobie pod jakim pseudonimem i tytułem Rdzawikowski wydał swój tom poezyi, a dziwna nieśmiałość powstrzymała ją od wypowiedzenia głośno tego, co od rana zajmowało jej myśli. Może Sewer zapomniał, że go o tę wiadomość prosiła, a może robi z tego pytania przedmiot ogólnej rozmowy? zaczęła się wszyscy kolejno zastanawiać, czy Rdzawikowski miał, lub nie, talent — czy sflistrzał już całkowicie, i co na niego w ten sposób wpłynęło? Izie zdawało się, że przeczuwa, jakby podobna rozmowa drażniła Stefana, jakby targała wszystkimi jego najdotkliwszymi uczuciami — i przez skrupuł delikatności, nie chciała jej pytaniem swoim wywołać.

Gdy po wielu wesołych i pełnych zapału toastach, podniesiono się wreszcie od stołu, goście prosili Reginę o odegranie jakiej sceny z wybranej na debiut sztuki. — Nie zgodziła się na to, mówiąc, że to by ją zanadto zdenerwowało; natomiast zaczęła deklamować wiersz Konopnickiej.

Sewer, który nigdy nie wiązał się względami salonowej etykiety, a raczej pozował zawsze na człowieka niemożliwie ułożonego, dosłuchawszy ledwie do końca pierwszej zwrotki, rzucił się na fotel obok Izy i zaczął półgłosem szepem:

— A to mnie dziś poezya morduje od samego rana! Wyszukałem dla pani tę książkę Rdzawikowskiego



i obczytałem się nią aż do młodości, a tu jeszcze panna Regina traktuje nas wierszami, nie pytając nawet, czy ich pragniemy.

— Więc... pan dostał te poezje? — spytała Iza bardzo cicho.

— Dostałem. Cóż pani myśli, że to taka wielka osobliwość, jakiś drukowany świstek! — przecie tego odbijają na tysiące egzemplarzy, to nie tak jak obraz, który w jednym tylko oryginale istnieje!

— I kiedy mi je pan da?

— Dziś. Przyniosłem tutaj, myślałem, że pani je zechce wziąć.

— Wezmę.

Z godzinę jeszcze towarzystwo bawiło u Reginy. Iza pierwsza dała hasło rozejścia się, tłumacząc się tem, że do obcego domu nie chce powracać zbyt późno.

Sewer ofiarował się, że ją odprowadzi, ale gdy mu powiedziała, że woli dla pośpiechu wziąć dorózkę, zgodził się na to łatwo i nie eskortował jej na kozle, tak jak niegdyś Oksza.

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zastała Iza panią Waleryę jeszcze ubraną i chodzącą po jadalni. Myślała, że ją spotkają wymówki za późny powrót — tymczasem Rdzawikowska powitała ją jednym ze swych najuprzejmniejszych uśmiechów.

— Może się pani napije herbaty? kazałam zostawić samowar z gorącą wodą — dobrze się pani bawiła? dużo było osób?

— Dziękuję pani za herbatę — już nic pić nie będę; a wieczór spędziłam nader przyjemnie — było parę tylko osób, dobrze i dawno mi znanych.

— A aktorowie?

— Aktorów nie było wcale.

— Tak!... a cóż za książkę pani przywiozła z sobą? czy coś z teatru?

Iza prawie mimowolnym ruchem cofnęła książkę, z przed chciwie na nią patrzących oczu pani Waleryi.

— Nie... to jest... inna książka, którą mi przyniósł pan Gończak.

— Ach! ten jakiś malarz!

Z wyrazem niezadowolenia i zawodu na twarzy pani domu pożegnała swą guwernantkę. Nie warto było czekać jej powrotu — dziwnie niemiła osoba, choć niby jako nauczycielce, niema jej nic do zarzucenia.

A przynajmniej, nie było dotąd. — Ale jeżeli teraz zacznie kuć wszystkim głowę jakimiś malarzami, to już doprawdy wytrzymać będzie trudno — dosyć tego było i bez niej w domu.

Iza, znalazłszy się w swoim pokoju, zamknęła drzwi na klucz i nie zrzucając nawet okrycia, ani kapelusza, zaczęła z gorączkową prawie ciekawością przerzucać kartki książki, którą ze sobą przyniosła. Odczytywała tytuły różnorodnych działów, na jakie cały zbiorek był podzielony; tu i owdzie chwytła wzrokiem pojedyncze strofy, szukając w nich śladu duszy tego Stefana Rdzawikowskiego, który tylokrotnie już podrażnił ją swoim ostrem, narzucającem się szyderstwem, a raz jeden poruszył głęboko, słowem niedomówionem, ale drgającym falą ogromnego smutku.

Z kart książki oblicze ironii nie wyzierało jednak wcale — pierwsze ustępy zatytułowane »Do słońca« — były zwykłemi uniesieniami duszy młodej, doznającej olśnienia na widok świetlistych dróg, które ludzkość prowadzi ku jasnym i wielkim celom.

Dalsze strofy zaczynało zabarwiać jakieś tchnienie gorętsze i bardziej indywidualne, choć i tu odnajdywało się jeszcze całą, nie zwarzoną ani jednym skwarem wiosnę uczuć. — Jaki on musiał być młody, gdy to pisał! jaki młody! — myślała Iza, odtwarzając sobie w swej wyobraźni postać tego »młodego« Stefana, nie znają-



cego jeszcze ironii ani goryczy, wierzącego w siebie i świat cały.

Ostatni, najobszerniejszy dział objęty ogólnym tytułem »Dla mojej małej« odznaczał się najsubtelniejszą formą, najgorętszą a jednak dziwnie przejrzystą i kryształową głębokością uczucia. Strofy te zarysowywały przed wyobraźnią czytelnika, idealną postać dziewczęcia, które jednym spojrzeniem lub uśmiechem było zdolne przeradzać miłość w uwielbienie — żar w światło.

Iza, z zajęciem dochodzącą już prawie do granic wzruszenia, przerzucała teraz kartkę po kartce — myśl jej goniła po szerokim świecie, obraz tej »małej«, dla której usta, dziś już rzucające tylko ironią, umiały składać się w słowa tak tkliwe. Gdzie ona teraz? dlaczego odeszła go? które z nich dwojga zerwało pierwsze ten krąg świetlany, który zdawał się ich łączyć na wieki?

Nagle, drgnęła — żywy rumieniec i wyraz osłupienia pojawił się na jej twarzy. — Nie! nie! to niepodobna! — Z uczuciem żalu i przykrego zawodu odrzuciła od siebie książkę, a potem podjęła ją powtórnie i otworzyła znowu na ostatniej karcie.

Tam, w paru krótkich ale najpiękniejszych może zwrotek, autor streszczał i skupiał wszystkie uczucia swoje, wszystkie pragnienia i porywy, ograniczając je jednym króciutkim słowkiem »Meta«.

Iza po przeczytaniu tej książki nie mogła dziś zasnąć do białego dnia — w około jej głowy zdawały się cisnąć, szeptać, szumieć, gorące strofy Stefana:

Omdlewają różom skronie,  
Upojeniem nie wiem jakim —  
Biały łabędź przez głębiny,  
Za kochanką gdzieś w ustronie  
Zcicha sunie, srebrnym szlakiem —  
Kwili słowik, drżą osiny —  
Ona płonie...

Daremnie zaciskała powieki, aby stracić widzenie, wywołanego temi słowami obrazu; natrętne zwrotki rozdzwaniały się w koło niej innym znowu rytmem!

»Co tobie po miłości jednego człowieka?  
Twa miłość chłonie ludy, od wieka do wieka —  
Olbrzymka! rozpoczyna od Boga w niebiosach  
A kończy na pajęczkach, co się rodzą w rosach«...

I tu i tam, i wszędzie... Meta! — O ironio życia, co podstawiasz drewniane manekiny, aby się o nie łamały dusze ludzkie!...

## XI.

»Izo! wszystko między mną a Kazimierzem zerwane — wyjeżdżam na uniwersytet do Zurychu — jeśli chcesz i możesz, przyjdź się ze mną pożegnać. — Jaga«.

Z tym listem w kieszeni, z wypiekami wzruszenia na twarzy, Iza dzwoniła do mieszkania pani Sędziny.

Jadwiga wyszła naprzeciw niej, blada — cicha — spokojna, ale z oczyma pełnemi błyskawic, jak niebo przed wybuchem ciężkiej, sierpniowej burzy.

— Co się stało? — wyszeptała z trudnością Iza — zrywacie? — poróżniliście się? o co?...

— Nie poróżniliśmy się; rozchodzimy się tylko — bo ja nie mogę poddać się tej tyranii, którą on nazywa miłością, a która już rozciągnęła kontrolę nad każdą myślą, nad każdym tchnieniem mojem, i z każdej żąda rachunku. — Mężczyźni! możnaby myśleć, że to są umysły wyższe od nas wykształceniem, a zatem obejmujące szersze horyzonty — tak, w pięknych frazesach, w mądrych dziełach, które drukują — ale w życiu! w wymaganiach, które nam stawiają, pozostaje zawsze ta sama, ciasna, oklepana formułka. Najwolnomyslniejszy mężczyzna jeszcze dba o to, czy jego żona dobrze zna kate-



chizm, a największy idealista, czy umie gotować rosół. Ja nie jestem wychowana odpowiednio, ażeby takie zadania zadowolić — trzeba mnie było brać, gdy miałam lat szesnaście, teraz już zapóźno.

— Jednak Jadwigo, czy nie będziesz kiedyś żałowała?... ostatnim razem, u Reginy, zdawało mi się, że wy się tak kochacie!

— Właśnie dlatego nie powinniśmy się wzajem unieszczęśliwiać, a gdy się dwoje ludzi, o tak przeciwnych przekonaniach, skuje ze sobą na życie całe, to jest nieszczęście!

— Nie — zaprzeczyła Iza żywo — różność przekonań nie stanowi jeszcze nieszczęścia, jeżeli tylko poziom moralny tych przekonań jest równy. Wszak mogą dwie drogi życia biegnąć obok siebie równolegle — choć nie jednakim torem — i wtedy jeszcze niema tej najboleśniejszej szarpaniny i rozterki uczuć. Nieszczęście zaczyna się dopiero, gdy jedna dusza rwie się w górę, do światła, a druga, skuta z nią, ściąga ją gwałtem w szary pył najpospolitszych, najbardziej poziomych instynktów, interesów. To jest nieszczęście.

Głos mówiącej brzmiał dziwną stanowczością, a zarazem wzruszeniem. Jadwiga, która zawsze, w zetknięciu z cudzem uniesieniem, sama stygła i sztywniała — odrzuciła prawie chłodno.

— Mylisz się — to nie jest nieszczęście, tylko ślepe na pozór, a jednak przewidujące prawo natury, które musi łączyć organizmy moralnie wyższe i niższe, aby sobie wyhodować przeciętną rasę. Inaczej ludzkość składałaby się z samych geniuszów i kretynów. Ale pomiędzy mną a Kazimierzem rzecz się ma inaczej; z nas żadno nie jest uzdolnione do objęcia hegemonii w małżeństwie, do przechylenia na swą stronę szali życia — a że nie możemy również, tak zrównać i spoić naszych przekonań, aby się zlały w jedno, więc każda godzina

wspólnie przeżyta, przynosiłaby nam tylko nowe starcia i nowe przykre walki.

— Och! miałam tego dosyć przez tych parę miesięcy narzeczeństwa, które przecież powinno być najszczęśliwszą epoką życia.

Gorycz ostatnich słów, a chłód poprzednich wywodów, niemile dotknęły Izę. Jadwiga imponowała jej dotąd zawsze swoim rozumem, pociągała szczerością i dzielnością charakteru — ale dziś te zalety jak gdyby nagle straciły urok dla niej, gdy mimowoli, zestawiała je ze wspomnieniem jednego choćby, tkliwego spojrzenia, jakim Kazimierz obejmował postać narzeczonej. Kobiecość Izy stawiała całą mocą po stronie miłości, zdeptałej i odtrąconej dla zrobienia miejsca innym duchowym pierwiastkom.

— Kazimierz wie już? — zapytała krótko i prawie twardo.

— Wie... — i po raz pierwszy w tej rozmowie głos Jadwigi zachwiał się i złamał. Wie — powtórzyła ciszzej — napisałam mu to wczoraj — nic mi nie odpowiedział... zresztą to niepotrzebne — myślę, że zrozumiał mnie... ten raz jeden przynajmniej.

— A cóż babcia na to? z kimże zostanie, gdy ty wyjedziesz?

— Z zaufaną panną służącą, która służyła u nas niegdyś na wsi przez kilka lat. O, opiekę będzie miała zupełnie dobrą! ale babcia jest na mnie rozżalona, oburzona do najwyższego stopnia. Nie może zrozumieć, że to się przecież rozgrywa moje a nie jej życie — że linia tego życia, przedemną dłuższa zapewne niż przed nią, i że ona przemawia tylko w imię tradycją uświęconych zasad, a ja przecież... kocham Kazimierza (oczy Jadwigi zaświeciły ogniem czy łzami) tak... mimo wszystkiego kocham go — więc jeżeli tak postępuję, to widać, że nie mogę inaczej! — Starzy nie rozumieją młodych —



młodzi nie rozumieją wzajem starych, być może! — ale im przynajmniej nie narzucają swojej woli!

Iza nie chciała więcej przedłużać swej wizyty, nie chciała okazać Jadwidze, że i ona, chociaż młoda, była jednak na nią głęboko rozżalona i oburzona prawie.

Od niejakiego czasu usposobienie jej stało się wrażliwszem jeszcze niż dawniej, i na niektórych przynajmniej punktach, tak dotkliwem, że cudze smutki, cierpienia i zawody cudzych serc, raniły ją, jakby napotykały w niej samej na cierń jakiś ukryty, który najłżejsze dotknięcie poruszało w bolesny sposób.

Pani sędzina, dowiedziawszy się o bytności Izy, kazała ją na chwilę poprosić do siebie. Nie wesołe to były odwiedziny, biedna starowina, pod wpływem przebytych, przykrych wzruszeń, ogłuchła bardziej jeszcze, tak, że trudno było z nią parę słów zamienić. Twarz jej pomarszczyła się, pożółkła, jakby jej kilka lat przybyło. Tylko oczy zachowały swój błękit łagodny i cichy.

— Widzisz, widzisz, moje dziecko, odjeżdża Jadwisia! zostawia nas, i mnie i Kazia — szeptała drżącym głosem, przytrzymując Izę za rękę i wlepiając w jej twarz spojrzenie smutne, szukające pomocy lub współczucia. — Kazia mi żał, bo on ją tak kocha! Ale Jadwisi mi żał także, bo i ona biedna, choć teraz jeszcze nie wie, co traci... i co już straciła w życiu!... A troszkę także żał mi... i siebie — ale tego nie mówię głośno, bo i tak powiadają, że starzy to egoiści. Nie wierz temu nigdy dziecko! — starzy nie pragną dla siebie dużo — oni tylko pragną troszkę, odrobinę czegoś do ogrzania serca i rozjaśnienia myśli. A i to już wydaje się nadużyciem. Jadzia sobie mówi: tyle się już babcia nażyła, czy jej to nie wszystko jedno, tak czy tak, przeżyć jeszcze tych kilka lat, a może już tylko kilka miesięcy? Prawda! ona ma słuszość, ale cóż z tem zrobić, że człowiek jednako dba o godziny, jak o lata życia.

— Bądź zdrowa Jadwigo i: szczęść ci Boże... — mówiła Iza odchodząc — choć nie umiem całkowicie zrozumieć i uznać pobudek, które kierują twojem postanowieniem, życzę ci z całego serca, żebyś na twojej nowej drodze znalazła przynajmniej spokój i zadowolenie.

— Będę mieć pracę, a to jest najpotężniejsza podpora i dźwignia — odparła Jadwiga, i nieśmiało dodała: — Gdybyś zobaczyła Kazimierza, powiedz mu... albo nie! lepiej nic mu nie mów; cóż tu słowa mogą znaczyć?...

Raz jeszcze w milczeniu uściśnęły sobie rękę.

— Praca — tak, niezawodnie, potęgą jej jest ogromna — ale czy zastąpi wszelkie inne podpory? — myślała Iza. — Kiedy nam w duszy wre tysiące tak różnorodnych pragnień, czy możemy je tą jedną strawą nasycić? Czy na wszystkie ciemne zagadki, zawikłania, rozterki życia, starczy jedna taka pochodnia?...

## XII.

Pani Meta była ogromnie podrażniona; przedrażniona — jak mówiła o sobie, używając wyrażenia modnego u najmodniejszych beletrystów; irytacja jej dochodziła do tego stopnia, że nie usiłowała jej nawet utaić przed krytycznem okiem nielubianej bratowej. Zresztą i ta przecież miała za męża Rdzawikowskiego, więc w głębi duszy musiała myśleć to samo. Między braćmi były pewne cechy rodzinnego podobieństwa. Chociaż Walerya w każdym razie trafiła lepiej — o tysiąc razy! Przedewszystkiem Tadeusz był bardzo przystojny; miał taką wysmukłą, elegancką budowę, Meta właśnie lubiła taką budowę u mężczyzn — a Stefan wyglądał przy nim jak chłop źle uczesany, bo i włosy miał twarde, jak szczotka, i w ogóle była to natura ordynaryjna, niezdolna dać szczęścia takiej jak ona, wykwintnej, subtel-



nej kobiecie. W jego duszy nie było nic a nic subtelnego — żadnych wyższych aspiracji. Jeżeli dom ich potrafił się jeszcze utrzymać na jakiej takiej wyżynie, to tylko dzięki jej staraniom — bo on nie dbał nawet o to, czy u nich bywają szewcy, czy księżęta. O, z każdym dniem przekonywała się jawniej, że to nie dla niej mąż — taki jakiś pospolity adwokacik! z taką marną klientelą! Dla niej odpowiedni byłby chyba wielki geniusz, albo wielki pan.

— Czemuś szła za niego? — odrzuciła obojętnie Walerya — widziałas zapewne, że Stefan nie jest ani wielkim geniuszem, ani wielkim panem.

— Tak, gdy się jest młodą i głupią, człowiek się zawsze łudzi i żyje w obłokach. Zresztą tatko obiecywał mi, że się Stefan na adwokaturze doróbi majątku — i w ogóle wtenczas przecie zanosilo się na to, że coś z niego będzie. Pisał, drukował, ludzie mówili, że ma talent; zadedykował mi przecie cały tom swoich wierszy, byłam pewna, że mnie wprowadzi w jakiś świat artystyczny, literacki — kto mógł przewidzieć, że z tego wszystkiego będzie wielkie nic!

— Ach, masz się też o co dobijać, o towarzystwo paru gryziopiórków — jabym ich do swego domu na próg nie puściła — zadecydowała pani Walerya w pogardliwym tonie, który powlókł rumieńcem blade policzki Mety.

— Nie chodzi mi o tutejszych, bo wiem, że to wszystko miernoty — broniła się upokorzona. — Ale przecie i tu od czasu do czasu zawita ktoś znany, ceniony za granicą, i dla czegoż my, wtenczas, nie mamy go przyjąć, ugościć, zainicyować dla niego jakiegoś bankietu, zebrania? Któż tu w mieście jest więcej powołany do spełnienia takiej roli aniżeli »ja?«, co przecie znam osobiście redaktora »Figara«, a z Annunziem jadłam raz śniadanie przy wspólnym table d'hôte! Chcia-

łam się z nim zapoznać, ale naturalnie Stefan do tego nie dopuścił, on mi zawsze wszystko zepsuje!

— Cóż ci teraz zepsuł? — spytała Walerya, dla której jawnem było, że trafiła na ślad jakiejś świeżej małżeńskiej burzy.

— Co? zepsuł mi obiad literacki, który chciałam wydać na cześć Brandesa — musiałas przecie słyszeć, że on jest w mieście, że go wszyscy fetują...

— Nie słyszałam, nie obchodzą mnie nigdy takie rzeczy — zaznaczyła z wyższością pani Walerya.

— No, ale jest — i choć ty o tem nie słyszałaś, w kasynie był dla niego bankiet, hrabstwo Dalmirowscy jutro dają raut, u księcia Teodora w Palnikach będzie polowanie — a my nic! jakby nas na świecie nie było!...

Zirytowana w najwyższym stopniu, Meta zaczęła prędko chodzić po salonie. Panów wyjątkowym trafem nie było wcale tego wieczoru; Tadeusz miał posiedzenie komitetu pomnikowego, w którym był wice-prezsem, a Stefan wyszedł na miasto przed dwiema godzinami i nie pojawił się.

— Prosiłam Stefana, żeby poszedł na bankiet, żeby do Brandesa jakiś wiersz napisał — przecie wydrukował cały tom, a nie złożyłby jednego wierszyka! — ale on, mnie na złość, już dawno przestał pisać, bo widzi, że mam jakąś ambicję i chciałabym, żeby miał jakieś znaczenie na świecie. Czy myślisz, że gdyby nie ja, poznałibyśmy się byli z tym redaktorem »Figara«, choć staliśmy w jednym pensyonie? Stefan uciekał od niego na sto kroków... On, jak wyjedzie zagranicę, cały dzień siedzi w jakichś muzeach, albo włóczy się po okolicy, zamiast korzystać z czasu i zawierać jakieś wybitne znajomości. A przecie to tak łatwo! Ja wszędzie umiem sobie stworzyć kółko — prawda i to, iż wszyscy mi przyznają, że mam całkiem zagraniczny typ.

W tej chwili do pokoju weszli Stefan i Bodzio.



— Razem?! — zauważyła ze zdumieniem Meta.

— Spotkaliśmy się na schodach — odparł zimno Rdzawikowski.

— I nie powiedziałeś biednemu Bodziowi, że mnie niema w domu? no, przecież choć raz w życiu zdobyłeś się na gościnność! co za niespodzianka! — ze szczególnym jakimś naciskiem w głosie drwiła właścicielka »subtelnej duszy«.

To był jej system, ponieważ wiedziała, jak mąż jej nie lubił i lekcewał Bodzia, i jak silił się na okazywanie mu zupełnej obojętności, uważając nawet niechęć swoją za wyróżnienie zbyt zaszczytne dla młodego aroganta, umyślnie, przy każdej sposobności podkreślała to naprężenie ich wzajemnego stosunku. Sprawiało jej to podwójne zadowolenie: przedewszystkiem miała zawsze pod ręką broń, którą mogła dokuczyć mężowi, gdy tylko była z niego niekontenta, co się nadzwyczaj często zdarzało, z drugiej strony zaś takie insynuacje pochlebiali jej miłości własnej. Mimo »zagranicznego typu«, którym się tak przechwalała, pani Meta nie miała u mężczyzn szczególnego powodzenia. Za wiele było w niej afektacji, pozowania, za wiele prawdziwie karkołomnych wysiłków, wzniesienia się na jakieś wyżyny umysłowe, na które nikt nie miał ochoty jej towarzyszyć. Za wiele także i zbyt wyraźnie afszowanych pretensyi do arystokracji. To wszystko ośmieszało ją bardzo w »towarzystwie«, w którym usiłowała nadaremnie docisnąć się do pierwszego szeregu.

Przytem i uroda jej delikatna, dawniej może właśnie tą swoją delikatnością pociągająca, dziś już, po dobrze skończonych trzydziestu latach, nie wabiła nikogo. Ale dla gołowąsego Bodzia była w sam raz, i najwidoczniej bardzo mu przypadła do gustu, co stwierdzały zarówno częste wizyty, jak i całe jego zachowanie się na tych wizytach. Przywileje kuzynostwa (wpraw-

dzie trochę fikcyjnego) jako tako pozorowały tę zbyt swobodę, zresztą Meta w oczy traktowała zawsze Bodzia jako dzieciaka, mówiła mu po imieniu — obarczała mnóstwem poufałych poleceń. Zato mówiąc o nim za oczy, stwierdzała, że chłopiec ma ogromny temperament — choć doprawdy, trzeba było wyjątkowej bystrości, aby ten »temperament« zaobserwować w wymokłej twarzyczce i nikłej, marnej figurce Bodzia.

Dla Izy, powtarzające się prawie każdej środy wizyty młodego człowieka, były nader niemiłym urozmaicheniem wieczoru. Nie była przyzwyczajoną do takiego tonu u mężczyzn, z jakim on zwracał się ku niej. Choć zagadywał do niej czasem, a parę razy, po za plecami Mety, zaryzykował nawet jakiś komplement, w półśłówkach tych brzmiało lekceważenie i niczem nieuprawniona poufałość, źle osłonięta pozorami grzeczności. Właściwie nigdy nie przeciągnął struny tak, aby zasłużyć na ostre skarcenie, ale niemniej cały jego sposób bycia wywoływał rumieniec na policzki Izy.

— Czy deszcz pada? — zwróciła się do szwagra pani Walerya, nie mająca zwyczaju szukać daleko tematów rozmowy.

— Nie wiem... nie uważałem — zdaje się, że nie; a zresztą może i tak!

— Nadzwyczaj szczęśliwe usposobienie, jeśli ktoś nawet nie odczuwa, gdy mu się za kołnierz leje. Tylko cylinder źle wychodzi na tej filozofii — zauważyła ironicznie Meta.

— A gdzie stryjcio był? czy daleko? może deszcz pada tylko na niektórych ulicach — dowcipkowała Masia, którą obecność Bodzia elektryzowała przynajmniej tyle, co Metę.

— Byłem... w Towarzystwie geograficznym.

— A!... czy pan może także należy do ratunkowego komitetu »Niwy ojczystej?...«



Rdzawikowski lekko brwi ściągnął. Ten kuzynek jego żony, mówiący mu: pan, ale niezależnie od tego, traktujący go dosyć bez ceremonii, miał dziwny dar niecierpliwienia go każdym słowem.

— Tak jest, należą — rzekł z pewnym naciskiem.

— I coż, panowie komitetowi, będziecie subwencyonować?

— Będziemy. Właśnie uchwaliliśmy to na dzisiejszym posiedzeniu.

— Warto było iść, żeby sobie dać wyciągnąć z kieszeni kilkadziesiąt, albo i więcej guldenów — rzuciła się Meta.

— O cóż to chodzi? — spytała pani Walerya, w której wzmianka o guldenach obudziła zainteresowanie.

— Ach, o jakieś głupie piśmidło, które miało przestać wychodzić, bo go widocznie nikt nie potrzebował i trzymać nie chciał! Tymczasem zrobił się z tego wielki gwałt, desperacya, komitet — no i naturalnie Stefan musi się dać przy tej sposobności oskubać. Jakże! »Niwa ojczysta!« podaje w każdym numerze wizerunki chłopów i chałup, a bez niego by się tam obeszło?!

Cała najświeższa uraza Mety do męża drgała w jej słowach i tryskała gniewnym płomieniem z oczu.

Rdzawikowski oparty jedną ręką o biurko, drugą, na pozór zupełnie spokojnie, muskał i układał wąsy. Ale pod tymi wąsami ukrywało się nerwowe drganie ust, oczy miał utkwione w dół, co dowodziło u niego zawsze największej irytacji. Był to, jak gdyby instynkt zachowawczy, tej jego drażliwości uczuć, nie chcących się wydać na łup obojętnym widzom.

— To trudno — rzekł wreszcie chłodnym tonem — przez to właśnie stajemy na tak zachwalanym przez ciebie stanowisku kosmopolitycznej neutralności. Skoro subwencyonujemy »Uber Land und Meer«, niechże i »Niwa« coś dostanie; trzeba być bezstronnym.

— Subwencyonujemy pismo w obcym języku »Über Land und Meer«?!

— Trzymamy je, a ponieważ nikt go tu nawet nie czyta, więc widocznie posyłamy prenumeratę tylko dla subwencyonowania pisma, redagowanego w tak sympatycznym dla nas duchu i języku.

— »Über Land und Meer« jest cudownie ilustrowane i zdobi mi stół, a tych naszych krajowych świstków nie widzę w żadnym salonie i nie myślę tej mody zaprowadzać u siebie.

— Te wszystkie pisma tak się niszczą, że zupełnie nie warto ich trzymać — zadecydowała Walerya. — Książka, a zwłaszcza oprawna, przynajmniej dłużej się przechowuje.

— Racya! — mruknął niby z uznaniem Bodzio, ale oczy jego złośliwie błysnęły ku Izie, jakby szukając z nią porozumienia.

Ona jednak udała, że tego nie widzi; jakkolwiek kwadratowe argumenty pani Waleryi oburzały ją i śmieszyły zarazem; arogancka i w złośliwości tylko celująca finezya Bodzia była jej jeszcze wstrętniejsza.

— Ale, à propos, byłbym zapomniał, z czem tu przyszedłem — zaczął Bodzio, kołyszając na fotelu swoją drobną figurkę: — wiecie już państwo *la nouvelle du jour*? o tych brylantach — nie? to ciekawe! *c'est rare*, żeby się komuś tak udało. Biedna Donatti dopiero wyszła na swej ostatniej konkiecie! *mais ce n'est pas une conquête c'est une débâcle!* Ale bo też naiwna! powinna śpiewać »Lizkę i Frycka« a nie »Giocondę«.

— Cóż się stało? niechże pan opowiada porządnie, bo nic zrozumieć nie można — przerwała pani Walerya, wytrącona ze swej bizantyńskiej równowagi wzmianką o śpiewacze i brylantach.

— *All right!* — zaczynam od początku. Donatti dostała była brylantowe dormeuzy od...



— Księża Teodora — wtrąciła Meta z pośpiechem, jakby w obawie, żeby jej ktoś nie uprzedził w podszeptaniu tego nazwiska.

— *C'est ça!* — od księcia — otóż wkrótce potem, z niewiadomego powodu, coś się zepsuło...

— Pan daruje — przerwał nagle Stefan, zatrzymując się przed gościem, ale tego rodzaju anegdota nie opowiada się w moim domu.

— Jaki?... — zapytał Bodzio, podnosząc na mowiącego naiwnie zdziwione spojrzenie, a rzuciwszy wzrokiem w stronę Masi i Stasi, dodał uspakajająco: Ach, *ne craignez rien*. To sprawa czysto finansowa — zresztą ja to odpowiednio przyprawię. Otóż zepsuły się naturalnie dormeuzy — biedna Donatti posłała naprawić je do Wiednia przez... dobrego znajomego i w tych dniach otrzymała z powrotem, ale niestety dziś właśnie, ktoś znający się na rzeczy, objaśnił ją, że brylanty są fałszywe. Kto temu winien: jubiler, książę, czy ów dobry znajomy, jeżdżący z takimi poleceniami do Wiednia, tego naturalnie nikt nie dojdzie — podobno jednak sama Donatti miała się wyrazić, że książę już nieraz dawał jej klejnoty, ale zawsze... prawdziwe, zaś jubiler, człowiek nadzwyczaj rzetelny, ma również jak najlepiej ustaloną firmę handlową.

— A któż jest ten trzeci, ten... znajomy — młody? kawaler? nazwisko znane? — pytały na wyścigi obie panie, zjednoczone raz przecie w uczuciu wspólnego zaciekawienia tą, tak bardzo poruszającą sprawą.

— Ach, znany naturalnie! inaczej cóżby była warta cała historia? Człowiek na stanowisku, żonaty, *bel homme*, do którego może nie jedna z pięknych pań z towarzystwa wdycha w ukryciu — intrygował Bodzio, z triumfującym spojrzeniem.

— No, któż przecie? jak można tak nudzić! *il est insupportable ce* Bodzio! — narzekała Meta.

— A czemuż panie nie zgadujecie — przecież do tak sprytnego finansowego obrotu potrzebny koniecznie finansista — no, a finansista znany w towarzystwie, przystojny, żonaty, to oczywiście nikt inny, tylko piękny dyrektor, Wyszomirski!

Na sekundę głucha cisza zaległa pokój. Izie zdawało się, że w tej ciszy, każdy musi słyszeć uderzenie jej serca.

— Plotek niestwierdzonych, a uwłaczających honorowi człowieka, ludzie honorowi nie mają zwyczaju powtarzać — wyrzekł Stefan głosem twardym.

Bodzio miał minę ogłupiałą, milczenie obu pań, surowe słowa Stefana ostrzegły go, że popełnił jakąś niewłaściwość — ale co takiego?

— W czym rzecz? — zapytał z cicha pochylając się ku Mecie, z gestem wyrażającym, że zupełnie nie rozumie o co chodzi.

— *C'est son frère* — szepnęła Meta, oczyma wskazując mu Izę.

— Stryjeczny?

— Nie, rodzony.

Na chwilę i Bodziowi zrobiło się bardzo nieprzyjemnie; no, ale cóż on temu był winien? nie wiedział przecie wcale, kim była ta nauczycielka Tadeuszów — nie przyszło mu na myśl pytać o jej nazwisko — guwernantka — prawda, bardzo przystojna — ale nic więcej. Któż mógł przypuścić, że to siostra eleganckiego dyrektora, przyjmującego w swoim domu cały wielki świat stolicy. Fakt taki i teraz nie chciał się Bodziowi w głowie pomieścić; historia z brylantami wydawała mu się o wiele prawdopodobniejszą, niż takie zajmowanie przez pannę Wyszomirską płatnego miejsca prywatnej nauczycielki. Tamto, choć nie jest do pochwalenia — ale... zdarzyć się może — a to, jakaś powieść z tysiąc i jednej nocy! Zresztą niema o co robić sobie wyrzu-



tów — przecież nie tylko on jeden słyszał o brylantach i kolportuje tę nowinkę po mieście, ludzie muszą o czymś mówić, to trudno — niech więc za tę przyjemność panna Wyszomirska podziękuje miłemu braciszkowi.

Pani Walerya była z opowiadania Bodzia mocno niezadowolona. Na obecną chwilę uważała Izę poniekąd za swoją własność, więc wszystko co rzucało cień na jej postać, dotykało ją osobiście. Ponieważ jednak brak delikatnego poczucia taktu nie opuszczał jej stale nawet w najlepszych chwilach, i teraz więc, zamiast zagadać coś i zręcznie zwrócić rozmowę na inne tory, podniosła się ostentacyjnie, podkreślając tem jeszcze niemiłe dla wszystkich zajście.

— Wracamy do domu panno Izo — niech Masia i Stasia nie zapomną tu rękawiczek, tak jak ostatnim razem — rzekła tonem suchym, wyciągając rękę do bratowej.

Iza machinalnie powstała z krzesła — nogi trzęsły się pod nią, wyrazy pożegnania wymawiane w koło niej dochodziły do jej uszu tylko jakimś głuchym szmerem.

— Sfałszował, ukradł — szeptało jej coś w myśli, i te dwa słowa wciskały się w każdą komórkę jej mózgu, w każdą kroplę krwi w jej żyłach i w nerw każdy, drgający wstrętem i rozpaczą. Nie podniosła głosu w obronie brata, bo wiedziała, czuła nieodwołalnie, że to było prawdą — ta szkarada, która w takich lekkich, cynicznie dowcipnych słowach wyszła z ust Bodzia. — W towarzystwie owej Donatti i ona sama spotkała już raz Jana; wiedziała zresztą przez Maryę, z którą pisywały do siebie czasem, że jeździł niedawno do Wiednia — i wiedziała... że wszystko było możliwem.

W przedpokoju pani Walerya zaczęła zdradzać coraz wyraźniejsze zniecierpliwienie. Była zła — zła na wszystkich i wszystko — głupi Bodzio ze swoją historią — ona się tak szczyliła tą dystygowaną guwer-

nantką, oprowadzała ją wszędzie, a tu tymczasem, jak się zdaje, za pięćset złotych można było dostać coś lepszego, niż siostrę takiego szubrawca.

Pięćset reńskich! tego się przecież za tych trochę lekcyi nie płaci.

— Ach Boże! Masia znowu wzięła kapelusz na bakier, jak jaka emancypantka — niechże pani wejrzy trochę w to, jak się panienki ubierają — zwróciła się z mimowolną, bezwiedną prawie cierpkością do Izy.

Ta w milczeniu spełniła polecenie, potem podniósłszy z ziemi swój własny zarękawek, udając, że coś jeszcze poprawia w fałdach płaszczyka Stasi, postąpiła ku drzwiom. Widziała, że Stefan Rdzawikowski stoi na progu salonu, czuła na sobie jego spojrzenie, ale udawała tak bardzo zajętą właśnie dlatego, aby uniknąć pożegnania z nim — jemu jednemu nie śmiała w tej chwili spojrzeć w oczy — w obec niego jednego, postęp brata przyniósł ją takim bezmiernym ciężarem wstydu. Tamci... och, o tamtych mniejsza! ich skala moralna była tak marna, tak różna od jej własnej, że w obec nich mniej się czuła upokorzona i przybita, niż wobec siebie samej — ale on!...

Tymczasem Stefan, widząc ją zwracającą się ku drzwiom, żywo postąpił za nią: — Do widzenia panno Izo — rzekł krótko, i po raz pierwszy w życiu wyciągnął ku niej rękę. Dotąd witali i żegnali się tylko z daleka, ukłonem. Uścisk jego dłoni był ciepły, życzliwy, jeden z tych uścisków, co to usiłują wlać otuchę w udręczone serce, a na razie łyżę tylko napędzają do oczu.

Pod wrażeniem tak przyjaźnie brzmiącego głosu, Iza podniosła spojrzenie, ale spotkawszy się z oczyma Stefana, szybko odwróciła głowę, zaciskając rzęsy, aby pod nimi wstrzymać strumień łez. Cała moc jej ducha złamała się o tych parę, posłyszanych niespodziewanie, życzliwych słów.



## XIII.

Iza siedziała sama w salonie, z rękoma spoczywającymi bezwładnie na zamkniętej klawiaturze fortepianu.

Była to sobota — dzień odpoczynku, dzień swobody, z której jednak nie skorzystała dzisiaj. Nie miała gdzie iść i... nigdzie iść nie mogła. Raziły ją oczy ludzkie, w których dobadywała się spojrzeń litosnych lub drwiących — raziły cudze uśmiechy, cudze głosy, wciskające się w tę głuchą martwość apatycznego smutku, która zaległa aż po brzegi jej duszę, gdy się w niej wypalił pierwszy, piekący poryw oburzenia i rozpacz.

Do tej chwili nie wiedziała jeszcze na pewno, czy wstrętna plotka, obnoszona po całym mieście przez Bodzia i jemu podobnych na rachunek jej brata, była plotką tylko, czy też faktem spełnionym i nieodwołalnym, którego nic już w świecie nie mogło cofnąć, ani unicestwić, bo był i przeszedł, bo go pochłonięła przepaść przeszłości, z której łona nawet za cenę życia nic już wydrzeć nie można.

Jakkolwiekby, fakt ten nie pociągnął za sobą żadnej katastrofy — nic takiego przynajmniej, co ludzie katastrofą nazywać zwykli. Wyszomirski po dawnemu ukazywał się z żoną w świecie, po dawnemu prowadził interesa Spółki i po dawnemu zachował niezwykłą minę człowieka, którego nic zachwiać i obalić nie jest w stanie. Historia z brylantami pozostała dla wszystkich zagadką — z razu ciemną i podniecającą ogólną ciekawość ostrym smakiem skandalu, później coraz to bardziej zużyta, spłowiała, szarą zagadką, osłaniającą równie szary i powszedni brud życia. Tylko w duszy Izy zachowywała ona jeszcze ciągle drażniącą postać gadu, od którego nadaremnie odwraca się oczy, bo nie widząc go, jeszcze odczuwa się jego bliskość bezwiednym dreszczem wstrętu.

Dziś na całe popołudnie Iza znalazła się prawie sama w dużym mieszkaniu Rdzawikowskich. Pierwszy pogodny dzień wiosenny wywabił wszystkich na spacer. Korzystając z tej samotności i ciszy postanowiła pograć trochę na fortepianie, tak po dawnemu, dla siebie samej tylko.

Jednak zasiadłszy do fortepianu, nie otworzyła go nawet — opuściła bezwładnie ręce, i zapatrzona w mahoniową rzeźbę narożnika, siedziała tak nieruchomie, oddzielona od chwili obecnej całą tą potężną, nie dającą się niczem opanować falą myśli, która, tak jak rozkołysana toń wody, przelewa się poza wszystkie groble i tamy, wzniesione naszą wolą.

Od dłuższego już czasu zamyślenia takie, głębokie a bezwiedne, obejmowały kręgiem cichym, zdradliwym, czasem wpół niedomówionego zdania, wpół myśli innej, świadomej siebie, którą kierowała jej wola — i nie mogła przeciw nim walczyć, bo nie czuła nigdy ich zbliżenia, nie wiedziała, za szansem jakiego najobojętniejszego słowa, widoku, czyhają na nią, gotowe odrazu porwać jej duszę, i jednym uderzeniem skrzydeł przemieścić ją w światy, u których progu, świadomie, byłaby może stała lata całe, nie odważając się go przekroczyć.

Gdy po dłuższej chwili coś budziło ją z tych rozmyślań, otrząsała się, jak osoba wyrwana nagle z głębokiego snu, i czasem brwi zbiegały się nad jej czołem, jakby coś zabolalo ją, ukłuło, podrażniło w przykry sposób.

Wtedy, z gorączkowym pośpiechem zabierała się do pracy, pierwszej lepszej, jaką miała pod ręką; mówiła więcej, ruszała się żywiej i w ogóle sprawiała wrażenie osoby, która udaje, że nie słyszy i nie rozumie głosu, natrętnem echem wciskającego się jej do duszy.

Dziś, ocknąwszy się z zamyślenia, złożyła ręce na klawiszach i zaczęła grać, nerwowo, namiętnie, z jakie-



miś wybuchami smutku czy pragnienia, które zdawały się wydierać z najdalszych głębin jej serca.

Dzwonek w przedpokoju zadźwięczał cicho, ale nie dosłyszała go i nie wróciła uwagi na szelest otwierających się zlekka drzwi — grała dalej — po raz pierwszy od wielu, wielu tygodni, zrzuciła z swej duszy i twarzy drewniane jarzmo konwencyonalnego spokoju; po raz pierwszy była znów sobą, czuła, jak do wtóru z tonami muzyki coś w niej samej śpiewa i płacze i burzy się i rwie wszystkie tamy. Chwilami miała ochotę podnieść ręce od klawiszów, wcisnąć twarz w dłonie i wypłakać się naprawdę gorącymi, mokremi łzami, którymi wzbierała jej dusza.

Nagle po za nią, na samym końcu dużego salonu, dał się słyszeć szmer posuniętego żywo krzesła.

Zerwała się od fortepianu zaczerwieniona, z sercem bijącym; przestraszyła się — nie tym lękiem kobiet nerwowych, które lada stuknięcie wyprowadza z równowagi, ale raczej przestachem złapanego na gorącym uczynku winowajcy. Nim zdołała spojrzeniem dobiec do końca zapadającego już w szary mrok salonu, Stefan Rdzawikowski stanął przed nią.

— Przepraszam, że panią przestraszyłem — zaczął głosem niby bardzo swobodnym, ale trochę niejednostajnym. — Słucham a raczej podsłuchuję tu już dość dawno, i nagle zbudziło się we mnie sumienie. Może ja popełniłem wielkie nadużycie, podsłuchując tak panią, bez jej wiedzy i zezwolenia? Może pani chciała grać tylko dla... siebie.

Iza chwilę milczała; nie mogła zdobyć się na jedno słowo odpowiedzi, ani nawet powitania; powieki jej drgały; stała ciągle jeszcze tak zarumieniona, jakby na jej twarzy, podobnie jak na obłoku, przepływającym po niebie, odbił się ostatni odblask krwawiącego się u zachodu słońca.

— Dziękuję, że mi pan przerwał — rzekła wreszcie z pewną trudnością dobierając słów — ja nie lubiłabym istotnie być podsłuchiwaną, a pan wzajem nie lubi przecież muzyki, więc dla nas obojga lepiej, bym już nie grała.

— Skąd pani wie, że nie lubię muzyki? — zapytał porywczo Rdzawikowski.

— Zdawało mi się, że... tak słyszałam.

— Niech pani nigdy nie bierze seryo tego, co ludzie wzajem o sobie mówią! Całe szczęście, że nikt nie ma prawa odbywać mi rewizji po tajnikach duszy, kontrolować, co kocham, a czego nienawidzę! Miłą może mi być przecie tylko myśl, którą posiadam sam jeden na swoją wyłączną własność. Dziękuję za te, które już cudzy krytycyzm obejrzał ze wszystkich stron, wyważył i otaksował!

— A przecie pan kiedyś drukował myśli swoje — wyrwało się prawie mimowolnie na usta Izy, ale ledwie wypowiedziała te słowa, pożałowała ich, bo twarz Stefana zmieniła się nagle wyrazem przykrości i niezadowolenia.

— Być może — odrzucił zupełnie innym, zimnym tonem — nie wiedziałem, że pani coś słyszała o tem. Ale zresztą to już tak dawno, że może mnie pani nie pociągać do odpowiedzialności za grzechy dzieciństwa.

Iza dałaby była wiele, żeby mózdz cofnąć swoje ostatnie słowa, wydawało jej się teraz, że z dziwnym, niepojętym dla niej samej brakiem delikatności, dotknęła najdrażliwszej struny w duszy Stefana.

Po długiej chwili milczenia, zdobywając się nareszcie na odwagę, odezwała się głosem nieco drżącym:

— Przepraszam pana bardzo za moje odezwanie się, nie wiedziałam, że panu robię przykrość wzmianką o książce, która... którą sam pan najlepiej zrozumieć i ocenić może...



Rdzawikowski podniósł głowę i spotkawszy się z jej oczyma, rozpogodził znowu twarz i odparł z tym samym dobrym uśmiechem, który tak łagodził i przemieniał jego rysy:

— Do przeprosin pani nie mam najmniejszego prawa, ponieważ pani nie powiedziała nic złego. Dlaczego wzmianka o mojej książce sprawia mi rzeczywiście przykrość, anibyśmy mogli, ani chciał tłumaczyć pani. Wido-  
cznie jestem dziwakiem, a może tylko życie jest dziwnem... ale tego nie mogą wiedzieć ci, co jak pani, stają dopiero u jego progu. Mówi pani, że książkę moją powinienem sam najlepiej rozumieć — nie, nie — zaręczam, że ona dziś jest dla mnie, jak gdyby była pisaną w jakimś zupełnie obcym, niezrozumiałym mi języku, którego zaledwie niektóre dźwięki uderzają mnie znajomym brzmieniem.

Spuścił powieki i stał jakby zasłuchany w te nie-  
liczne, znajome mu jeszcze dźwięki jego własnej niegdyś duszy — nagle, zmieniając wyraz twarzy, zwrócił się do Izy z pytaniem, w którym było coś więcej, niż zwykłe zainteresowanie się autora rozmową o jego dziele.

— Pani czytała moją książkę? Skąd ona dostała się do rąk pani?

— Postarałam się o nią...

— I chciałaby pani powiedzieć mi o niej coś dobrego, coś takiego, co podnosi i krzepi — dziękuję pani!

Zanim Iza zdołała się opamiętać, co się dzieje, podniósł jej rękę do ust i ucałował ją.

Od strony przedpokoju doszedł ich głos dzwonka, połączony z donioślejszym jeszcze szczebiotem Stasi.

Pani Walerya z dziećmi powracała ze spaceru. Po krótkiej chwili zjawiała się także i Meta — rozmowa potoczyła się zwykłym trybem, około najpowszedniejszych spraw życia. Ale do Izy ten obojętny szum frazesów dochodził tylko niewyraźnie, jakby stłumiony oddale-

niem, przygłuszony tętnem jej własnego serca i echem ostatnich słów Stefana, które wciąż zdawały się rozbrzmiewać w koło niej cichym, ale słodkim dźwiękiem.

Raz jeden tylko urywek prowadzonej rozmowy zelektryzował ją i oblał jej twarz rumieńcem, gdy posłyszła wplecioną weń wzmiankę o »Spółce handlowej«. Ale w tejże chwili Stefan, jak gdyby odczuł jej przykre wzruszenie, coprędzej skierował rozmowę na inny przedmiot, a ją tkliwym ukojeniem i wdzięcznością objęła ta myśl, że jest przecie ktoś, co czuwa nad nią i radby ją uchronić od przykrości.

Od chwili wstąpienia w dom Rdzawikowskich tak okropnie czuła się samą — tak nikt nie dbał o nią i tak ona nie miała o kogo dbać! Brat, z wyrafinowaną zęczością egoisty, wyzyskiwał zaszłe między nimi nieporozumienie, aby się zupełnie otrząsnąć ze stosunku, który mógł na niego już chyba nakładać niewygodne do spełnienia obowiązki, żadnych korzyści nie przynosząc w zamian. Bratowa, jak była, tak i pozostała neutralnem zerem.

Kółko przyjaciół rozpierzchło się, rozbiegło w różne strony, ku rozmaitym celom życia. Oksza wyjechał, Regina trawiła się już gorączką pierwszych prób; lada chwila dzień jej debiutu miał być stanowczo oznaczony. Sewer rozpoczynał nowy portret w tonie oliwkowym i wiązał z nim nowe nadzieje uzyskania złotego medalu. Jadwiga... och, o niej Iza nie mogła wcale myśleć!

Przed kilku dniami dowiedziała się od spotkanych na mieście znajomych, że natychmiast po wyjeździe Jadwigi do Zurychu, Kazimierz rozchorował się na ciężki, grożący jego życiu tyfus.

Od tej pory wydawało się jej, nietylko, że Jadwigi nie rozumie wcale, ale że jej prawie nienawidzi za tę sztucznie rozdętą, mydlaną bańkę jakiejś rzekomej niepodległości przekonań, o którą rozbiło się zacne,



prawie i szczerze kochające serce. Mieć serce takie oddane sobie na własność, móżdżek je posiąść na życie całe i zamiast iść do niego przez ogień i wodę, odepchnąć je, w imię praw wyższych niby, od prawa miłości...

Iza przycisnęła ręce do czoła — po chwili duże ciepłe krople łez spłynęły na kartkę książki, w którą od godziny wpatrywała się wzrokiem nieruchomym, sięgającym po raz pierwszy tak daleko w głąb własnej duszy.

#### XIV.

Teatr był przepełniony — nowość sztuki i debiut artystki, którą reklamował znany z najzjadliwszych krytyk teatralnych recenzent, zapowiadając w niej niezmiernie interesujące zjawisko, zważyły do teatru liczną publiczność, inteligentną, ożywioną ciekawością — jednym słowem, usposobioną jak najlepiej. Rdzawikowscy zajęli dwie pierwszopiętrowe łóża. W jednej na samym froncie figurowała pani Meta z Bodziem, po za nią niknęła w cieniu, cofnięta nieco w tył postać Stefana. Łóżę wprost przeciwległą wypełniała szczelnie rodzina państwa Tadeuszów Rdzawikowskich, którym naturalnie towarzyszyła Iza.

Panią Waleryę korciło nieco to przeświadczenie, że łóża Mety, znacznie mniej ściśle obsadzona, z pudełkiem cukierków i niedbale impertynencką miną Bodzia, sprawiała bardziej eleganckie i arystokratyczne wrażenie; równocześnie jednak pocieszyła się myślą, że dla swej rodziny wykorzyststała należycie w ten sposób poniesiony na łóżę wydatek. Zresztą profesora prawie nie widać, a ktokolwiek spojrzy na Izę, powinien domyśleć się odrazu, że to tylko guwernantka, która się za nic nie liczy. Iza rzeczywiście zdawała się tak strojem, jak i zachowaniem zaznaczać umyślnie swoje zależne stanowisko

w domu Rdzawikowskich. Od chwili, kiedy coraz to jaśniej poczęła rozumieć, że dawny grunt szacunku ludzkiego, tradycji rodzinnych, które pozwalają dumnie podnosić czoło, zupełnie już i nieodwołalnie wymyka się jej z pod stóp — chwyciła się wszystkimi siłami tej jednej deski ratunku, jaką podawała jej uczciwa praca na chleb i sumienne pełnienie podjętych obowiązków.

A może wsuwała tę ochronną tarczę, nie tylko pomiędzy siebie i postępkę brata, ale wprost w głąb własnych myśli, w tę toń duszy dotąd tak kryształową, jednolitą, czystą, że żaden wir zdradny nie mógł się w niej utaić, że każda najlżejsza skaza tego, co być nie powinno, rysowała się odrazu wyraźną, głęboką bruzdą, na jej czystej powierzchni.

Bywają dusze mętne, których otchłanie ukryć mogą całe góry podłości i nędzy — i inne, niby świetliste, ale tak sztucznie wyrzeźbione, spojone z tyłu odrębnych pierwiastków, że niejedna skaza ukryć się może w tem kunsztownem oszlifowaniu, niejedna cień pełza lata całe, utajony po za migotliwym blaskiem, źle do siebie przystających, na tysiące skier rozsypanych się atomów myśli i uczuć.

I są wreszcie dusze proste, jednolite, czyste jak lza, a takie na pozór twarde i nieugięte, jakby ulane były z jednej sztuki szczerzego złota. Zda się, że duszę taką można nieść w ogień życia bezpiecznie, bo każdy pocisk odbije się od jej niewzruszonej powierzchni nie zostawiając na niej najlżejszego śladu — a jednak: ostrożnie! na złocie lepiej znać rysy, niż na szarym piaskowcu — nie postępkowi ani słów nawet potrzeba: ciche skrzydło bezwiednej myśli, przesuwające się drogą błędną, już pozostawia na duszy takiej ślad głęboki a bolesny, który poczucie prawości daremnie usiłuje wygładzić i zatrzeć danią najlepszych chęci, najszlachetniejszych uczynków.



Z balkonu, obsadzonego ściśle dwoma rzędami czarnych męzkich sylwetek, niejedno zainteresowane spojrzenie zwracało się ku łożu pani Waleryi, w której jaśniało kilka świeżych, kobiecych twarzątek.

Raz, spojrzenie takie zatrzymało się na odwróconej od balkonu profilem główce młodej nauczycielki, z taką jakąś hipnotyzującą mocą, że Iza odczuła je i prawie mimowolnie zwróciła się w tę stronę — lekki rumieniec opłynął jej policzki; skinęła głową, odpowiadając na przesłany jej z oddali ukłon.

— Kto się pani kłaniał? — spytała ciekawie Walerya, której uwagi nie uszło chwilowe zmieszanie czy też zdziwienie Izy.

— Pan Oksza.

— Co? ten ordynat?

— Tak.

Pani Walerya żywo podniosła do oczu lornetkę, i odbyła dokładny przegląd osoby ordynata. Potem, jakby nieco zawstydzona, że zbyt jawnie zdradziła swą ciekawość, opuściła szkło z pogardliwym skrzywieniem.

— Wcale na ordynata nie wygląda.

W tej sekundzie podniesiono kurtynę. Serce Izy ze wzruszenia na chwilę bić przestało; po prawej stronie sceny stała Regina, w dużym, malarskim fartuchu, ubrana i uczesana niedbale, zato z taką swobodą przesuwająca pędzlem po płótnie, rozpiętem na sztalugach, jakby już kilkadziesiąt portretów wyszło z pod jej ręki. Wyglądała tak odmiennie niż codziennie, że wydała się Izie jakąś obcą, zupełnie jej nieznaną osobą.

Gdy »Julia« zaczęła mówić, wrażenie to spotęgowało się w dziwny sposób. Izie trudno było uwierzyć, że ta dziewczyna, szorstka w ruchach, prawie nieładna, ale taka jakaś prawdziwa, taka naturalna, nic a nic nie udająca, to była ta sama Regina, która w życiu nie umiała się pozbyć sztucznej przesady, i w najpowsze-

dniejszych okolicznościach przybierała pozę bohaterki z lichego melodramatu. Talent jest jednak ogromną potęgą, skoro daje lepszą, prawdziwą intuicję życia, aniżeli nawet życie samo.

Przez pierwsze sceny Iza wyłączała uwagę zwracała na osobę Reginy, przyczem od czasu do czasu, prawie bezwiednie, przerywała tę obserwację myśl: — A więc przyjechał? przyjechał na ten debiut rzeczywiście »z końca świata?« — a może nie jeździł wcale?...

Potem przebieg sztuki zaczął coraz bardziej zajmować ją i więzić jej uwagę — ze scen nieco luźnych, nie powiązanych właściwie z sobą nicią przewodnią ściśle spójonej akcji, ale zato uplastyczniających coraz to wyraźniej postać kobiecą, która tam szarpała się »w sieci« moralnych i konwencyonalnych pęt życia — tryskało dużo goryczy, może umyślnie nagromadzonej i zaznaczonej zbyt brutalnie, w wielu miejscach wprost przesadnymi rysami, ale dającej jednak pewne złudzenie życiowej prawdy, i wywołującej w duszach odpowiednio nastrojonych jakieś echa własnych bólów i rozczarowań, których cień potęgował wrażenia słów autora.

W dramatyczniejszych ustępach oczy Izy mimowoli odrywały się od sceny i ponad głowy napełniających amfiteatr widzów, biegły w ciemny kąt przeciwległej łoży, gdzie majaczyła, wsunięta w cień, sylwetka Stefana Rdzawikowskiego.

Co on mógł czuć, patrząc na tę, rozgrywającą się na scenie historię swego własnego życia?... Bo to była jego męka, jego bunt przeciw marnej powszedniości, jego rwanie się do słońca i bezsilne opadanie złamanych skrzydeł, choć wcielone w postać kobiecą i związane z malarską sztalugą, a nie z piórem i książką. Gdy raz takie zestawienie nasunęło się myślom Izy, już wszelkie jaskrawości w sztuce, i w niesłuchanie realnej, miejscami drastycznej grze Reginy, przestały ją razić — dla niej



to wszystko było już teraz tylko odbiciem ją samą tak dręczącej zagadki: dlaczego życie zastawia nędzną sieć małostek na pragnienia i porywy najwyżej sięgające w błękity — czemu dusze lotne płatają się w takie bolesne węzły z duszami pełzającymi?

Grzmot, huragan oklasków wstrząsnął nagle Izą i wyrwał ją z koła tych myśli. Drgnęła i podniosła oczy na scenę. W tej chwili zwolna zapuszczano kurtynę po pierwszym akcie. Wywoływana oklaskami Reginę wprowadzał z za kulis jej partner ze sztuki; Regina promieniała radością odniesionego tryumfu. Gdy się zbliżyła ku orkiestrze, podano jej stamtąd olbrzymi wieniec, zakończony białymi szarfami, na których złocił się napis: »Od przyjaciół!«

Iza nagle przypomniała sobie, że ten wieniec był Reginie dawno obiecany w ich małem, przyjaznem kółeczku; ale kto też pomyślał o urzeczywistnieniu obietnicy? Nie Jadwiga chyba, zajęta w tej chwili swoją instalacją w Zurychu, i nie Kazimierz, leżący chory na tyfus — może prędzej Sewer, którego płowa, potargana czupryna z ogromnym ożywieniem trzęsa się na prawo i lewo w pierwszym rzędzie parterowych foteli — a może...

Spojrzenie Izy poszło w ślad za oczyma Reginy, które z dziwną uporczywością i wymową utkwily na jakimś punkcie przestrzeni. Odszukawszy punkt ten, ujrzała Iza bladą twarz Konstantego Okszy, który ze spojrzeniem, wytrzymującym z równą siłą naprężenia atak błyszczących źrenic aktorki, podnosił się zwolna ze swego miejsca i wycofywał poza ciemną firankę, kryjącą wyjście. Przez następny akt nie powrócił wcale na balkon. Iza, która kilkakrotnie spojrzała bezwiednie ku opróżnionemu krzesłu, powiedziała sobie z uśmiechem:

— A więc Regina miała słusność: jej talent zdoła go!

— Niezwykła! wstrętna! nadzwyczajna! oburzająca! — oto przymiotniki, które, określając zarówno sztukę, jak i debutantkę, krzyżowały się wśród publiczności wychodzącej z teatru, i mieszały z głosem szwajcara, wywołującego kolejno numeru zamówionych doróżek.

Obie rodziny Rdzawikowskich spotkały się zaraz u wyjścia z łóż na kurytarzu teatralnym.

— Co za sztuka! co za autor! — deklamowała Meta z uniesieniem, które w jej ustach, jak zwykle brzmiało nieco fałszywie. — Co ja czułam przy niektórych scenach, to się nie da określić słowami! To trzeba koniecznie samemu choć raz w życiu przejść przez ten głód wrażeń, tę samotność duszy, która z nikim podzielić nie może swoich uniesień. Wtedy się dopiero rozumie taką Julkę.

Policzki Izy oblały się szkarłatnym rumieńcem, oczy jej pod ciemnym kapturkiem, narzuconym na głowę, zabłysły dwiema iskrami oburzenia. Ta kobieta, ta lalka raczej, śmiała mówić o głodach duszy!

Ona, która w sztuce, w literaturze, we wszystkich najpodnioślejszych porywach ducha ludzkiego, widziała tylko akcesoryum, mogące na równi z modną falbanką przyozdobić jej marną osóbkę, której horyzont był ściśle zamknięty tą najciaśniejszą a najbardziej płaską linią, jaką własne *ja* wznosi między próżnymi egoistami a otaczającym ich wszechświatem — ona jeszcze podnosiła skargi, które były zarazem oskarżeniem, bezmieniem wprawdzie, ale aż nazbyt wyraźnie wskazującym winowajcę!

Wyszedłszy z gmachu teatralnego, Meta ujęła pod ramię Bodzia, oświadczając, że musi iść piechotą, bo ma zbyt rozszarpane nerwy, aby mogła teraz wsiąść do powozu.

Pani Walerya rada ze sposobności oszczędzenia wydatku na fiakra, ostentacyjnie, z całym poczuciem swo-



jej godności i swoich praw, wsparła się na ramieniu męża, nakazując córkom, aby postępowały w parze tuż przed nimi.

Iza, pozostawiona samej sobie, usiłowała utrzymać się na jednej linii ze swemi uczenicami, ale wąskość chodnika i rozdzielający ich co chwila liczni przechodnie, utrudniali jej to przedsięwzięcie.

— Służę pani — przemówił nagle, tuż obok niej, głos Stefana Rdzawikowskiego i zanim zdołała się opamiętać, jaką właściwie propozycję zawierały te słowa, Rdzawikowski już ujął ją pod rękę i wyprowadził nieco naprzód, w ślad za pierwszą, śpiesznie idącą parą.

W tej samej chwili wyminął ich ktoś, lekko uchylając kapelusza; w promieniu narożnej latarni Iza dojrzała z boku jasne, bardzo modnie do góry podczesane wąsiki i delikatny profil Okszy. A więc nie został za kulisami! nie będzie na bankiecie, urządzonym na cześć nowej sztuki i nowej artystki — pomyślała prawie bezwiednie. Uwaga ta nie odbiła się jednak w jej duszy nawet najlżejszem drgnięciem zadowolenia; w tej chwili, ramię człowieka, na którym wspierała się bardzo onieśmielona, a jednak pełna jakiegoś słodkiego poczucia zaufania i radości, odgraniczało ją od wszelkich innych wrażeń, zastępowało jej i przesłaniało świat cały. Pierwszy raz w życiu była tak bliską Stefana Rdzawikowskiego, tak nieoddzieloną od niego nawet gwarem pustych słów, których echo mogłoby się wciskać między nich niewidoczną zaporą.

Jednak, to przedłużające się między nimi milczenie, zaczęło ją wkońcu niepokoić. Doznawała dziwnego wrażenia, że Stefan tak zbliżony do niej, czyta w jej myślach jak w otwartej książce, że wydobywa z głębi jej duszy wszystkie najdelikatniejsze, najdrażliwsze odcienia uczuć, których ona sama nie śmiała dotknąć jeszcze jasnym, szczerem przyznaniem ich istnienia.

Dotąd zawsze tylko w oddaleniu od Stefana myślała o nim... w ten sposób. Gdy byli razem, obecność osób trzecich, banalna atmosfera powszednich stosunków życia, w każdym atomie swoim przesiąknięta konwenansem, kładła się między nich, niby jakaś mgła ostudzająca.

Po raz pierwszy Iza odczuła wyraźnie, że ten Stefan Rdzawikowski, postępujący obok niej w swej żywej i realnej postaci, był tym samym Stefanem jej marzeń, ku któremu wybiegała tak nieustannie tęsknotą serca.

Gdy w milczeniu przeszli już kilka ulic, nie mogąc wreszcie znieść dłużej tej ciszy, która wydawała się jej zbyt wiele mówiącą — odezwała się głosem, silącym się na zwykłe, spokojne brzmienie:

— Jakże się panu podobało to dzisiejsze przedstawienie?

— Żałuję, że pani była na niem obecną — odparł Rdzawikowski z poważną prostotą. — Sztuka ta zawiera nie jedną głęboką prawdę, ale są to wszystko ziarna gorzkie, a podane w łupinie nawet trującej dla umysłów młodych i wrażliwych.

— Och, czyż pan sądzi, że ja... nie miałam dotąd sposobności zetknąć się z temi gorzkimi prawdami w życiu?

Rdzawikowski milczał chwilę.

— I owszem, wiem, że pani zetknęła się już z niejednym cieniem, ale mimo to zachowała pani dotąd duszę jasną, i dlatego szkoda ją wydawać na łup cudzego, często bardzo tylko sztucznego pesymizmu. Niech mi pani wierzy: nie trzeba za pierwszą chmurą, która wypłynie na nasze niebo, zamykać zaraz oczu w tem przekonaniu, że słońca nie ma już wcale. Ono świeci wciąż i nie wiemy nawet, nie przeczuwamy, kiedy na naszą drogę rzuci promyczek choćby drobny, choćby bardzo daleki, ale wystarczający — bo już taką jest moc świa-



tła, że jeden drobny promyk przenika i zwycięża całe, ogromne fale ciemności.

Przy ostatnich słowach pochylił się ku swej towarzysze i popatrzył jej w oczy spojrzeniem, które spłynęło na nią, jak strumień tkliwego ciepła.

— Pani wie — mówił dalej, głosem coraz cichszym i coraz bardziej wzruszonym — że nad moim życiem zaświecił teraz jeden taki promyczek, daleki bardzo, ale jaśniejszy dla mnie od wszystkich słońc świata. Nie żądam od niego nic — oddaję mu tylko całą wdzięczność mej duszy za to, że jest i świeci.

Gdy Iza znalazła się po powrocie sama w swoim pokoiku, w pierwszej chwili zacisnęła twarz w dłonie, szepcząc: Boże! Boże! — z poczuciem bezmiernego szczęścia i śmiertelnej trwogi zarazem. Nie śmiała nawet wypowiedzieć sobie jasno, czego się lęka i do czego rwie się takim gorącym upragnieniem — czuła tylko, że na jej drodze złożono niespodzianie ogromny skarb, i że potrzebowała tylko rękę wyciągnąć, aby go objąć w posiadanie.

## XV.

Konstanty Oksza nie dotarł w swej podróży aż do Australii — po paru tygodniach żeglugi, przekonawszy się, że jednostajność morza nuży go bardziej jeszcze, niż jednostajność ziemi, że te same myśli i uczucia, które go z domu wyгнаły, stale ścigają go w podróży, zniecierpliwił się i zawrócił do brzegów Europy pierwszym napotkanym statkiem, dążącym w tę stronę.

Zajechał jednak najpierw do siebie na wieś, i tam przesiedział kilka tygodni, nie mogąc jakoś zdobyć się na odwagę narażenia się na ponowne spotkanie z Izą. Dopiero wyczytawszy w dziennikach wzmiankę, zapo-

wiadającą debiut Reginy, i przypomniawszy sobie dokładnie wszystkie plany, które się dla ich przyjacielskiego kółka z tym debiutem wiązały, bez chwili namysłu kazał zaprzęgać konie i dojechał do najbliższego pociągu.

W mieście wyszukał najpierw Gończaka, i w pięciu minutach dowiedział się od niego o wszystkim, co zaśzło w czasie jego nieobecności. Obstalowali razem wieńiec »Od przyjaciół« dla Reginy, a następnie Oksza spędził kilka godzin w cukierni, wypijając morze czarnej kawy i powtarzając sobie nieustannie, z brawurą trochę forsowaną, że przecież jest ciekawym zobaczyć uczciwą dziewczynę, debiutującą w roli bardzo dekolowanej, choć szczerlnie opiętej w malarski fartuch, i pannę »z towarzystwa«, która odrzuca rękę ordynata, a przyjmuje miejsce guwernantki.

Gdy nareszcie ujrzał Izę w teatrze, przekonał się, że wbrew całemu sztucznemu skeptycyzmowi, widok jej zrobił na nim wrażenie czegoś bardzo drogiego i upragnionego, co radziłybyśmy wszystkimi siłami duszy zatrzymać przy sobie na całe życie. To go zirytowało — nie chciał przecież być sentymentalnym romantykiem — postanowił przez cały wieczór już nie spojrzeć ani razu w stronę Izy.

Gdy podniesiono kurtynę, gra Reginy zainteresowała go; jej osoba również — do pewnego stopnia. Zanim był wykształconym, żeby nie odczuć odrazu, do jakich wyżyn artystycznych sięga jej niezwykły talent, a znoważto wrażliwym, żeby magnetyzujące spojrzenie młodej aktorki, jej namiętność, ubrana w słowa autora, ale płynąca ku niemu na skrzydłach zupełnie osobistego porywu — nie obudziły w nim choćby chwilowego zainteresowania.

Po pierwszym akcie poszedł za kulisy. Regina powitała go z wybuchem nieobrachowanej i nie liczącej



się z niczem radości. Ale zaraz przypomniała sobie swą rolę »gwiazdy« i wszystkie swoje rachunki z Okszą, który w zakresie sentymentu był jej dosyć dłużnym. Wierna powziętym postanowieniom, odwróciła się od jedynego człowieka, na którym jej zależało, do całego szeregu półgłówków, którzy nie obchodzili jej ani trochę, i zaczęła obdzielać ich uśmiechami i spojrzeniami, w które nadzwyczajna radość z odniesionych na scenie tryumfów i świadomość, że Oksza patrzy na nią, wlewała żar, zdający obiecywać bardzo wiele.

Ten nagły zwrot zastanowił Okszę i przez cały ciąg drugiego aktu zatrzymał go za kulisami. Nowość sytuacji zabawiła go, a przytem podrażniła jego mężką próżność. Postanowił zwyciężyć w tej walce, do której Regina wyzywała go dziwną zmiennością obejścia i tymi, rozrzucanymi tak hojnie wszystkim, a jego tylko omijającymi dowodami łaski. W czasie drugiego antraktu przystąpił do niej.

— Pani nie raczy mnie dziś widzieć — rzekł, patrząc jej prosto w oczy zimnem, ale bardzo silnem spojrzeniem. — Czy to nagroda zato, że na debiut pani zjawilem się »z końca świata?«

Pod powłoką sztucznych rumieńców, żywa, gorąca krew zalała policzki Reginy. Nigdy jeszcze Oksza nie przemówił do niej w ten sposób, nigdy nie okazywał jej, że była dla niego »czemś«, że odczuwał żar lub chłód jej usposobienia. Pod wpływem tego wrażenia cała jej sztuczna obojętność spadła jak mgła, zwiana wiatrem.

— Nie jest to ani nagrodą, ani karą, bo... panu byłoby to wszystko jedno — szepnęła głosem, po za którym drżało trwożne oczekiwanie serca. Utkwiła spojrzenie w jego twarz, które zdawało się najpierw prosić, potem modlić się o zaprzeczenie tych, wyrzeczonych przez nią samą słów. Ale Oksza stał napozór nieporu-

szony, choć w głębi jego duszy właśnie poruszyła się bardzo silnie sympatya dla tej dziewczyny, okazującej mu swą miłość tak jasno i bez zastrzeżeń, i poczucie uczciwości, nie pozwalające mu sięgać po jej serce, które oddawało mu się w tak dobrej wierze na łaskę i niełaskę.

Chwilę milczał; wreszcie ujmując rękę Reginy, rzekł łagodnie:

— Nie byłoby mi to wszystko jedno — przyjaźń pani warta bardzo wiele, i choć nie zasłużyłem na nią, proszę, aby mi ją pani dała, prawdziwą i szczerą i aby w każdej trudniejszej chwili życia zechciała się pani zwracać do mnie, jak do brata. Czy pani nie odrzuci tej prośby?

Na odpowiedź, która uwieźla w piersiach Reginy, nie było już czasu — inspicjent wzywał na scenę.

Oksza oddalił się z poczuciem, że jednak, wbrew wszelkim usiłowaniom zdeptania go, znienawidzony romantyzm bierze w nim wciąż górę — ale, że zresztą... mniejsza o to.

Regina nie domyślała się wcale, że po złotym momencie swej szczerzej miłości dla Okszy, przeszła dziś po nad jedną z najzdradliwszych przepaści życia.

W tej chwili zdawało jej się, że w czarną otchłań właśnie zsunęła się, gdy Oksza oddalił się od niej ze słowem: przyjaźń — ale poczucie tych, ogarniających ją ciemności, nie mogło być wiecznem — młodość i sztuka zbyt jasne na to nad jej drogą rozniecały blaski.

## XVI.

Po mieście rozeszła się pogłoska, że państwo Stefanostwo Rdzawikowscy dają w drugiej połowie Wielkiego postu raut artystyczno-literacki, na którym »prawdziwi aktorowie« nie w charakterze zaproszonych gości,



lecz w charakterze płatnych od występu artystów, mają odegrać nieznaną jeszcze światu jednoaktówkę, modne go w high-life autora.

Pogłoska ta, podawana z ust do ust rosła, ubarwiała się we wszystkie kolory najdziwniejszych dodatków, aż wreszcie zrobiwszy ogromny krąg, którym objęła wszystkie kółka, kółeczka i półkoła stolicy, przedostała się do... kancelaryi Stefana Rdzawikowskiego. Leczą młody adwokat przyjął tę nowinę z ust jednego ze swych klientów z takim spokojem, jakby zdumienie i gniew nie obieżyły w jednej sekundzie elektrycznym prądem wszystkich jego nerwów i nie zawrzały mu ukropem w każdej kropli krwi.

Roztrząsał w dalszym ciągu proces spadkowy klienta swego, z rozwagą i ścisłością dowodów człowieka, który wszystkie myśli ma na razie skupione około tej jednej, zaprzatającej go sprawy. Dopiero po odejściu gościa, gdy i dependenci wszyscy rozeszli się z kancelaryi na godzinę objadowej przerwy, wstał od biurka i przeszedłszy się zamyślony parę razy po pokoju, udał się do żony.

Pani Meta w malowniczym, rannem ubraniu leżała na otomanie; żółta okładka francuskiego romansu, porzuconego niedbale, złożyła się obok niej na secesyjno-wzorzystem obiciu kanapy. Stefan oparł się o poręcz stojącego opodal krzesła i patrząc w twarz żony, zapytał spokojnym głosem:

— Zamierzasz urządzić jakieś przyjęcie?

Meta uniosła się odrazu z kanapy i stając przed mężem z wyrazem raczej zaczepnym niż odpornym, rzuciła wyzywająco:

— Tak! w przyszłym tygodniu wydajemy raut artystyczno-literacki.

— Ja go nie daję, bo nawet nic o nim nie wiem, i zasadniczo sprzeciwiam się temu projektowi.

— Och, mój kochany!... trzeba było z tem »zasadniczym sprzeciwianiem« wystąpić trochę wcześniej — obecnie rozesłaliśmy już siedemdziesiąt zaproszeń.

Sięgnęła ku książce, i wydobywszy z pomiędzy jej kartek rodzaj skośnego, kapryśnie uciętego biletu, na którym wylitografowany był zwyczajowy napis: Stefano-stwo Rdzawikowscy mają zaszczyt... etc. podsunęła go przed oczy mężowi: — Jak widzisz dzień i godzina naszego rautu postanowione już czarno na białem.

Brwi Stefana złączyły się zupełnie nieprzerwaną, prostą linią.

— Jakiem prawem włączyłaś tu moje nazwisko bez mego zezwolenia a nawet wiadomości? — zapytał jednak głosem prawie spokojnym.

— A któż ci winien, że nie wiesz nawet co się w twoim własnym domu dzieje? Od dwóch tygodni całe miasto mówi już tylko o naszym raucie; mogłeś i ty się wcześniej tą sprawą zainteresować! O ile wiem nie zostałeś jeszcze ministrem ani nawet członkiem parlamentu, żeby cię sprawy publiczne tak pochłaniały i nie zostawiały ci chwili czasu na wglądnięcie w interesa domu. — Zresztą niema o co krzyczeć w niebogłosy — raut daję nie ja pierwsza w mieście, a co do tego, że położyłam i twój podpis na zaproszeniach, to zdaje mi się, więcej niż naturalne, w obec tego, żeśmy się jeszcze nie rozwiedli!

Przy tych słowach roześmiała się wpół sarkastycznie, w pół wyzywająco.

Stefan drgnął — wszystkie te ironiczne wycieczki, podkreślające dyssonans ich małżeńskiego akordu, szarpały jego nerwami w niesłychanie przykry sposób. — Meta przeciwnie lubowała się w nich; od pierwszego roku po ślubie ubrała się w rolę kobiety nieszczęśliwej w małżeństwie i omal tą rolą tryumfowała. To jej dawało »typu« — podkreślało jej indywidualność i zre-



sztą wsuwało jej w rękę broń do zbijania lub odpychania wszelkich zarzutów i wymagań Stefana — była niešťczęśliwą, niezrozumianą, wprzęgniętą w jarzmo nieodpowiadające jej aspiracyom — to chyba dość — i nikt nie miał prawa wymagać od niej większych jeszcze poświęceń.

— Może będziesz łaskawa poinformować mnie co do programu tego artystyczno-literackiego rautu? — zagadnął po krótkiej chwili milczenia Rdzawikowski.

— Oh, program... nie jest jeszcze tak zupełnie ustalony — ale możesz być spokojny, że wszystko pójdzie świetnie, urządzam to całkiem po parysku. Przytem osób spodziewam się mnóstwo: We wszystkich lepszych domach, o które mi więcej chodzi, byłam osobiście, nie poprzestając na pośłaniu zaproszenia.

— A Tadeusów zaliczasz do »lepszych« czy do »gorszych« — zapytał Stefan.

— Tadeusów nie prosiłam jeszcze wcale — na to będzie dość czasu. Zresztą Tadeusz i tak pewno nie przyjdzie, bo na żadnych zebraniach nie bywa — a Walerya nie chybi, choćbym ją zaprosiła i w wilią, i gotowa mi jeszcze przyprowadzić całą swoją arkę Noego.

Brwi Stefana znowu ściągnęły się nerwowo.

— Tadeusów sam zaproszę dzisiaj — rzekł krótko i wyszedł z pokoju.

Tegoż dnia wieczorem zaszedł istotnie na chwilę do braterstwa, aby ich uwiadomić o swoim artystyczno-literackim raucie, będącym dla niego samego taką nieśpodzianką. Pani Walerya przyjęła zaproszenie ze stereotypową solennością, na której koturny wznosiła się zawsze, gdy szło o załatwienie najdrobniejszego, towarzyskiego obowiązku. Tadeusz wymówił się od bytności na raucie jakimś, przypadającym w dniu tym posiedzeniem »Koła Matejki«.

— Do pani udaję się osobno w imieniu żony i mojem z prośbą, żeby pani zechciała uczestniczyć w naszym zebraniu — dodał Stefan, zwracając się do Izy. Ona zarumieniła się lekko i spojrzała z pewnym wahaniem w stronę pani Waleryi, jakby czekając od niej zachęającego słowa. Nie była przecież osobą wolną, mogącą się rządzić własnym popędem.

Pani Walerya zrozumiała należycie wahanie swej nauczycielki i wspaniałomyślnie pospieszyła je roztrzągnąć przyzwalająco.

Po herbacie, gdy wszyscy powstali od stołu, Stefan ściskając na pożegnanie rękę Izy, powtórzył raz jeszcze:

— A zatem, proszę pamiętać, że liczymy na obecność pani.

— Dziękuję panu, będę — odparła z prostotą odwzajemniając jego uścisk.

Od dłuższego już czasu witali się i żegnali, rozmawiali ze sobą, patrzyli na siebie jak prawdziwi, szczerzy przyjaciele. Obustronna uczciwość i moc charakteru podtrzymywała ich w równowadze na tym niesłychanie wąskim przesmyku, jakim wzajemna sympatya mężczyzny i kobiety, młodych, a nie mogących do siebie należeć, przesuwac się musi, aby nie runąć w przepaść. Dotąd postępowali po tej waziutkiej ścieżce krokiem pewnym i z pogodą na czołach; wierzyli w siebie wzajem i wierzyli w mnóstwo rzeczy dobrych i pięknych, które przesłaniały im i odsuwały od nich niejako świadomość rzeczy brzydkich i złych. Nawet te bezwiedne szeptu i lęki sumienia, które wstrząsały czasem Izę, w chwilach gdy Stefan zaczynał dopiero zajmować miejsce w jej myślach, pierzchnęły bez śladu z jej duszy, kiedy jej Stefan po raz pierwszy dał poznać, że ta, łącząca ich sympatya, może dla niego stać się rozświełającym mroki promieniem — kiedy poczuła, że choć tak od niego oddalona,



tak niby nic nie znacząca w jego życiu, jest jednak dla niego samem istnieniem swoim tą małą kropelką szczęścia, która ożywia i krzepi.

Posłannictwo takie obowiązuje, a dla duszy kobiety niema pewniejszego anioła stróża nad myśl o szczęściu kogoś ukochanego. Wpatrzone w ten jasny cel, kobiece serce przestaje żyć życiem własnem, traci poczucie własnych pragnień i tęsknot; na najnieдоступniejsze wyżyny uczuć, ponad najgłębsze otchłanie pokus prześlizguje się z tą dziwną, nadprzyrodzoną mocą, jakie w lunatyków wlewa promień księżyca — ludzie zahypnotyzowani wielką miłością lub wielką wiarą są również lunatykami — ostrożnie, żeby ich nie zbudzić.

Stefan może lepiej od Izy rozumiał położenie i przeczuwał grożące im obojgu niebezpieczeństwo — ale odwracał oczy aby ich nie widzieć, bo nie miał siły, dla ciemnych widm niepewnej przyszłości, wyrzec się tej słodyczy i szczęścia, które teraz każde spotkanie z Izą sączyło w jego życie.

Czasem tylko, na krótkie mgnienie oka, niby oświecona błyskiem piorunu jawiła się przed nim rzeczywistość, taka, jaką stać by się mogła, gdyby losy ich i serca poszły zwykłą koleją spraw ludzkich — gdyby ten kwiat uczucia mieniący się dotąd kryształowo — tęczowymi blaskami, otrząsnął się nagle z porannej rosy złudzeń i ukazał im całą płomienistą purpurę swego kielicha, rozdzierającą się o sploty własnych cierni. Gdyby ten jasny poranek przeszedł nagle w upał sierpniowy, grożący burzą — coby się stało z sercem i życiem Izy?...

## XVII.

Najbliższego sobotniego popołudnia Iza wracała od Reginy. Kilkakrotnie już próbowała odwiedzić ją, ale nigdy dotąd nie zastawała jej w domu, dziś dopiero po

raz pierwszy spotkała ją powracającą z próby i wstąpiła z nią razem do jej mieszkania. Karyera teatralna, jeśli ma być karierą, nie wlecze się krokiem żółwia, ale leci na skrzydłach; w powierzchowności, obejściu, w całym otoczeniu Reginy, znać było to przyspieszone, prawie błyskawiczne wznoszenie się na wyżyny.

Strój młodej aktorki nie raził już krzykliwą a tanią elegancją. Krepowane łoczki, jaskrawe bluzki, weloniki upstrzone barwnymi muszkami znikły zupełnie z jej repertuaru, ustępując miejsca jakiejś wykwintnej a jednak wpadającej w oko, stylowej prostocie. Osoba Reginy uległa takim samym przemianom co jej toaleta; z aktoreczki afektowanej, jakby małomiasteczkowej, wyłaniała się artystka na wielką miarę, lalka z poza szyby sklepowej zdawała się z wolna przemieniać w posąg, ożywiony upajającym tchnieniem pierwszych tryumfów.

Z oczyma tryskającemi zapałem opowiadała Izie dzieje tych kilku tygodni, swoje powodzenia, niepokoje, zazdrości, które już wyrastały na jej drodze i cały szereg tych teatralnych, tak odmiennych od szarej codzienności życia wrażeń, w których tropikalnem cieple tak szybko dojrzewają a potem więdną młode dusze.

— Wiesz, przekonałam się, że sztuka jest naprawdę złotym mostem, po którym bardzo daleko i bardzo wysoko zejść można — mówiła z ładnym ruchem głowy, zdradzającym dużo wiary i zapału. — Przepaści nie brak w naszym artystycznym życiu, ale miłość sztuki jest dźwignią, która najpewniej chroni od upadku.

Złotawe oczy Izy pokryły się mgłą zadumy — przypomniała sobie, jak niedawno Jadwiga mówiła jej, że najpewniejszą dźwignią i podporą jest praca. A więc chyba każde gorące ukochanie przydaje duszy ludzkiej skrzydła i niesie ją górą ponad wszystkie ciemne zasadzki i zdradliwe przepaści życia... O tak! każda miłość jest świętą, i uświęca!...



Tymczasem Regina wstrząsnawszy się zlekka, jakby za nią stanął zimny cień, zaczęła mówić znowu innym już, trochę urywanym i z samych głębin serca wychodzącym głosem:

— Ty się może dziwisz, że ja... tak wiele mówię o sztuce, i takim tonem, jakby mi ona przesłaniała świat cały — ale widzisz, sztuka to cała treść mojego dzisiejszego życia, to moja racja bytu po prostu — a tamto, tamto... co wiesz, to cierń, który noszę w duszy i zawsze nosić będę — nawet nie chciałabym go wyrwać, bo go kocham chociaż mnie boli — i czy uwierzysz? to jest taki cień, który jednak świeci mi i grzeje, bez niego byłoby mi tak zimno, nawet przy największych tryumfach.

Spuściła oczy i zaczęła ręką wygładzać fałd swej miedzianej, artystycznie skrojonej sukni. Jej inteligentna, łatwo zmieniająca się twarz, przybrała wyraz osmucony i łagodny, który uczynił ją młodszą, prawie dziecinną i niesłychanie pociągającą. Iżę smutek ten szarpnął za serce wyrzutem sumienia: choć bez swej winy i woli ona to jednak była główną tego smutku sprawczynią — gdyby Oksza miał serce wolne, szczerłość tego uczucia pociągęłaby może i jego wzajem.

Ujmując rękę Reginy, rzekła też nieśmiało choć bardzo serdecznie:

— Ten cień Reno, może przecież jeszcze kiedyś zakwitnie różowym kwiatem.

Aktorka przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, nie — wiem już dobrze że to niemożliwe; dawniej łudziłam się bo widziałam, że on mnie nie zna i nie pojmuje — że mnie lekceważy, drażni się ze mną dla zabawy, wyszydza — ale to wszystko na ślepo, nie znając ani mojej miłości, ani mego talentu. Ale dziś on mnie już przejrzał nawskróś, sprzyja mi, ceni mój talent... i lituje się nad mojem »biednem sercem«. Żeby

na tle takich uczuć zaszcześcić miłość mężczyźnie — taką miłość jaką ja pojmuję i jaką jedynie przyjąłabym od niego — to chyba trzebaby cudu!

Powracając od Reginy, Iza szła ulicami pełnemi już ciepłych słonecznych blasków i ożywionemi tym prawie świątecznym ruchem, jakim w pierwszy dzień wiosny zdają się drgać radośnie nawet szare mury kamienic i bruków wielkiego miasta. Nowe kapelusze, nowe suknie tłoczyły się na trotuarach; nowo wyczyszczone, wykierowane powozy pędziły we wszystkich kierunkach; ludzie uśmiechali się do siebie i do błękitu nieba, pod którem pierwsze jaskółki zataczały już kręgi ciemnem skrzydłem, znużonem jeszcze odbytą daleką drogą.

Iza również uśmiechała się bezwiednie do wszystkiego i wszystkich — w duszy jej dzwoniło nieustannie: — Dziś sobota!

## XVIII.

Pani Meta w sukni płomienistego koloru i z płomieniem w oczach, ale z twarzą bardzo bladą stała w pośrodku pustego jeszcze i zimnego, choć już blaskami światła zalanego salonu. Na progu pojawił się Stefan w wieczorowym ubraniu.

— Masz! czytaj! — zawołała z rozpaczliwą passją, podając mu małą ćwiartkę papieru, którą mięła w dłoni.

Rdzawikowski wziął karteczkę, odczytał uważnie, a potem składając ją, rzekł głosem wyrażającym głębokie politowanie: — Biedaczysko!

— Biedaczysko! zapewne! — powtórzyła z wybuchem oburzenia Meta — ale skądże ja przychodzę do tego, abym się miała skompromitować w obec całego towarzystwa dla choroby czyjegoś tam dziecka? Jeśli przedstawienie nie przyjdzie do skutku, to okryje nasz dom śmiesznością na wieki wieków.



— Wątpię — odrzucił Rdzawikowski z powstrzymaną irytacją — za taki zbieg okoliczności nikt nie jest odpowiedzialnym. Trudno abyś kazała grać komedię człowiekowi, którego jedyne dziecko umiera na anginę.

— Och, umiera! zaraz wielkie frazesy! Zresztą czyż on jest doktorem, żeby jego obecność mogła co na to wpłynąć? Do pielęgnowania dziecka matka zupełnie wystarczy, a on może doskonale przyjechać na godzinę i zagrać swoją rolę, skoro się tego podjął.

— Mam nadzieję, że mu nie zakomunikowałaś tych swoich zapatrywań? — ostro, jak cięcie nożem, wyrzucił Stefan.

— Zakomunikowałam mu argument o wiele wymowniejszy — roześmiała się szyderczo Meta — podwoiłam mu honorarium za dzisiejszy występ, sądzę że go to przekona bez trudności. Jeżeli ma chorobę w domu, to powinien tembardziej potrzebować pieniędzy.

Oczy Stefana błysnęły płomieniem, spazm nienaturalnej pogardy skrzywił mu usta.

— Jeżeli tak zrobiłaś — to postąpiłaś... podle! nie wyzyskuje się w ten sposób najświętszych, najbardziej rozboleiałych uczuć człowieka, przelicytowując je kilkudziesięcioma złotymi.

— Każdą propozycję wolno zrobić — jak również i odrzucić — odparła Meta z zimnym uśmiechem. — Jeżeli mój argument okaże się decydującym, to najlepszy dowód, że miałam prawo go użyć. Zobaczymy.

Cichy, przytłumiony portyera dźwięk dzwonka, dający znak o przybyciu pierwszego gościa, przerwał dalszą wymianę zdań. Pani Meta z najśłodszyim uśmiechem postąpiła ku drzwiom. Stefan usunął się w głąb salonu, blady i wzburzony.

— Nie przyjdzie, odmówi — usiłował uspokoić się w duchu i byłby dał w tej chwili niewiem co, żeby móżdż cofnąć propozycję żony i nie być zmuszonym do

spojrzenia w oczy człowiekowi, którego dusza miała się tu ugiąć i złamać, wyprzeć się swego najkrwawszego bólu a przyoblec w łachman fałszywego wesela za cenę marnej, pogardliwie mu rzuconej zapłaty.

— Nie przyjdzie — a jednak: »jeśli ma chorobę w domu, to potrzebuje tem bardziej pieniędzy«...

Goście schodzili się w nadzwyczaj szybkim tempie, zaproszeni na raut »artystyczno-muzykalny« z ustalonym i wylitografowanym programem, wiedzieli, że nie wypada się bardzo spóźniać, w przeciągu kwadransu salon Mety wypełnił się tłumem osób powybieganych, pościąganych sztucznymi sposobami z najrozmaitszych kół towarzyskich. Arystokracja, literatura, świat naukowy, wyższy urzędniczy, nawet duchowieństwo miało tu swoich przedstawicieli. Pani Meta tryumfująca a łaskawa, niby jakaś królowa, odbywająca w stanie nienaturalnego podniecenia »cercle« wśród swoich poddanych, przechodziła od grupy do grupy, nie usiłując bynajmniej zlać i połączyć zebranego u siebie towarzystwa w jedną, harmonijną całość, ale przechwalać się przed przedstawicielami jednego kółka towarzyskiego, najgrubszymi atutami, zdobiącymi front drugiej grupy.

Jednak, pomimo całej swady, jaką usiłowała olśnić swych gości, w głębi jej bławych źrenic palił się wciąż jakiś niespokojny płomyk i dopiero gdy Bodzio wysłany do sąsiedniej sali »teatralnej« powrócił stamtąd i przesłał jej przez salę jakieś wesole, porozumiewawcze mrugnięcie, niepokój ustąpił miejsca zupełnej, prawie gorączkowej radości. Stefan z początku usiłował przemódz się i razem z żoną witać przybywających, jednak przekonał się wkrótce, że był to trud i przymus zupełnie zbyteczny: Oprócz paru profesorów uniwersytetu i kilku literatów, nie znał z tych ludzi prawie nikogo, i oni ignorowali go omal, przechodzili po nad nim do porządku dziennego; upoważnieni niejako do tego jego



milczącym i biernym zachowaniem się, jak również potokami wymowy Mety, w których określenia: »Mój dom«, »mój wieczór«, »moi goście« i »moje przedstawienie« dzwoniły nieustannie, natrętnie w uszy wciskającym się echem.

Pani Walerya przybyła, gdy wszyscy byli już prawie zebrani — podług niej z większym taktem było nie spieszyć się bardzo. Masia i Stasia przybrane w białe sukienki, postępowały za nią, strzelając na wszystkie strony błyszczącymi ożywieniem i ciekawością oczyma. Iza kończyła pochód, zachowując wyraz twarzy spokojny i pogodny, chociaż ten pierwszy występ w świat, w zależnej roli guwernantki, nie był przyjemny dla panny Wyszomirskiej, przyzwyczajonej do zajmowania w salonach innego stanowiska. Na znak dany przez Metę otwały się drzwi i wszyscy przeszli do sali teatralnej, w której poustawiane rzędem krzesła zaopatrzone były w kartki z nazwiskami tych, co je zajmować mieli — dwa ostatnie rzędy tylko, bez kartek, czekały na szary tłum bezimiennych ochotników.

Dla siebie pani Meta zarezerwowała miejsce w jednym z pierwszych szeregów, pomiędzy Bodziem a ordynatem Okszą — ten ostatni jednak wymówił się od zajęcia przeznaczonego sobie krzesła, twierdząc że tylko z przyzwyczajenia oddalenia »jest w stanie« przysłuchiwać się produkcjom muzycznym.

Iza, dla której naturalnie nie było miejsca z kartką, pozostawiona własnemu przemysłowi, z uczuciem przykrości i zmieszania podeszła do ostatnich, zupełnie próżnych rzędów, i zajęła tam, pod ścianą krzeselko.

— Czy można usiąść obok pani? — zagadnął nagle poza nią głos Okszy.

— I owszem... proszę pana.

Zaczerwieniła się — czuła, że to wyróżnienie jej przez ordynata zwróci na nią zazdrosną uwagę obecnych

pań — i była też rada zadośćuczynieniu, jakie to dawało jej zranionej dumie, ale zarazem sąsiedztwo Okszy, z którym nie widziała się jeszcze ani razu od owego pamiętnego dnia oświadczyń, wprawiało ją w poczucie kłopotliwego zmieszania.

— Dawno już nie miałem szczęścia widzieć pani — rzekł Oksza.

— O tak... bardzo dawno — dużo zmieniło się od tego czasu — szepnęła prawie bezwiednie.

— W mojem życiu nie — prawdopodobnie już na zawsze pozostanie *status quo* — chyba, gdyby pani podjęła się przeprowadzenia w niem jakichś reform — zauważył Oksza tonem tak obiektywnym, jakby poruszał jakąś powszednią, dla nich obojga najobojętniejszą kwestyę.

Chwilkę zawiesił głos i podniósł na Izę wyciekające spojrzenie swoich zimnych, choć bardzo pięknych oczu, widząc jednak spłoszony wyraz jej źrenic i nerwowe drganie powiek i ust, nadaremnie siłujących się na wypowiedzenie choć jednego słowa, dodał zaraz z pewnym pospiechem:

— Niech mi pani daruje, że się pani, tak bez żadnego upoważnienia z jej strony, raz po raz nastęrczam z moją osobą, nie chciałem być niedelikatnym, tylko... za ostatniem widzeniem rozeszliśmy się tak prędko, iż nie miałem nawet czasu powiedzieć pani, że oświadczyłem się jej! raz na zawsze — dziś, czy za dziesięć lat, może mnie pani bez różnicy uważać za swego sługę i własność, z którą pani robi co zechce.

— Ależ... panie Konstanty... to niemożliwe — niech się pan nie uważa za związanego w najmniejszym stopniu, skoro ja... nie mogę odpowiedzieć na uczucie pana — nie mogę panu zrobić żadnej nadziei.

Głos jej zrazu stłumiony i wahający, z trudnością dobierający słów, przy ostatniem zapewnieniu wzmocnił



się i ustalił, istotnie dziś o wiele silniej niż przed kilku miesiącami czuła, że na miłość tego człowieka nie była w stanie odpowiedzieć ani jednym drgnieniem serca, że za nic nie połączyłaby z nim swego życia. Choć przejścia ostatnich miesięcy i doświadczenie życiowe jakiego w tym czasie nabrała, przekonało ją dowodniej jeszcze, jak dalece Oksza był szlachetnie bezinteresownym, ponad przeciętną pospolitość wznoszącym się człowiekiem, przeciwko oddaniu mu jednego gorętszego uścisku ręki coś w głębi jej duszy protestowało stokroć silniej dziś niż dawniej.

— Do »nadziei« nie mam najmniejszej pretensyi — mówił Oksza bardzo przyciszonym, ale swobodnym głosem — z mojem życiem jednak wolno mi przecież czynić co zechcę, mógłbym je wyrzucić za okno, mogę też złożyć u stóp pani, skoro mnie z tem dobrze, a pani... obojętnie. A teraz nie mówmy o tem więcej. — Czy państwo Rdzawikowscy urządzają często tego rodzaju artystyczno-literackie wieczory? i kto tu jest właściwym inicjatorem tych intelektualnych rozkoszy: mąż czy żona?

— Och... nie wiem — zdaje mi się, że raut ten urządziła pani Rdzawikowska, własną inicjatywą. Pan Rdzawikowski w ogóle mało wdaje się w takie sprawy.

— Rozumiem — nie ma głosu — to zresztą zwykłe, że mąż tak wymownej żony niemiej.

Wąskie brwi Izy drgnęły, drażniło ją takie poruszanie ciężkich warunków życia Stefana Rdzawikowskiego w tym lekkim, nieco satyrycznym tonie — podniosła oczy jakby szukając po sali jakiegoś innego przedmiotu rozmowy, nagle zetknęła się ze spojrzeniem samego Stefana, które musiało już od dłuższego czasu i z dość silnem natężeniem zwracać się ku niej, bo doznała wrażenia, że ledwie podniósłszy powieki uderzyła się wprost o ten wzrok, zagrządzający jej drogę.

Instynktownym, bezwiednym ruchem, usunęła się nieco od Okszy i już ze sobą nic prawie nie mówili przez ciąg całego przedstawienia.

Kortyna, zaimprovizowana z wzorzystych kilimów, na głos dzwonka uniosła się w górę i lekka, dość szablonowa bluetka dynstygowanego autora skupiła na jakie dwadzieścia minut uwagę widzów. Powodzenie sztuczki było mierne; pani Meta nie wywołała wymarzonego wrażenia swem przedstawieniem, urządzonem na »paryski sposób«. Zarówno gra jak i charakterystyka aktorów, przyzwyczajonych do odmiennych warunków optyki teatralnej, występowała zbyt ostro, niekiedy aż rażąco na tej malutkiej scenie, umieszczonej tak blisko, omal na kolanach widzów. Zwłaszcza główny bohater sztuki grał w jakiś nienaturalny, nerwowy sposób, czem widocznie drażnił mocno gospodarza domu — ruchome brwi i nozdrza Stefana drgały do wtóru z każdym wybuchem głosu, z każdym zbyt ostrym śmiechem artysty i dopiero gdy ostatnie słowa sztuki przebrzmiały i kurtyna zapadła wśród miarowych, jak należna danina splecanych oklasków, odetchnął uczuciem człowieka wyzwolonego.

Nastąpiły muzykalne punkta programu — utalentowana aktorka uraczyła publiczność aż trzema »koncertami«, z których pierwszy został przyjęty z entuzjazmem, drugi z uznaniem, trzeci z wdzięcznością, że już był ostatnim. Pan Celestyn, żeby nie wychodzić z wprawy, odśpiewał znowu swoje »Vorrei morir« z mimiką melancholijnych spojrzeń, doprowadzoną do najdalszych granic doskonałości. Nareszcie z po za kotary, tworzącej głębi sceny, wystąpił raz jeszcze artysta, którego obecność zdawała się tak szarpać nerwami Stefana.

— Cóż znowu? jeszcze?... Ach prawda, na programie wylitografowany punkt ostatni: »Deklamacya« — Meta nie mogła przecież darować tych kilku strofek



wiersza człowiekowi, którego dusza rwała się na strzępy, uciekając od tych strojnych salonów do łóżka umierającego dziecka — nie mogła zwolnić go z łańcucha o godzinę wcześniej — przecież zrobiła już dosyć, płacąc mu za ten czas męki podwójne honorarium.

»Jasnowłosa« z cyklu »Do mojej małej«  
Stefana Rdzawikowskiego.

Na dźwięk tych paru słów, przynoszących przyjemną niespodziankę żywszego zainteresowania znudzonemu już słuchaczom, niby iskra elektryczna obiegła salon — wszystkie głowy, lornetki, spojrzenia zwróciły się jak za powiewem wiatru w tę stronę, w której oparty o framugę drzwi, z twarzą w tej chwili tak popielato bladą, jak służące jej za tło, perłowe obicie ściany, stał Stefan Rdzawikowski.

Dla niego ten tytuł, wyrwany z jego książki i tak niespodzianie spadający mu na głowę, nie był iskrą elektryczną ale jakby zacięciem bicia, pod którym wszystkie nerwy i uczucia jego zerwały się do gwałtownego protestu. — Jego wiersz! jakim prawem? czy upoważnił kogokolwiek do urządzenia mu tego debiutu? do wydania na łup najobojętniejszych uwag gawiedzi, czegoś, co niegdyś było jego szczęściem i świętością, dopóki skrzywiona maska tragikomedii życia nie zohydziła mu nawet samego wspomnienia tych uniesień swym szyderczym uśmiechem.

W pierwszej chwili instynktownie chciał się rzucić ku estradzie, usunąć z niej niefortunnego deklamatora, w najbrutalniejszy choćby sposób nakazać mu milczenie. Ale zaraz opamiętał się — on, co tak nienawidził w około swej osoby pustego szumu i gwaru »senzacyi«, czy miał ją sam wywołać takim skandalem? Zresztą, wiersz był drukowany, każdy miał prawo wybrać go sobie do deklamacji, i Meta, której ten cykl poezji zo-

stał niegdyś ofiarowany jako hołd nieśmiały a gorący, miała także prawo przystroić się w tę swoją własność, zamigotać nią przed oczyma swych dystyngowanych gości, jak tęczą klejnotów.

Mniejsza o to, że były to już klejnoty obumarłe i fałszywe, że nie migotała dziś w nich ani iskierka prawdziwego uczucia — odbłask ich mógł jeszcze dla nieświadomych prawdy, otoczyć nimbem jej czoło, więc nie omieszkała z tego skorzystać — dobrze, że choć raz wrzekomy talent Stefana przydał jej się na coś.

Dźwięczne strofy gorącego, rozegzaltowanego hymnu miłości padały jedna po drugiej w duszę słuchaczy — pani Meta rzucała do koła tryumfujące spojrzenia, zdające się wołać głośno: to ja! to do mnie pisane! — goście jej, ludzie przeciętnie inteligentni i zdolni odczuwać piękno, słuchali z żywym uznaniem — tylko sam autor odosobniony od tego ogólnego prądu zachwyty, stał z oczyma wbitemi w ziemię, mieniając się na twarzy i ściągając swoje czarne brwi tak, że jedna zdała się zasuwac poza drugą.

W przeciwnej stronie sali ta sama gra przykrych uczuć zdała się jak w zwierciadle odbijać w wymownych rysach Izy — ona jedna rozumiała czem był ten przymuszony popis dla dzikiej drażliwości Stefana, i dla niej jednej także, w tych czystych strofach uwielbienia, rozbijających się u stóp Jasnowłosej — Mety, był dźwięk fałszywy a rażący ją aż do pocucia bólu.

Deklamator skończył; artystyczny program wieczoru został wyczerpany. Szum pochwał, oklasków, mniej lub więcej szczerych okrzyków zachwyty spłynął kaskadą na ostatnie słowo wiersza. — Stefan Rdzawikowski jednak nie przyjął należnego tryumfu na swoje czoło — przed końcem ostatniej zwrotki wysunął się nieznacznie z sali.



— Jakże pan znajduje poetycki talent mego męża, panie ordynacie? prawda, że jest bardzo... indywidualny?

Pani Meta zaryzykowałszy to określenie, z którem zwracała się już do dziesiątego z kolei gościa, spojrzała wyczekująco w zimne oczy Okszy; choć każdemu z literatów, artystów lub uczonych z najśmielszą arogancją narzucała swoje banalne i puste frazesy, wobec ludzi tej kategorii towarzyskiej co ordynat Oksza czuła się znacznie mniej odważną. Tym razem jednak nie natrafiła na najmniejszy opór.

— O... bez kwestyi — potwierdził zgodnie ordynat, cofając się o pół kroku wstecz — jest bardzo indywidualny.

— I wszak prawda, iż to niesłychana szkoda, że on teraz tak zarzucił pozyę? literatura swojska wiele na tem traci i ja także boleśnie to odczuwam.

— Niewątpliwie, tracimy na tem wszyscy.

Znów Oksza posunął się nieco wstecz ku drzwiom otwartym do fümüaru, jakby szukając tam uchrony przed natarczywością tej literackiej ankiety — ale usiłowania jego znowu okazały się nadaremne.

— Ja, odczuwałam zawsze potrzebę utworzenia w koło siebie jakiejś literackiej atmosfery, bez której nie umiem żyć — szczebiotała Meta, kręcąc i przekrzywając swoją ptasią, cieniutkim profilem zaostrzoną główkę — znajduję, że jak istnieje sfera ludzi błękitnych krwią (tu uśmiech dyskretno-porozumiewawczy w stronę ordynata) tak samo jest błękitna arystokracja ducha, która nie może się poddać pospolitym powszedniościom życia. Ja miewałam zawsze takie ultralazurowe aspiracje; gdyśmy się pobierali, zdawało mi się, że Stefan należy również do tych wyblękitnionych dusz — później coś mu się stało... wziął na kiel i przestał pisać, pomimo, że robię co mogę aby w nim rozbudzić natchnienie. Cały ten dzisiejszy wieczór literacki jest tylko

spiskiem uknutym w celu otrząśnięcia mego męża z tej jego chorobliwej apatyj. Chcę go zbudzić, zelektryzować!

Pani Meta domawiała ostatnich słów z rozpaczliwym wysiłkiem pospiechu, bo Oksza, jak ryba, która źle połknęła haczyk i zsuwa się z wędki w głęboką toń wody, wycofywał się i usuwał zwolna w ciemną otchłań fümüaru, po za którego progiem nie mogły go już doścignąć ultralazurowe aspiracje tej zawiedzionej żony. Na szczęście dla niej w tejże chwili znalazła się tuż obok kompensata.

— Kuzynka chce elektryzować własnego męża! — zapiszczał cieniutki głos Bodzia, nastrojony na fałszywo-ironiczny ton. — *Dieu quelle cordée!* i czy się to tylko opłaci? Podług mnie każdy mąż, naelektryzowany czy nie, jest zawsze najnudniejszym stworzeniem pod słońcem.

— Och, takie bébé jak ty, właśnie rozumie się na tego rodzaju sprawach! — roześmiała się głośno pani Meta, z macierzyńską poufałością głaszcząc go po twarzy wachlarzem.

— Bébé jest bardzo mądre! bébé się na wszystkim lozumie — szeplecił Bodzio, przybierając ton i miny rozpieszczonego dziecka, ale obejmując Metę spojrzeniem prawie cynicznie-zuchwałem i wyzywającym.

— Na wszystkim, doprawdy? Chciałabym zbadać, tę studnię mądrości. Cóż bébé najlepiej wie i umie?

— Bébé najlepiej wie: że Meta jest ślicna, a najlepiej umie...

Pochylił się nagle po nad jej wachlarzem, jakby chciał odczytać któryś z nakreślonych na nim napisów, ale w tem pochyleniu usta jego dotknęły przelotnym pocałunkiem jej obnażonego ramienia.

Meta drgnęła — wprawdzie oddawna już przygotowaną była na tę »niespodziankę«, niemniej śmiałość Bodzia olśniła i oszołomiła ją.



— *Bébé que fais-tu?* — szepnęła omdlewającym to-nem heroiny, nie mogącej oprzeć się urokowi uwodziciela.

— *Je vous aime — rien de plus* — odparł goło-wasy uwodziciel i dokładniej jeszcze powtórzył swój czuły manewr.

Stali na framudze pomiędzy drzwiami; portyery spływające z obu stron osłaniały ich wcale dobrze przed niedyskretnymi spojrzzeniami — zresztą w sąsiednim po-koju mężczyźni zbici w gromadkę i otoczeni kłębami dymu dysputowali o czemś zawzięcie a tu, w małym sa-loniku, było tylko kilka par flirtujących i wyłącznie sobą zajętych, jedno zwierciadło w rogu, nad kominkiem, i Iza samotna, pozostawiona własnym myślom przez wszyst-kich tych, co niegdyś otaczali hołdami posażną i świetną pannę Wyszomirską, ale do panny Wyszomirskiej gu-wernantki, nie mieli najmniejszej ochoty się zbliżyć.

Już z pół godziny nikt nie zagadał do niej ani słówka — już zdążyła przejrzeć wszystkie na stole le-żące albumy i zagraniczne ilustracje, a teraz stała bez-radna, z rękami opuszczonemi i oczyma patrzącemi przed siebie bezmyślnie, obojętnie, może niewidzącemi nawet wcale, co się w koło niej działo.

Nagle mimowolnym ruchem rzuciła się tak, jakby coś szarpnęło ją, oburzyło, odbiło się w jej oczach pło-mieniem wstrętu i pogardy.

Odsunęła dość gwałtownie album, na którym wspie-rała dłoń i krokiem żywym, zdecydowanym, przeszła przez pokój ku drzwiom prowadzącym do drugiego sa-lonu — miała w tej chwili twarz osoby, w której du-szę wpadnie coś niespodziewanego a budzącego wstręt, i która od tego czegoś, pragnie się jak najdalej usunąć! Ale w progu zetknęła się po raz pierwszy tego wieczoru ze Stefanem Rdzawikowskim.

Spuściła oczy, nie chcąc, aby Stefan spojrzął w nie w tej chwili, a jednak słała przed nim, jakby pra-

gnęła koniecznie zatrzymać go, skupić wyłącznie na so-bie jego uwagę.

— Prześliczny ten wiersz pana... zaczęła głosem trochę stłumionym i rwącym się, szukającym zarówno odpowiedniego tonu jak i odpowiedniego przedmiotu rozmowy. — Znałam go już wprawdzie z czytania, ale zawsze w deklamacyi...

Stefan przerwał jej szorstko:

— Niech pani nigdy nie mówi banalnych komuna-lów, których pani nie myśli, bo to nie dla pani — i nie dla mnie. Pani chyba mogła była odczuć, czem był dla mnie ten pośmiertny występ mojej pogrzebanej muzy.

Mówił tonem gwałtownym, jakiego Iza nie słyszała prawie nigdy u niego — znać wszystko co go przez cały ten wieczór jątrzyło, zebrało mu się w duszy na ten wybuch.

— Może być, że te wiersze są piękne, ale ja ich nienawidzę — a wie pani zaco?

Płomień miał w oczach i płomień zdawał się mieć na ustach, kiedy rzucił Izie to pytanie, ku któremu cała jej dusza zerwała się z okrzykiem: Wiem! wiem! rozu-miem cię! rozumiem każde drgnienie twojej myśli, tak, jak się rozumie to, co się kocha! — Ale jakiś zacho-wawczy instynkt uczciwości zamknął jej usta, osłonił powiekami oczy, które mogły zdradzić prawdę, które tak ją zdradzić pragnęły!

— Nie wiem — rzekła cicho, z wielką trudnością — pan jest dziś podrażniony jakimiś zewnątrzemi okoli-cznościami... ale zacoż by pan miał nienawidzić swoje biedne, śliczne wiersze?

— Zato, że kłamią, że tak bezwstydnie kłamią! I że nie mogę się ich odeprzeć, że są moje i moje po-zostaną, choć nic mojego już w nich niema, choć się nie chlubię nimi ale się ich wstydzę! Teraz pani mnie już rozumie, prawda?



Jakaś namiętna a despotyczna nuta zadrgała w jego głosie — podniósł oczy utkwione dotąd w ziemię i zagłębił je w źrenicach Izy takim spojrzeniem, co idzie w samą głąb duszy i wyrывa z niej wszystko co mieć pragnie, i z wolą czy poniewoli bierze sobie na własność.

— Rozumie mnie pani?

— Rozumiem — odszepnęły blade usta Izy.

Stali chwilę milczący i ubezwładnieni, poddając się tej męce i rozkoszy dwojga serc, które nie chcą się kochać a kochać się muszą, i które po raz pierwszy zlewają się w wybuchu miłości. Czuli, że coś tam w ich życiu druzgocze się poza nimi, jakieś łabędzie skrzydła łamią się i odpadają od ich duszy — ale równocześnie żar nieporównanej słodczy obejmował ich płomiennym kręgiem.

## XIX.

Wiosna była — ta wiosna, co na ziemię powraca z każdym rokiem — a w życiu ludzkim rozkwita raz jeden różową koroną najbogatszej i najśłoneczniejszej pełni wszystkich uczuć. Iza miała ją w sercu swoim, czuła jej upajające tchnienie w każdej kropki krwi, w każdym wzlocie myśli, słyszała jej echo w dźwiękach własnego głosu, gdy wymawiała najpowszedniejsze, najobojętniejsze słowa. Przykra zależność obecnego położenia, lęk o przyszłość brata, nuda codziennych, żmudnych obowiązków, wszystko to znikło z jej myśli, rozwiało się w mgłę, od wszystkiego oddzieliła ją słonecznym murem miłość Stefana.

Kochali się, wiedzieli o tem już oboje, i bezbrzeżnie byli tą świadomością szczęśliwi. Choć nie wymieniali żadnych wyznań ani przysiąg, uczucie ich tak długo milczące i nieme było już teraz jak dzwon rozkoły-

sany: każde zetknięcie się spojrzenia, każde najobojętniej wypowiedziane słowo rozdzwaniało się między nimi pieśnią miłości.

Od chwili kiedy Stefan powiedział jej raz przy powitaniu: — Jaki ja jestem szczęśliwy, że panią widzę! jaki ja teraz zawsze jestem szczęśliwy! — Iza przestała walczyć z własnem sercem, przestała odwracać oczy od tych blasków, które z razu olśniewały ją nietylko szczęściem ale i grozą, po raz pierwszy powiedziała sobie otwarcie: kocham go i będę go kochać, ale uczuciem tak czystem i wielkiem, a tak mało żądającym dla siebie, żeby w niem nie było ani cienia winy, ni cudzej krzywdy. Wyhoduję naszej miłości skrzydła, któreby nas oboje niosły wciąż drogą jasną i górną, w błękity wielkiej ciszy i ukojenia, tam gdzie się spotykają wszystkie dobre myśli i rodzą wszystkie wielkie czyny.

Być ukochanemu przewodniczką w takich światach, gwiazdą na takich horyzontach, nie mogło przecie być złem, choć nie było zgodnem z filisterską moralnością ludzi przeciętnych, dla których przestarzały przesąd jest najwyższem etycznym prawem.

Przesąd, tak, to był przesąd tylko, co chciał się rzucić przepaścią pomiędzy ich dusze, które spotykały się u promienia każdej gwiazdy, nad kielichem każdego kwiatu. Bo i cóż w rzeczywistości dzieliło ich? — prawa kobiety, która sama nie dbała o nie — dla której Stefan był tylko dostarczycielem dachu nad głową i kawałka powszedniego chleba — manekinem męża, potrzebnym tylko do świetniejszego figurowania w świecie. Czy prawa takie mogą nakładać wiecznotrwałe, nierozzerwalne więzy na życie drugie, za którego cenę nic w zamian nie dają. Czy zresztą to co Iza zabierała dla siebie z duszy i życia Stefana, było dla tamtej choćby dostrzegalną stratą? — Wszak ona od lat tylu przestała być ukochaniem męża, promieniem i dźwignią jego życia. Nie Iza



wyrwała jej z ręki nić tęczową, którą miłość rozsnuwa nad szarością wzajemnych obowiązków i praw dwojga ludzi związanych z sobą na wieczność — ona sama opuściła ją niedbale u progu życia i nigdy oschłe jej serce nie uderzyło najsłabszą tęsknotą za tą tęczową zgubą.

Tak mówiła sobie Iza i upajała się coraz bardziej tą myślą, że jest dla Stefana koniecznym światłem i ciepłem życia, tym promieniem słońca i kawałkiem błękitu, bez którego marnieją kwiaty i dusze ludzkie.

## XX.

Iza odbywała właśnie lekcję fortepianu z Masią, gdy pani Walerya, wycytująca w tym samym pokoju najświeższe nowinki z gazet, wykrzyknęła nagle głosem tak ożywionym, że aż prawie radośnym: »Słuchajcie! znowu ktoś ukradł!«

W tej samej chwili wszedł Stefan Rdzawikowski do salonu; był trochę bladym i bardzo zmieszany.

Bratowa nie zważając na jego wejście, czytała donośnym głosem: »Jeszcze jeden: Dyrektor Spółki handlowo-rolniczej, pan Jan Wyszomirski... panno Izo! — zawołała nagle, przerywając sobie — czyż to może?...

Nie dokończywszy pytania, powróciła do kronikarskiej notatki po wyjaśnienie, którego blade, zaciśnięte usta nauczycielki zdawały się odmawiać.

»... pan Jan Wyszomirski, zniknął wczoraj z miasta, pozostawiając w kasie Towarzystwa, którego był dyrektorem i jednym z założycieli, deficyt, sięgający około dwóchkroć sto tysięcy złotych. C. k. prokuratura wdrożyła w tej sprawie dochodzenie karne«.

— No jakże, to chyba... brat pani? — powtórzyła pani Walerya z naciskiem podrażnionej ciekawości — to przecież on był dyrektorem tej Spółki? prawda?

— Nie wiem, pani, niech mnie pani nie dręczy pytaniem! — wybuchnęła nagle Iza z błagalną rozpaczą, i czując dobiegające już do gardła spazmatyczne łkanie, uciekła z pokoju.

Uciec, uciec na koniec świata! skryć się pod ziemię, umrzeć lepiej, niż przyjąć na siebie ciężar takiej strasznej, takiej wstrętnej hańby!

Rozglądała się wkoło siebie na wpół przytomnie, strwożonymi oczyma. Chciała schronić się w samotność swojego własnego kąta, ale nie wiedziała którędy iść, żeby po drodze nie spotkać nikogo, nie uderzyć się w czyjeś litośne lub wzgardliwe spojrzenie. W tej chwili nie była w stanie wytrzymać takiej próby!

Wcisnęła się w głęboką framugę okna, poza śnieżny tiul firanki, i stała tak, z czołem przyciśniętym do chłodnego muru, cała wstrząsana łkaniem, które rozrywało jej piersi.

— Nie chcę! nie chcę! nie przeżyję tego! — krzyczały w niej rozpaczliwym buntem wszystkie uczucia i cała jej dusza wzdrygała się z bólu i wstrętu pod pręgierzem narzuconej jej hańby.

— Dlaczego to ja mam tak cierpieć? zaco to mnie spotyka?...

— Panno Izo, na miły Bóg! niech pani tak nie płacze! moja biedna, moja... jedyna! niech się pani uspokoi! — zabrzmiał nagle tuż koło niej szept, drgający równą mocą prośby i tkliwości, jak moc jej bólu i wstydu. — Jeżeli moja prośba cokolwiek znaczy dla pani, niech pani tak nie rozpacza nad tem, co jest dla pani nieszczęściem, ale niczem innem, niczem innem tylko nieszczęściem!

Pochwycił jej ręce i tuląc je do ust, okrywał gorącymi pocałunkami, powtarzając raz po raz: — Niech się pani uspokoi, moja jedyna!... mój promieniu jasny, czysty, złoty...



Ona nie tylko nie odsuwała go od siebie, nie cofała rąk swoich, ale przeciwnie garnęła się ku niemu z całym porywem udręczonego serca, szukającego ratunku i pociechy. Czuła się w tej chwili taką słabą, tak przyniesioną ciężarem życia, a w nim jednym na świecie, mogącą jeszcze znaleźć ukojenie. Piła jego serdeczne słowa, jak kwiat spragniony wypija chłodną rosę i tuliła się do niego coraz bliżej, zapominając o przepaści, która ich dzieliła.

— Chciałabym umrzeć! chciałabym umrzeć zaraz, ja nie potrafię z tem żyć — szeptała Iza wśród łkań, szukając ulgi w wypowiedzeniu przed tym najukochańszym, jedynym, tych wszystkich skarg, które strasznie szarpały jej duszę.

— Najdroższa, nie trzeba tak mówić, tak mówić nie wolno! życie pani to całe moje szczęście, to wszystko co mam na świecie — a moje życie, to jest własność twoja, twoja jedynie! zrobię wszystko co każeś, wywiozę cię na koniec świata, jeśli tu żyć nie zechcesz, nie uznaję już żadnych praw, żadnych obowiązków, prócz prawa naszej miłości i obowiązku zrobienia ciębie szczęśliwą. — Będiesz szczęśliwą! zobaczysz, że będziesz! — powtarzał coraz namiętniej, upojony jej łzami i dźwiękiem własnych słów, i tym uściskiem, dającym pierwsze zadosyćczynienie jego spragnionej i tęsknej miłości!

«Na koniec świata z nim!»

Od dwóch godzin siedziała Iza samotnie zamknięta w swoim pokoiku, a ciasne jego ściany wciąż huczały wkoło niej jakimś huraganem nieziemskiej radości, temi kilkoma tylko słowami: «Na koniec świata z nim!» Wszystko jest niczem, o wszystkim zapomnieć można — niema bólów, wstydu, obowiązków — jest tylko miłość jej i Stefana, silniejsza ponadto wszystko i która zwycięży wszystko!

Zapukano do drzwi. Iza zerwała się z krzesła, na którym przesiadywała nieruchomo parę ostatnich godzin. To zapewne służący przychodzi ją wzywać na lekcję z panienkami. Pani Walerya i tak okazała dziwną względną pozostawiając jej pół dnia spokoju.

Krokiem niepewnym, i tą w półprzymrocznością ludzi zbudzonych nagle ze snu głębokiego, postąpiła parę kroków ku drzwiom.

Ale nie, to nie było wezwanie na lekcję. To tylko służący podał jej przez drzwi list, zaadresowany pismem nie obcem jej niby, ale tak dziwnie zmienionem.

Drżącemi rękoma rozerwała kopertę, list był od Maryi. Zawierał tylko parę słów, notujących fakt okropny w taki sam oschły, szablonowy sposób, w jaki podana była dziennikarska wzmianka. Na samym końcu dopiero u dołu prawie pustej ćwiartki dopisane były już ołówkiem słowa: »Zmiłuj się, przyjdź! nie mam do kogo ust otworzyć, zdaje mi się, że zwaryuję«.

Prawda, Iza nie pomyślała o tem, że oprócz niej istniał jeszcze ktoś, komu haniebny postępek jej brata druzgotał życie na drzazgi, i że tą ofiarą była kobieta bardziej od niej słaba i bezbronna, która za nazwisko Wyszomirskich, za ten ból i wstyd dzisiejszy i czekającą ją w przyszłości nędzę, zapłaciła oddaniem całej swojej istoty i parokrociowym, strwonionym przez Jana Wyszomirskiego posagiem.

Instynkt solidarności rodzinnej szarpnął Iza boleśnie fizycznym, poczuła się nagle tak ściśle związaną z Janem, jak gdyby odpowiedzialną była za ohydę jego czynu przed Maryą i przed światem całym.

Brat, rodzony brat. Z takich więzów nic na świecie rozkuć jej nie może. Wszak tylko powodzenia, bogactwa, zaszczyty mogą tych, którzy idą w górę odciąć i wyosobnić od tych, najbliższych nawet, których życie w dół spycha. Ale kamień poniżenia i wstydu, o, ten



zacieśnia aż do zdławienia węzły solidarności rodzinnej, i żadne siły nie starczą aby go precz odrzucić i wlec go trzeba za sobą i osłaniać cieniem własnym, choćby dusza wiała się od wstrętu i grozy.

— Dlaczego to mój brat? dlaczego nie wszyscy inni, którzy są na świecie, tylko mój, mój właśnie?!... szeptała, rozpaczliwie ściskając dłońmi skronie i rozbijając się nieprzytomnym, gorączkowym krokiem o ciasne ściany swego pokoju, jak dziki, przestraszony ptak o pręty klatki. Dlaczego ja mam nieść na czole piętno jego hańby? Ja przecież jestem uczciwa — ja chciałam przejść przez życie po »złotym moście« prawdy, dobra i piękna — dlaczego jego czyn ma mnie spychać w dół, w kałużę błota?...

Nagle stanęła — straszny lęk uderzył jej z duszy w rozszerzone źrenice — zobaczyła coś potwornego, coś, co przez długie dni i tygodnie czało się już może po za nią, aż w tej chwili dopiero odkryło przed nią oblicze upiora, przesłonięte dotąd obłokiem z tęczy. »Uczciwa! uczciwa!« rozdzwoniło się wkoło niej echem, w którym był i jęk, i szyderstwo, i potępienie. Uczciwa — ona! którą kochał cudzy mąż — która cudzego męża kochała.

»Złote mosty« co miłością piękna i dobra miały ją wieść bezpiecznie po najwznioślejszych szlakach życia, w jaką przepaść runęły, gdy ze Stefanem zamieniała wyznanie miłości? gdy wśród namiętnych pocałunków obiecywała mu, że kochać go będzie wiecznie i brała od niego wzajem obietnicę wiecznej miłości?...

Miała być światłem jego oczu, skrzydłem niosącym jego duszę w krainę najpodnioślejszych, najczystszych uczuć — a teraz »na koniec świata z nim!« — »Na koniec świata«, to znaczyło pewnie do Wiednia albo do Londynu — może w tę samą mętną kryjówkę, w którą schroni się zbiegły Dyrektor Spółki, z ukradzionymi krociami.

Brat i siostra — brat i siostra — Jezus!...

Czy to można tak się oszukać na własnym sercu? — tak podbiedz tuż nad brzeg przepaści i widzieć tylko kwiaty, wyrastające po drugiej stronie, a nie widzieć błota i grzechu zalewającego tę przepaść po brzegi, sięgającego już do samych stóp, obryzgującego pierwszą falą mętu wszystko, co się dotąd jasnym i niepokalanym miało w duszy?

Nie wystarczają złote mosty, nie starczy widać nic, aby człowieka utrzymać na szczytach, niema dość mocnej i trwałej dźwigni, której by się dusza ludzka uchwycić mogła, gdy ją życie i słabość własna w dół spycha.

— A Pan Bóg? — szepnął nagle wokoło niej jakiś cichy, słodki głos, głos w którym była poważna mądrość ośnieżonych włosów, i gorąca ufnosć serca, co już dobiega do końca ciernistej ścieżki życia, i szelest migających po tamtej stronie, anielskich skrzydeł.

Dwa miesiące później Iza wyjeżdżała wraz z Maryą do małej, górskiej wioszczyny, położonej wśród ciemnych lasów Beskidu, w której otrzymała posadę nauczycielki ludowej. Oksza i Sewer Gończak odprowadzali je na kolej. Oksza był smutny, zdenerwowany, cały czas nie mówił nic, dopiero po drugim dzwonku, w chwili wsiadania do wagonu, przystąpił do Izy:

— Pani długo tam pozostanie? — zapytał.

— Myślę, że całe życie — odparła Iza poważnie, z akcentem szczerości.

— Tak? a co ja mam robić tutaj?

— Robić dobrze o ile pan może — a pan przecie może tak dużo — odpowiedziała z dobrym uśmiechem, i wstępując już na stopień wagonu, przyjaźnie uściśnęła mu rękę.

— Rzeczy wszystkie są? nie zapomniały panie czego? — wołał z peronu Gończak.



— Nie, nie... czyż my to tak dużo wieziemy ze sobą?

Istotnie mało zasobów uwoziły z sobą w tę długą drogę. Wszystkie rzeczy Maryi, kosztowności, nawet droższe suknie ich obu, zostały sprzedane na zaspokojenie drobnych, osobistych długów, pozaciąganych przez Jana. Zrobiły co mogły, co były tylko w stanie, aby jak najmniejszy ciężar krzywdy przywarł do imienia ich męża i brata.

Pani Walerya, której bądź co bądź, mimo całego skandalicznego rozgłosu ucieczki Jana Wyszomirskiego, żał było tracić taką zdolną, oddaną swym obowiązkom, a względnie niedrogą nauczycielkę, gorszyła się temi przesadnemi, podług niej, skrupułami, nazywając je egzaltacją i czułościowością.

— Przecież ona nie pożyczała, czegoż ma oddawać i uciekać z miasta, jakby sama co ukradła? — dowodziła, dobierając jak zwykle jasnych i bezwzględnych określeń. — To jest poprostu przewrócona głowa i nic więcej!

— Uczciwa — szepnął sam do siebie Stefan Rdzawikowski, a choć razem ze wspomnieniem Izy cisnęły mu się słowa: ukochana, upragniona, jedyna! przygłuszał je całą siłą woli, nie chcąc się w nie wsłuchiwać nawet myślą, bo przyrzekł, że jej wspomnienie nie będzie targać mu serca echem takim, co mąci harmonię uczciwego życia, że pozostanie mu w duszy tylko jako złoty promień, wskazujący drogę do samych dobrych, jasnych, wysokich celów.

— ❧ KONIEC. ❧ —



~~64844~~

71228